



RHYNS

SYNOWIE ZEMSTY #1

AGNIESZKA SIEPIELSKA



Table of Contents

Strona tytułowa
Spis treści
Karta redakcyjna
Recenzje
Dedykacja
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Podziękowania](#)

[Playlista](#)

[Przypisy](#)

AGNIESZKA SIEPIELSKA

RHYS

SYNOWIE ZEMSTY #1

OŚWIĘCIM 2019

Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Recenzje](#)

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Podziękowania](#)

[Playlista](#)

[Przypisy](#)

Copyright © 2019
Agnieszka Siepielska
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Angelika Oleszczuk
Korekta:
Alicja Chybińska
Magdalena Zięba-Stępnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

ISBN 978-83-8178-209-8

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Konwersja
[eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

„Rhys pojawił się znikąd, a jego mroczna aura kryje w sobie wiele tajemnic, które mogą go albo zniszczyć, albo dać mu siłę. Ale czy jego serce może kogoś pokochać? Viviana jest szansą Rhysa na lepsze jutro; światłem, które przedziera się do jego ciemności. Musicie poznać ich historię, która będzie wielkim zaskoczeniem i doprowadzi Was do łez”.

Monika Skibińska, czytelniczka

„Rhys to mężczyzna, który od pierwszego spotkania zawładnął moim sercem. Sprawił, że inni bohaterowie na zawsze odeszli w zapomnienie!”.

Z książką między regałami

„*Rhys* to powieść, która wciąga od pierwszej strony. Skrywający wiele tajemnic Rhys i uwikłana w sieć kłamstw Viviana – czy związek tych dwojga ma rację bytu? Ta jesień będzie gorąca, a to za sprawą mafijnej powieści Agnieszki Siepielskiej. Gorąco polecam!”.

Paulina Nowaczyk, *1001 Romansów*

„Dla Rhysa mogłabym nawet zmienić zawód i sprzedawać garnitury. To bohater, którego nie da się wyrzucić z pamięci”.

Paulina Jurga, autorka

*Mojemu kochanemu mężowi Pawłowi i cudownym synom
- Dawidowi, Szymonowi i Kacprowi
Bo zawsze jesteście.
Kocham Was.*

ROZDZIAŁ 1



VIVIANA

Zmęczona, z obolałymi po całym dniu pracy nogami, wysiadam z zatłoczonego autobusu. Skręcam w lewo, w długą ulicę z dwoma rzędami domków jednorodzinnych, co oznacza, że zostaje mi jakieś trzysta metrów do celu. Resztkami sił witam się z sąsiadkami, które podlewają wysuszone kwiaty. W międzyczasie z obrzydzeniem odklejam od ciała cienki materiał białej bluzki przesiąkniętej potem faceta, który przez niemal całą drogę przylegał do mnie potężnym ciałem. Jest środek lipca, więc nic dziwnego, że na zewnątrz panuje ukrop, lecz po kolejnym dniu sprzedawania garniturów bogatym, wybrednym dupkom jestem padnięta, a półgodzinna jazda autobusem bez klimatyzacji nie była dobrym pomysłem.

Idąc trawnikiem, docieram do brązowego budynku. Otworzywszy drzwi, natychmiast wyczuwam zapach smażonej ryby. Kieruję się do kuchni, gdzie opadam na krzesło znajdujące się przy ścianie, a następnie zsuwam z ramienia pasek torebki, którą stawiam na podłodze. Dysząc jak parowóz, obserwuję małą, siwą kobietę w różowym fartuszkach, krzątającą się przy garnkach.

- Tobie też dzień dobry, wnusiu - oznajmia, nie patrząc w moją stronę i czyniąc tym samym aluzję do niegrzecznego wejścia.

Kiedy nie odpowiadam, zerka przez ramię, a na jej twarzy maluje się zrozumienie. Nalewa do szklanki trochę soku pomarańczowego prosto z lodówki, po czym podaje mi ją. Duszką opróżniam całą zawartość, ciesząc się z chłodu rozchodzącego się po moim wnętrzu.

No, teraz mogę się przywitać.

- Dzień dobry, babciu - odpowiadam.

- Opowiadaj, jak było w pracy - mówi, wracając do przygotowywania posiłku.

Codziennie dzieje się to samo, ale to nasz rytuał, zatem zdaję relację. Obecna posada podoba mi się o wiele bardziej niż poprzednie. Otrzymałam ją dzięki babci, ponieważ jedna z jej przyjaciółek jest mamą kierowniczką. W innym przypadku trudno byłoby się dostać do salonu, gdzie wartość wszystkich garniturów, koszul oraz dodatków można oszacować na kwotę przyprawiającą zwykłego śmiertelnika o zawrót głowy.

- A gdzie jest mama? - pytam.

- Ach! Co może robić nasza księżniczka? Była bardzo zmęczona, więc poszła się położyć. - Babcia kręci głową z rozczarowaniem.

- A co takiego ją dziś zmęczyło? Czytanie gazety, oglądanie telewizji czy psioczenie

na dawcę spermy?

- Chyba wszystko naraz. - Wzdycha, a następnie odwraca się do mnie. - Dobra, młoda damo. Zabieraj swój gruby zadek i odśwież się, bo kolacja prawie gotowa. Jak zawsze to samo. Znając moje kompleksy, czyli za duże piersi oraz nieco zbyt krągły tyłek, babunia nie może się powstrzymać. Zazwyczaj się odgryzam, lecz dzisiaj nie mam siły na przekomarzanie się.

Wstaję, zakładając torebkę na ramię, po czym wchodzę po schodach.

- Cholera jasna! - psioczę, potykając się o jeden ze stopni.

- Viviano Anne Thomson! - krzyczy babcia. - Ile razy, do cholery, mam powtarzać, że w tym domu nie przeklinamy?

Chichocząc, kontynuuję wędrówkę. Mijam drzwi sypialni babci oraz mamy, by w końcu wkroczyć do swojego nudnego królestwa. W małym pokoju zmieściło się zaledwie kilka białych mebli - szafa, biurko i łóżko. Ściany pokrywa delikatny odcień szarości, a dopełnienie całości stanowią fioletowe zasłony oraz poduchy, a także purpurowy dywan. Może jestem marną projektantką, ale tak naprawdę tutaj tylko śpię. Skończywszy się rozglądać, sięgam po bieliznę, luźne szorty i top, a następnie idę pod prysznic.

Odświeżona zbiegam po schodach. Już w połowie drogi słyszę narzekanie mamy, która na okrągło wałkuje ten sam temat. Temat mojego ojca. Otóż dwadzieścia trzy lata temu, po jednonocnej przygodzie, mamusia była przekonana, iż spotkała miłość swojego życia. Szybko jednak wyszło na jaw, że facet był żonaty i miał rocznego syna. Kiedy okazało się, że zaszła w ciążę (nie zdziwiłoby mnie, gdyby to było zaplanowane), myślała, że mężczyzna zostawi dla niej rodzinę. Niestety, dawca spermy rzucił kobiecie pieniądze na aborcję, a następnie zniknął. Ale po co usuwać ciążę, skoro można zarobić na niej jeszcze więcej? Tym oto sposobem na konto Emilii Thomson wpływa co miesiąc spora sumka w zamian za milczenie. Nie mam pojęcia, ile dokładnie ona wynosi, lecz nigdy nie zobaczyłam ani centa. Nie wiem, kim jest najdroższy tatuś, i nie chcę wiedzieć. Mam to gdzieś.

Podczas gdy mama od zawsze imprezowała ze znajomymi, trwonila pieniądze oraz narzekała, że mój ojciec za mało jej płaci, mnie wychowywała babcia. Wszystko, co osiągnęłam i czego się w życiu nauczyłam, zawdzięczam właśnie Helen Thomson. Po ukończeniu szkoły średniej nawet nie marzyłam o studiach, ponieważ staruszka zaczęła wtedy chorować na serce, natomiast leki okazały się bardzo drogie.

Nadeszła więc pora, abym się odwdzieczyła. Zaczęłam pracę jako konsultantka telefoniczna, a potem dostałam etat w spożywczym. Oprócz tego wyprowadzałam psy, roznosiłam ulotki, aż w końcu trafiłam do salonu mody męskiej.

Mój dziadek, George Thomson, zniknął z życia babci, zanim się urodziłam. Właściwie to Helen wykopała go z domu po kolejnej, urządzonej przez niego pijackiej awanturze. Podsumowując, mężczyźni to zło. Doświadczenia mamy oraz babci wyraźnie pokazują, iż związki w mojej rodzinie są z góry skazane na porażkę,

dlatego nigdy, przenigdy nie zamierzam się w takowy angażować.

- Mogłabyś przestać narzekać i wziąć się wreszcie do roboty, a nie żerować na... - Helen ucina zdanie, kiedy wchodzi do kuchni.

- Witaj, mammo - mruczę, siadając na swoim miejscu, naprzeciw rodzicielki. Ta, najwidoczniej obrażona, wierci się nerwowo, poprawiając farbowane, kasztanowe włosy, obcięte na klasycznego boba.

Nakładam na talerz kawałek ryby oraz sałatkę, dostrzegając wpatrujące się we mnie piwne oczy. Postanawiam poświęcić mamie nieco uwagi i spoglądam na nią wyczekująco. Wiem, czego chce.

- Vivi, potrzebuję pieniędzy.

No proszę, prosto z mostu.

- Ile? - pytam oschle.

- Pięćset dolarów.

Ona ma chyba nierówno pod sufitem.

- Nie mam.

- Jak to? Pracujesz i nie masz pieniędzy?

Z gardła babci wydobywa się dźwięk, jakby chciała coś powiedzieć. Chwyciwszy pomarszczoną dłoń, ściskam ją, żeby Helen się uspokoiła, choć mnie samą szlag trafia.

- Wiesz co? - zwracam się do matki i córki roku. - Zdradzę ci pewien sekret.

W każdym gospodarstwie domowym istnieje coś takiego jak rachunki. Ja je płacę, a babcia praktycznie całą swoją emeryturę przeznaczona na leki. Kupujemy też jedzenie - tłumaczę, czekając na reakcję.

Emilia Thomson za każdym razem zachowuje się tak samo, a ta sytuacja nie należy do wyjątków - wydyma różowe usta, wstaje i bez słowa wychodzi. Po chwili słychać jej kroki na schodach, a my w spokoju możemy zabrać się za posiłek.

Po kolacji zmywam naczynia i oglądam z Helen telewizję, po czym zmykam do łóżka. Zасыpiając, cieszę się, że ten dzień w babinie - jak określam nasz dom - dobiegł końca. Mama jak zwykle doprowadziła babcię do takiego stanu, że bez mojej pomocy kobieta nie byłaby w stanie wejść na piętro, choć uparcie powtarza, iż nic jej nie dolega. Przysięgam, że kiedyś wykopię Emilię za drzwi. Matka czy nie, niech spada, by szukać następnej ofiary.

ROZDZIAŁ 2



VIVIANA

Budzę się przed świtem. Po porannej toalecie zakładam dres i zbiegam do pralni nastawić automat. Następnie ogarniam dom, popijając w międzyczasie zaparzoną wcześniej kawę. Staram się zrobić jak najwięcej, zanim wstanie babcia. Ta uparta kobieta dosłownie ze wszystkim chciałaby sobie radzić sama, a potem ledwo oddycha. Oczywiście księżniczka Emilia zamiast pomóc w porządkach, piłuje paznokcie, planując kolejny wypad ze znajomymi. Ach! Brak mi słów na nią.

Widzę, że pranie jest już suche, więc składam ubrania, po czym wkładam je do kosza.

- Vivi! - woła babcia, kiedy kończę robotę. - Viviana!

- Już idę!

Po stromych schodkach z surowego drewna wchodzę wprost do kuchni. Opieram się o framugę i krzyżuję ramiona na klatce piersiowej, przyglądając się małej, wkurzonej Helen, która siedzi przy stole, nerwowo stukając palcami o blat oraz gromiąc mnie wzrokiem.

- Po co jeszcze przed pracą się męczysz, co? - warczy.

- Żeby pewna staruszka nie skreśliła sobie karku, wiesz?

- Po pierwsze, czy ja wyglądam na obłożnie chorą? - pyta urażona. - Po drugie, co mam robić przez cały dzień?

- Nie wiem, babciu. Może pooglądaj telewizję albo idź do sąsiadki na kawę?

- Zastanawiam się, skąd bierzesz te mądrości. Chyba z tego dużego tyłka.

Wiedziałam! Musi mi wiecznie dogryzać.

Wpatruję się w nią z udawaną złością. W zielonych oczach, takich samych jak moje, tańczą chochliki. Nic nie poradzę, że nie potrafię się na nią gniewać. Takie już jesteśmy. Dwie samotne baby, które mają swój mały zwariowany świat i nie mogą bez siebie żyć.

- Ty... szkapo jedna - odpowiadam, po czym idę na górę, uśmiechając się pod nosem.

Zakładam bieliznę, spodnie w kolorze chabrowym oraz białą bluzkę. Ten zestaw, wraz z żakietem, jest moim strojem roboczym. Zrobiwszy delikatny makijaż, zjadam wmuszonego przez babcię rogalika i wypijam zaparzoną przez nią kawę. Cmokam Helen w policzek, po czym zbieram się do wyjścia.

W przedpokoju zerkam na swoje odbicie w lustrze, przyglądając sięgające do połowy pleców włosy - jedyną rzecz w wyglądzie, z której jestem dumna. Niektóre

kobiety płacą krocie, aby uzyskać taki efekt. Długie pasma są niby brązowe, ale w rzeczywistości można dostrzec kilka odcieni. Kiedy chodziłam do szkoły, babcia była czasem wzywana do dyrektora, który pytał, dlaczego pozwala dziecku robić sobie pasemka.

Wysiadam z autobusu, mijam jedną przecnicę, po czym wchodzę na teren wielkiego centrum handlowego. Nie jest to jeden, zamknięty budynek, lecz wiele mieszczących się obok siebie luksusowych sklepów, a także punktów usługowych oraz gastronomicznych, do których wchodzi się z zewnątrz. Szklanym, wypolerowanym na błysk witrynom przyglądają się już pierwsi potencjalni klienci. Przepych i elegancja aż biją po oczach. Tylko te ceny... Panie, zlituj się.

Mijam jubilera, a następnie kawiarnię, witając się z pracującymi tam dziewczynami skinieniem głowy, aż w końcu przekraczam próg salonu z modą męską. Stukot czarnych szpilek odbija się echem, gdy przechodzę obok stanowisk kasjerek, kolejnych rzędów wieszaków z garniturami oraz koszulami, a także działu z obrzydliwie kosztownymi dodatkami. Kieruję się do ostatnich drzwi i wkraczam do pomieszczenia dla obsługi, gdzie przy małym stole siedzi moja szefowa. Jest sporo starsza od swoich pracownic, lecz upiera się, by mówić jej po imieniu. Na pierwszy rzut oka może się wydawać zołą – wszystko za sprawą zbytnej powagi malującej się na twarzy. Jednak nic bardziej mylnego. Oczywiście potrafi nas czasem ochrzanić, ale prywatnie jest aniołem.

– Dzień dobry, Beth – witam ją z uśmiechem.

Zerknąwszy na mnie znad lusterka, odpowiada, gładząc swoje, i tak już idealnie wymodelowane, blond włosy. Zamieniamy kilka słów, a następnie biorę się do pracy. Przez dwie godziny nic się nie dzieje. Snuję się po sklepie, poprawiając perfekcyjnie złożone ubrania. Kolejne dwie godziny poświęcam klientowi, a właściwie wybrednemu małżeństwu w średnim wieku. Mężczyzna przymierza chyba dziesięć sprowadzonych prosto z Włoch garniturów, z których żaden mu nie pasuje, choć każdy leży na nim idealnie. W końcu rezygnuje z zakupu. Następnie dwoje młodych ludzi decyduje się przejrzeć spinki do mankietów. Wyjmuję dosłownie wszystkie po kolei, tylko po to, żeby słuchać kolejnej fali narzekania. Przyklejam profesjonalny uśmiech, starając się powstrzymać od złośliwego komentarza, gdy kobieta rzuca kosztowności na szklany blat.

Kiedy nieszczęsna para opuszcza sklep, jestem wykończona psychicznie. Ogarniam bałagan pozostały po wizycie i z radością odkrywam, iż nadeszła pora lunchu. Informuję koleżanki, że wychodzę na przerwę, po czym idę na zaplecze po torebkę. Nagle podbiega do mnie zdenerwowana, zdyszana Beth.

– Vivi, mam ogromną prośbę.

– Co się stało? – pytam, marszcząc brwi.

– Dziewczyny z magazynu przez przypadek dostarczyły prywatnemu klientowi niewłaściwe zamówienie – tłumaczy, robiąc minę zbitego psa. – Potrzebuję twojej pomocy, ponieważ facet chce, aby ktoś osobiście przywiózł odpowiednie.

- Mam jechać do domu jakiegoś wkurzonego gościa?

Szefowa spogląda na mnie błagalnie, składając dłonie jak do modlitwy.

Oczywiście nie mogą jechać winowajczynie. Pewnie! Trzeba wypchnąć biedną Vivi.

- Jest jeden plus, przyjedzie po ciebie kierowca - oświadcza, zapewne mając nadzieję, że się zgodzę.

- Nie może po prostu zabrać tych garniturów? - Ogarnia mnie panika.

Co, jeśli trafię na jakiegoś furiata i w myśl zasady „klient nasz pan” będę musiała pokornie wysłuchiwać, Bóg wie czego? Albo skończę... Nie, nawet nie chcę o tym myśleć!

- Wymaga, by pracownik przywiózł je osobiście - szepcze zrezygnowana Beth.

- Dobra. - Wzdycham.

Wchodzimy do magazynu. Biorę pięć pokrowców, które wskazuje rozluźniona szefowa.

- To nowy klient, Rhys Miller - oznajmia. - W ramach rekompensaty zaproponuj, żeby wybrał coś z naszej oferty za darmo.

Wychodzę z budynku, mijając zaparkowaną przed wejściem limuzynę, i rozglądam się w poszukiwaniu mojego środka transportu.

Świetnie! Skąd mam wiedzieć, jaki samochód podjedzie?

- Panienko! - woła mężczyzna wysiadający z limuzyny. - Zdaje się, że panienka na mnie czeka. Mam na imię Aleksander i zawiozę panienkę do pana Millera. Proszę pozwolić, że przejmę pokrowce.

Nazwisko klienta się zgadza, zatem podaję ubrania, po czym wsiadam do pojazdu. Szofer proponuje, abym włączyła światło w górnym panelu, co wydaje mi się nieco dziwne. Jednak kiedy ruszamy, rozumiem już, dlaczego powinnam to zrobić. Dookoła zaczynają się unosić przyciemniane szyby i zapada ciemność. Nic nie widzę, więc po omacku szukam włącznika wskazanego przez mężczyznę. Gdy go znajduję, w końcu nastaje jasność.

Siedzę skrępowana, omiatając wzrokiem wnętrze oraz zaciskając dłonie na brzegach obitego kremową skórą siedzenia. Im więcej czasu mija, tym intensywniej się zastanawiam, w co dałam się wrobić. Zdenerwowanie bierze górę i obmyślam wszelkie drastyczne scenariusze. Co, jeśli facet wywiezie mnie na jakieś odludzie, a potem zabije? O Boże, wtedy babcia będzie skazana na moją matkę! Jak ona sobie poradzi?

Po długiej, okupionej psychiczną udręką drodze, limuzyna wreszcie się zatrzymuje. Gdy kierowca otwiera drzwi, wysiadam, a następnie się rozglądam. Najwyraźniej jestem w jakimś garażu.

- Nareszcie! - wykrzykuje zmierzający w naszym kierunku szatyn o jasnoniebieskich oczach.

Od razu zauważam, że jego garnitur pochodzi z naszej oferty. Podchodzi i natychmiast odbiera od kierowcy przesyłkę, zerkając na mnie w taki sposób, jakby chciał udzielić reprymendy.

Miałam rację. Przyjechałam zbierać baty.

- Chodź, kochana. Będiesz się tłumaczyć. - Odwraca się, pstryka palcami, po czym rusza przed siebie.

Czy on właśnie pstryknął na mnie palcami?!

Przez chwilę stoję w miejscu zszokowana. Kiedy dochodzę do siebie, mrużę oczy ze złości.

- Dwa razy nie będę powtarzał - mówi, nie zatrzymując się.

Pośpiesznie maszeruję za nim.

Przez mahoniowe drzwi wchodzimy w korytarz, którym skręcamy w lewo, a potem idziemy schodami na górę. Następny długi korytarz prowadzi do takich samych drzwi, przy których stoi dwóch potężnych mężczyzn w czerni. *To jakaś forteca czy co?* Jeden z nich wpuszcza nas do pomieszczenia przypominającego salon.

Zauważam tylko tyle, że ściany są częściowo zdobione ciemnym drewnem, a jedna jest całkowicie przeszklona. Idziemy prosto, wchodzimy po trzech stopniach i znów skręcamy w lewo. W końcu wkraczamy do ogromnej garderoby.

Ze zdumieniem patrzę na sięgające od podłogi do sufitu szafy, zapchane butami oraz rzędami wieszaków z ubraniami. W tym czasie facet wypakowuje garnitury, po czym uważnie im się przygląda.

- Teraz dostarczono odpowiednie. Masz szczęście - mruczy.

- To nie była moja pomyłka. Jeśli można, pójdę już. - Nie wytrzymuję, a temperament Thomsonów daje o sobie znać. Pstrykam palcami, odwracam się i...
Och!

Żaden malarz czy rzeźbiarz nie oddałby mu sprawiedliwości. Żadne zdjęcie nie przedstawiłoby go takim, jakim dane jest mi go ujrzeć.

Przede mną stoi wysoki, szczupły, wysportowany mężczyzna, ubrany w czarne spodnie od garnituru oraz wypolerowane na błysk buty tego samego koloru. Biała koszula z podwiniętymi rękawami odkrywa fragment tatuażu.

Wygląda po prostu idealnie - oliwkowa skóra, ciemne włosy, dłuższe u góry, starannie zaczesane na bok, a także dwudniowy zarost, po którym chciałabym przejechać dłońmi. Ale największe wrażenie robią czarne oczy. Wydaje mi się, że za chwilę zostanę przez nie pochłonięta. Kiedy marszczy gęste brwi, przyglądając mi się intensywnie, wygląda jak anioł. Anioł ciemności. Emanuje energią, której nie da się ogarnąć. Mroczny, tajemniczy, a jednocześnie fascynujący. Gdyby tylko chciał, mógłby zawładnąć całym wszechświatem.

Jasna cholera.

- Rhys, jesteś. Właśnie przyjechała do mnie owieczka na pożarcie. Wiesz, że nie lubię...

- Wyjdź, Xavier - rozkazuje mężczyźnie, który mnie tu przyprowadził.

Jego głos jest taki... hipnotyzujący. Pomimo iż mówi spokojnie, nie sposób go nie posłuchać.

Facet odchodzi i zostajemy sami.

- Przywiozłam pana garnitury - informuję, gdy udaje mi się odzyskać głos.

- Dziękuję, Viviano. - *Wie, jak mam na imię!* - Twoja plakietka. - Pokazuje, widząc moje zmieszanie.

No tak.

Wpatrujemy się w siebie przez długi czas.

Co powinnam teraz zrobić? Cholera, jaka niezręczność.

- Dobrze... W takim razie ja już pójde - oznajmiam. - Szefowa prosiła, by przekazać, że zaprasza do naszego sklepu. W ramach rekompensaty za tę pomyłkę może pan wybrać, cokolwiek zechce.

- Cokolwiek zechcę - powtarza cicho, robiąc dwa kroki w moją stronę.

- Tak. Z ubrań lub dodatków - dodaję szybko.

Mężczyzna powoli mierzy mnie wzrokiem. Po chwili robi to po raz drugi i zatrzymuje się na piersiach.

- Z dodatków - szepcze nieco ochryple, zbliżając się o kolejne dwa kroki.

Dlaczego mi się wydaje, że każde z nas ma na myśli coś innego? Uff, jak tu gorąco!

- Personelu nie ma w ofercie - wypalam.

Natychmiast patrzy mi w oczy. Dopiero teraz uświadamiam sobie znaczenie wypowiedzianych słów.

Co. Ja. Właśnie. Powiedziałam?!

- Zobaczmy, zobaczmy - odpowiada spokojnie.

Czy on potrafi okazywać jakiegokolwiek emocje? Może tak, co nie zmienia faktu, że świetnie je ukrywa.

- Cokolwiek zechcę - powtarza, a pode mną niemal uginają się nogi.

- Ja już pójde - mówię.

Praktycznie uciekam od tego mężczyzny. Nie wytrzymam dłużej tak dużego napięcia.

ROZDZIAŁ 3



VIVIANA

Gdy szofer widzi, że wybiegam z budynku, otwiera drzwi i pomaga mi wsiąść do limuzyny. Na siedzeniu natychmiast dostrzegam swoją torebkę. Dzięki Bogu, że nie zostawiłam jej w domu Rhysa Millera, bo nie wiem, jak miałabym po nią wrócić.

Kiedy kierowca odwozi mnie do sklepu, Beth od razu zauważa, iż nie czuję się najlepiej. Nie wiem, czy potrafiłabym się skupić na pracy, dlatego cieszę się, gdy szefowa daje mi wolne do końca dnia.

Będąc już w domu, szukam babci. Okazuje się, że ucięła sobie drzemkę, więc idę do swojej sypialni, a następnie padam na łóżko. Jestem dziko rozkojarzona, ponieważ nie mogę pozbyć się wrażenia, jakie wywarł na mnie poznany dzisiaj mężczyzna. Myślę o nim bardzo długo, jednak w końcu wraca mi rozsądek. Przypominam sobie, że nie potrzebuję żadnego faceta w swoim zwyczajnym, poukładanym życiu.

Nadchodzi jedyna wolna w tym miesiącu sobota. Wstaję, ogarniam się, zjadam śniadanie, a potem robię zakupy spożywcze. Kiedy rozpakowuję torby, do kuchni wchodzi moja rodzicielka. Staje obok i zaczyna przeglądać produkty.

- Nie kupiłaś niczego ciekawego - mówi z kpiną.

Niewdzięczny babsztyl.

- Zawsze możesz zrobić zakupy za swoje pieniądze i coś ugotować. Chętnie sprawdzimy z babcią twoje umiejętności kulinarne. - Krzywię się na myśl o jakiejś dziwnie pachnącej papce.

- Nie bądź taka pyskata, z matką rozmawiasz - warczy.

Odwracam się, patrząc na nią z niedowierzaniem. Jak w ogóle śmiała to powiedzieć? Kiedy miałam dziewięć lat i zachorowałam na ospę, wyprowadziła się na dwa tygodnie do znajomej, żeby się nie zarazić. Gdy przychodziłam, aby porozmawiać o moich sukcesach lub problemach była zbyt zajęta planowaniem kolejnego wypadu z przyjaciółmi. Przez całe życie starałam się, by zauważyła we mnie swoją córkę. Dość tego.

- Mylisz się - oznajmiam stanowczo. - Rozmawiam z kobietą, która mnie urodziła, moja prawdziwa mama siedzi w ogrodzie.

- Uważaj gówniario, bo...

- Bo co? - Przerывam. - Wyrzucisz mnie z domu? Nie sądzę. Pamiętaj, że to ja płacę rachunki. - Minął czas, gdy próbowałam nawiązać z nią nic porozumienia.

- Nie bądź taka pewna siebie. Kiedyś ten dom będzie mój.

Co za zmija!

Po pierwsze, jak może być taka bezduszna, by myśleć, co zrobi, gdy babci już nie będzie? Po drugie, nawet nie wie, w jakim jest błędzie.

- Tak, tak. Wtedy mnie wyrzucisz, a potem zamieszkasz tu sama - stwierdzam ironicznie.

Po południu siedzimy z Helen w salonie, oglądając kolejny teleturniej. W międzyczasie babunia marudzi, że nie mam znajomych i nigdzie nie wychodzę. To prawda, ale jak mogłabym ją zostawiać z tą żołą? Zresztą, dzisiaj matka pewnie odwiedzi wszystkie bary oraz kluby w Phoenix.

- Daj spokój, babciu, mam ciebie - odpowiadam nieco urażona.

- No, ja wiecznie żyła nie będę - mruczy.

- Helen Thomson. - Spoglądam na nią groźnie. - Powinnaś dostać porządnego kopniaka za te bzdury.

- Tylko spróbuj. Oglądałam film karate, więc znam kilka ciosów. - Nie odrywa wzroku od ekranu telewizora.

Kręcę głową, bo już po prostu brakuje mi słów na tę staruszkę.

Nagle rozlega się dzwonek, a następnie słychać, jak nasza księżniczka zbiega po schodach. Proszę, ile ma energii, kiedy znajomi się schodzą.

- Viviana, ktoś do ciebie! - krzyczy niepocieszona.

Zerkamy na siebie z babcią. Wychodzę z salonu, po czym podchodzę do drzwi wejściowych. Gdy je otwieram, jestem w szoku.

- Cześć, pamiętasz mnie? - pyta piękna brunetka o oczach szarych niczym ciemna stal.

Ta dziewczyna była kiedyś moją sąsiadką. Przypominałyśmy takich trochę odludków, lecz, może właśnie dlatego, potrafiłyśmy się dogadać.

Pewnego dnia jej rodzina się wyprowadziła, natomiast kilka lat później zrobiło się o nich bardzo głośno. Okazało się bowiem, że Amelia jako noworodek została porwana, jednak nie przez przyszywanych rodziców. Ci adoptowali ją, dopiero kiedy jako niemowlę trafiła do sierocińca.

- Amelia! - wykrzykuję, uśmiechając się. - Proszę, wejdź! - Otwieram szerzej drzwi, nadal zszokowana, aczkolwiek szczęśliwa, że mogę ją znowu zobaczyć.

- Nie, nie - mówi dziwnie onieśmielona. - Jestem zmęczona. Dosłownie kilka godzin temu wróciłam do kraju i nie zdążyłam się ogarnąć. Wstąpiłam tylko zapytać, czy... Czy umówiłabyś się ze mną na kawę? Pasowałoby ci za tydzień, bo muszę jeszcze załatwić kilka spraw? - Patrzy na mnie wyczekująco.

- Oczywiście, że tak - odpowiadam radośnie.

- Super! Bardzo się cieszę.

Wymieniamy się numerami, po czym Amelia odchodzi. Kiedy zamykam za nią drzwi, dopada mnie pewna myśl.

O matko kochana!

Babcia jest wiedźmą. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że w jednej chwili moje życie

towarzyskie nie istnieje, a w drugiej jestem zapraszana na kawę przez dawną przyjaciółkę?

Niedziela mija na słodkim lenistwie, początek tygodnia w pracy też upływa spokojnie. Nadchodzi wtorek. Podaję Lucy, naszej kasjerce, ubrania klienta do skasowania i odchodzę uporządkować rzeczy, na które się nie zdecydowałam.

- Widziałaś tego faceta? - szepcze Tia, kolejna współpracownica.

Gdy się oglądam, serce natychmiast zaczyna bić jak oszalałe. Rhys Miller stoi w wejściu pewny siebie, otoczony przez grupę potężnych mężczyzn. Zatapia dłonie w kieszeniach spodni i unosi głowę, a jego czarne oczy są skupione na mnie.

Kiedy rusza z miejsca, nerwowo przetykam ślinę. Odnoszę wrażenie, jakby w moim brzuchu uformował się młynek, który kręci się z nieopisaną prędkością. Im bliżej podchodzi Rhys, tym szybsze stają się obroty. Mam bardzo złe przeczucia co do tej wizyty.

Widząc, że do sklepu wchodzi kolejny klient, wpadam na pewien pomysł.

- Przystojniaczek jest twój. Bierz go, Tia.

- Z przyjemnością - odpowiada uradowana dziewczyna.

Nachalnie wręcz doskakuję do nieźle wyglądającego mężczyzny, czując na plecach wzrok Millera. Po kilku minutach podchodzi do mnie jakiś napakowany facet w czerni i gburowato oświadcza, że jestem proszona do przymierzalni.

Chyba nawet wiem przez kogo.

Grzecznie przeproszam klienta, którego zapoznawałam z ofertą, a następnie w asyście mięśniaka podążam na miękkich nogach we wskazane miejsce.

Wkraczam do strefy z trzema okrągłymi stolikami oraz kremowymi fotelami. Przed jedną z przymierzalni stoi Rhys z Tią.

- Pani już dziękuję, chcę Vivianę - oznajmia beczelnie Miller, nie robiąc sobie nic z tego, iż dziewczyna wygląda, jakby ktoś ją spoliczkował.

Odchodząc, koleżanka obdarza mnie oczywiście nieprzychylnym spojrzeniem.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Miller? - pytam zirytowana jego zachowaniem.

Odruchowo marszczę brwi, zastanawiając się, czy pytanie nie zabrzmiało trochę dwuznacznie.

W jego oczach pojawia się dziwny błysk. Otworzywszy drzwi, zaprasza mnie, abym weszła do pomieszczenia. Czarno to widzę, ale klient nasz pan, prawda?

Rhys wchodzi za mną i staje przodem do wielkiego lustra umieszczonego w rogu przymierzalni.

- Chciałbym przymierzyć koszulę - informuje.

Zerkam na wieszaki z ubraniami, które musiała przynieść Tia.

- Jeśli te się panu nie podobają, mogę...

- Chcę, żebyś ty mi je zakładała, Viviano. - Przerywa.

Choć jego głos, w którym za każdym razem pojawia się lekka chryпка, wzbudza we mnie niewytłumaczalne emocje, skupiam się na tym, co powiedział.

- Słucham? - pytam kompletnie zmieszana.

- Zdejmij moją marynarkę - rozkazuje dziwnie mrocznym głosem.

Na całym ciele czuję gęsią skórę. Moje prawdziwe „ja” chciałoby krzyknąć, że Bozia dała rączki, jednak zahipnotyzowana część chce przystąpić do działania.

- Panie Miller...

- Wybrałem to jako moją rekompensatę. Zrób to, Viviano - żąda.

Przysięgam, że jutro poproszę Beth o ekstra premię, a także nieprzyznawany u nas do tej pory tytuł pracownika miesiąca.

Podchodzę do niego od tyłu, po czym zsuwam odpiętą już marynarkę, którą następnie wieszam z boku. Staję przed mężczyzną i gapię się niepewnie, a on unosi jedną brew, jakby chciał zapytać: „Jakiś problem?”.

Przełykając gulę formującą się w gardle, prostuję kołnierz. Staję na palcach, by sięgnąć do karku Rhysa, jednak jestem tak roztrzęsiona, że wpadam na niego. Automatycznie łapie mnie za biodra, a ja niemal natychmiast rozplątuję się pod jego dotykiem. Zaciągam się wspaniałym zapachem i spoglądam na jego twarz. Tonę w głębi czarnych oczu, aby po chwili podziwiać piękne, pełne, rozchylone wargi.

Jasna cholera! Kto wyłączył klimatyzację?

Gorąco. Tutaj jest zbyt gorąco.

Kiedy odzyskuję zdolność myślenia, powoli zdejmuję krawat, żeby nie uszkodzić idealnej fryzury Rhysa. Odłożywszy kawałek jedwabiu na ladę, przygotowuję się do najtrudniejszej części zadania. Będę musiała zdjąć koszulę. Próbuję wysunąć ją ze spodni, ponieważ nie mam zamiaru dotykać dolnej części garderoby. Nagle Miller chwyta moje nadgarstki i schyla się, tak, że jego usta znajdują się przy moim uchu.

- Zrób to, Viviano - mruczy zmysłowo, a ja zastanawiam się, czy można umrzeć w wyniku nadmiernego podniecenia. - Nie chcemy zniszczyć materiału, prawda? - Dziwnie otumaniona, od zbyt wielu sprzecznych emocji, posłusznie kiwam głową.

Co się ze mną dzieje, do diabła?!

Drżącymi dłońmi rozpinam pasek, a potem spodnie. Wyjmuję koszulę i, ignorując fakt, że właśnie zauważyłam brzeg białych bokserek, odpinam po kolei guziki, zaczynając od góry, co trwa chyba całą wieczność. Kiedy kończę, mogę jedynie przesuwając wzrokiem po ciele Rhysa.

Ten facet ma szczęciopak.

O cholera.

Łapie się na tym, że unoszę rękę, by dotknąć pięknego ciała. W porę się jednak opanowuję, zaciskam dłoń w pięść, a następnie zamykam oczy. Po chwili otwieram je, aby ponownie na niego spojrzeć.

Co ja robię?

Niewiele myśląc, odwracam się i po raz kolejny uciekam.

Od niego oraz swoich niewytłumaczalnych uczuć.

ROZDZIAŁ 4



VIVIANA

Wpadam do pomieszczenia dla obsługi, opieram się o ścianę i osuwam na podłogę. Chowam twarz w dłoniach, które jeszcze drżą od... No właśnie, z jakiego powodu? Ze strachu, złości, a może ekscytacji, jaką ten mężczyzna we mnie wywołuje?

Zdaję sobie sprawę, iż powinnam wrócić do pracy, lecz boję się, że kiedy tylko stąd wyjdę, wpadnę na niego.

Po kilku minutach z leżącej na krześle torebki wydobywa się dźwięk informujący o nadejściu SMS-a. Zmuszam się, żeby wstać, i wyjmuję komórkę z przedniej kieszonki.

Rhys: Chciałbym przeprosić za moje zachowanie, ale nie będę kłamać. Nie jest mi ani trochę przykro, że mnie rozbierałaś. Jestem wręcz głęboko rozczarowany Twoją ucieczką. Mam nadzieję, że następnym razem to dokończysz, a ja będę mógł się odwdzięczyć.

Serce, które zaczęło się uspokajać, od nowa przyśpiesza. Pędzi chyba z prędkością światła i nie pomaga mu fakt, iż cały czas czuję na sobie zapach Rhysa. Mam dziwne wrażenie, jakby był tu obecny. Kim jest ten mężczyzna? Dlaczego potrafi wzbudzić we mnie takie dzikie emocje? Czuję się zagubiona. Ja, Viviana Anne Thomson, która na co dzień musi stawiać czoła matce smoczycy, stałam się nagle bezsilna. Po chwili przychodzą mi do głowy dwa nieprzyjemne pytania.

Skąd on, do diabła, zna mój numer?

A co najważniejsze, dlaczego mam go zapisanego w swoim telefonie?

Nagle do pomieszczenia wchodzi Beth, przerywając mi popadanie w jakiś rodzaj hysterii. Fuka, że nie czas na odpoczynek, bo pojawili się klienci. Wracam więc na teren sklepu, rozglądając się, w obawie, iż zobaczę gdzieś Millera. Z ulgą odkrywam, że wyszedł, lecz i tak do końca zmiany jestem kompletnie roztrzępana i rozkojarzona.

Idąc po pracy na przystanek, dostaję następną wiadomość:

Rhys: Mimo wszystko mam nadzieję, że nie miałaś kłopotów z mojego powodu.

Teraz o tym pomyślał? *Dupek!*

Kręcę głową, po czym ruszam dalej, jednak szybko przystaję, słysząc dźwięk oznajmiający nadejście kolejnego SMS-a.

Rhys: Byłoby grzecznie, gdybyś odpowiedziała.

Czytając te słowa, czuję, jak skacze mi ciśnienie.

Za kogo on się, do diabła, ma?!

Najpierw świdruje mnie czarnymi oczami, a potem zmusza do oglądania pięknego ciała. Teraz z kolei uważa, że ma prawo mną manipulować? Po moim trupie! Jeśli chce, żebym mu odpisała, proszę bardzo. Skończyłam pracę, więc mogę powiedzieć, co tylko zechcę.

Viviana: Słuchaj, Ty bogaty, nadęty dupku, odczep się ode mnie raz na zawsze. Nie jestem zainteresowana!

Wlepiając wzrok w ekran, maszeruję przed siebie, aż się z kimś zderzam. Zerkając znad telefonu, widzę rozwścieczoną kobietę, która zbiera zakupy. Schyliwszy się, pomagam jej, zwłaszcza że cały ten bałagan to moja wina. Podaję kilka rzeczy, przepraszam i idę dalej. Wtedy zauważam, że mój autobus właśnie odjeżdża.

- Cholerny dupek! - krzyczę, mając na myśli oczywiście Rhysa.

To przez jego głupie wiadomości będę dreptać na piechotę.

Kiedy wracam do domu, czuję się padnięta. Siadam na swoim ulubionym miejscu w kuchni i wypijam resztkę wody z butelki kupionej w drodze.

Zmyślam babci bajeczkę o tym, że musiałam zostać trochę dłużej w sklepie. Nie powiem jej przecież, że niemal rozebrałam faceta. Och, już to widzę! Byłaby zachwycona. Od razu planowałyby przyjęcie zaręczynowe.

W pewnym momencie przyglądam się staruszce ze zmartwieniem i zastanawiam, jak mogłam wcześniej nie zauważyć, iż schudła.

Pewnie ta wydra daje jej popalić.

- Babciu, co dzisiaj jadłaś? - pytam poważnie.

- Dwie bułki na śniadanie, a potem pyszną babeczkę i jogurt.

- Kłamczucha! - Wiem, że mnie oszukuje. Później się z nią rozmówię.

Idę na górę wziąć prysznic, bo cała jestem spocona; ubrania dosłownie się do mnie kleją. Zmęczenie również daje o sobie znać, dlatego wchodzę po schodach bardzo powoli, cały czas trzymając się balustrady.

- Zazdrościsz, bo mam taką świetną figurę! - krzyczy Helen. - Gdybym założyła jeszcze tę lawendową sukienkę, nawet ten cały Bieber by się do mnie zalecał.

Wymiękam, totalnie wymiękam. Padam w połowie drogi, wyjąc ze śmiechu.

Reszta tygodnia mija spokojnie; żadnych wiadomości od Rhysa. Najwyraźniej

to, co napisałam, dotarło do przystojniaczka. W międzyczasie dzwoni Amelia i proponuje, żebym w sobotę wieczorem zjadła z nią kolację, a potem została na noc. Chce nadrobić stracone lata, a poza tym nie ma tu innej przyjaciółki. Zgadzam się, dopiero gdy Helen zapewnia, że przyjdzie do niej wtedy sąsiadka.

W pracy nagle pojawiają się problemy: albo magicznie znika utarg, albo dostawa się nie zgadza. Beth dostaje szału i wyżywa się na wszystkich. Owszem, to ona, jako kierowniczka, będzie miała kłopoty, kiedy przyjadą do nas właściciele sklepu, jednak bez przesady.

W sobotę po południu oddycham z ulgą, że czeka mnie choć jeden dzień wolny od tego wariatkowa. Mamuśka jest po „wypłacie”, więc mam z nią spokój na cały weekend. I dobrze. Przygotowana do wyjazdu, siadam przy kuchennym oknie i czekam na Amelię. Nagle przed domem parkuje czarna wypasiona limuzyna, z której po chwili wysiada kierowca. Nie mogę uwierzyć własnemu szczęściu, a raczej pechowi – to ten sam, który wiózł mnie do domu Rhysa Millera.

Wstrzymując oddech, obserwuję, jak otwiera drzwi, a z samochodu wysiada Amelia.

Czy to jakiś żart?

Chciałabym schować się pod stołem. Chcę powiedzieć dziewczynie, że jednak nie mogę dzisiaj wyjść, ale widząc jej uradowaną twarz, nie mam serca tego zrobić.

Poza tym to niemożliwe, żeby świat był aż taki mały.

– Limuzyna, co? – zagaduję, aby sprawdzić, czy moje podejrzenia są słuszne.

– Pożyczona – odpowiada szybko, chwytając mnie za rękę. – Chodź, jedziemy.

Zatrzymujemy się przed jakąś restauracją w bogatej dzielnicy i wysiadamy z pojazdu. Wchodzimy do pięknego, przeszklonego budynku, gdzie chyba wszyscy znają Amelię, ponieważ każdy wita ją ukłonem. Kelner prowadzi nas do ogromnej, jasnej sali. Na okrągłych stolikach, nakrytych śnieżnobiałymi obrusami, czeka już elegancka, lśniąca zastawa. W otoczeniu wielu ozdobnych donic z zielenią ustawiono białe, wyściełane krzesła z wysokim oparciem.

Znajdujemy się w bardziej prywatnej części lokalu. Mężczyzna odsuwa dla nas krzesła, po czym bez zbędnych pytań odchodzi. Jestem ogromnie zmieszana i mam nadzieję, że będzie mnie stać, by zapłacić rachunek.

– Coś się stało? – pyta Amelia.

– Wszystko w porządku, tylko... – Szukam odpowiednich słów, ale żadnych nie znajduję, więc po prostu się rozglądam.

– Pięknie tu, prawda? – szepcze przyjaciółka. – A poza tym możemy jeść i pić do woli, bo lokal należy do... rodziny.

Po chwili kelner nalewa nam wina. Taki kieliszek kosztuje pewnie fortunę. Gdy przychodzi pora, aby zamówić danie, wybieram stek, ponieważ całej reszty albo nie znam, albo nawet nie potrafiłabym wymówić nazwy.

Nasze posiłki zostają przyniesione i, jedząc, w końcu rozmawiamy o czasie, kiedy nie

miałyśmy ze sobą kontaktu.

- Gdzie się podziewałaś przez tyle lat?

- Mieszkałam z rodzicami w Londynie. - Uśmiecha się lekko. - Musiałam, wszyscy musieliśmy układać życie od nowa.

- A... - Chcę zapytać o jej biologiczną rodzinę, lecz nie wiem jak.

- Moja włoska rodzinka? - zgaduje, robiąc mi przysługę. - Są cudowni. Właśnie wróciłam, żeby spędzić z nimi i z tobą więcej czasu.

- Cieszę się - oznajmiam, jednak jeszcze tyle chciałabym się dowiedzieć.

- W porządku, Vivi. Pytaj, o co chcesz - mówi Amelia, najwyraźniej wyczuwając moje niezdecydowanie. - Jesteśmy przyjaciółkami, w tej kwestii nic się nie zmieniło. Mam nadzieję, że uważasz tak samo. Nie mogę się doczekać, kiedy ich poznasz. -

W odpowiedzi kiwam głową, a następnie kończę posiłek.

Przychodzi pora na deser oraz opowieści o mojej rodzinie. Oczywiście najbardziej skupiam się na Helen. Oszczędzam Amelii szczegółów dotyczących mamy, bo po prostu się wstydzę.

W końcu opuszczamy restaurację i udajemy się do domu dziewczyny. Jedziemy bardzo długo, a w pewnym momencie zdaje się, że wyjeżdżamy z Phoenix.

Minąwszy potężną bramę, kierujemy się drogą otoczoną drzewami oraz krzewami.

Wreszcie zajeżdżamy przed okazałą, parterową białą willę. Kierowca skręca w prawo, do garażu. Kiedy wysiadam z pojazdu, nie mogę złapać oddechu, bo wiem, co to za miejsce. Och, jaka ja jestem głupia i naiwna. Trzeba było zaszyć się w domu i nie otwierać drzwi, gdy zobaczyłam tę limuzynę.

Chwyciwszy moją dłoń, Amelia ciągnie moje odrętwiałe ciało do środka. Wchodzimy do salonu, oświetlonego jedynie przez małą lampę stojącą na stoliku przy przeszklonej ścianie. Obok w fotelu siedzi mężczyzna ze szklanką bursztynowego płynu w dłoni. Kiedy odwraca głowę, pozbywam się wszelkich wątpliwości.

Jednak to on.

Przysięgam, że zaraz po prostu zemdleję.

- Rhys, nie wiedziałam, że będziesz dzisiaj w domu - fuka Amelia. - Miałeś wyjechać na cały weekend!

- Postanowiłem zrezygnować w ostatniej chwili. Czy to jakiś problem? - pyta oschle. Podnosi się, odstawia szklankę na stolik i powoli podchodzi. Jego wzrok jak zwykle wlepiony jest we mnie, jakby chciał zajrzeć w głąb mojej duszy. Staram się nie okazać frustracji, która zjada mnie od wewnątrz. W międzyczasie analizuję wszystkie zdarzenia z ostatnich dni i uświadamiam sobie, że mam milion pytań bez żadnych sensownych odpowiedzi.

- Już dobrze - odzywa się Amelia. - Vivi, poznaj mojego Rhysa.

ROZDZIAŁ 5



VIVIANA

Jasna cholera.

Ten facet żądał, abym go rozbierała, wypisywał dwuznaczne wiadomości, a teraz okazuje się, że ma dziewczynę. Ha! Jak na moje szczęście przystało, jest nią Amelia, przyjaciółka sprzed lat. Zawsze mówiłam, że nie chcę być w żadnym związku. Jeśli incydent, w którym uczestniczyłam z tym osobnikiem, można w ogóle nazwać zaczątkiem takowego, to zaliczyłam bolesny oraz bardzo pouczający falstart. W tym momencie jestem niewyobrażalnie wściekła. Mam ochotę podejść i kopnąć gościa kilka razy w tę część ciała, którą zapewne najczęściej myśli. Robiłabym to tak długo, aż jego jaja nie upadłyby na podłogę, żebym mogła je jeszcze podeptać. Morduję go wzrokiem, on zaś lustruje mnie bezczelnie, tak jak poprzednim razem. W ten sam sposób kieruje spojrzenie ku górze, zatrzymując je na piersiach.

Jak może zachowywać się tak przy swojej partnerce?

Założyłam jedyną elegancką sukienkę, jaką mam. Skoro wcześniej nigdzie nie wychodziłam, więcej takich kreacji nie było mi potrzebnych. Z tą kiecką jednak zaszalałam. Jest długa do połowy uda, na szerokich ramiączkach i z czarnej koronki. A dekolt... muszę przyznać, że mógłby być mniej głęboki. Do tego stroju dobrałam czerwone szpilki. Miller zdecydowanie za długo przygląda się mojemu biustowi. Amelia pewnie już nie chce, bym została na noc.

Wzrok mężczyzny przeskakuje w końcu na szatynkę.

- Sprostuj tę informację - rozkazuje.
- Oj, już dobrze - uspokaja go dziewczyna. - Wiesz, że lubię się tak z tobą droczyć, gdy przedstawiam cię kobiecie. Vivi, to mój kuzyn - oświadcza.
- Och! - W tym momencie tylko tyle potrafię wydusić. Nie żebym w ogóle nie była zazdrosna, ale przede wszystkim ominęła mnie wielka niezręczność.
- Tak. Nasi ojcowie byli braćmi, a mamy najlepszymi przyjaciółkami - dodaje.
- Ponownie odnoszę wrażenie, iż kuzyn nie jest zachwycony jej zwierzeniami.
- Amelia, to ty?! - Dobiega krzyk z dalszej części domu.
- Xavier też tu jest? - pyta Amelia z pretensją w głosie. - Wiedzieliście, że chcę dzisiaj dom dla siebie i Vivi!

Odchodzi, zapewniając, że za chwilę wróci, a ja mam ochotę paść na kolana i błagać, aby nie zostawiała mnie z tym erotomanem.

Po prostu pięknie!

Znowu mi się przygląda, skubiąc zębami tę piękną dolną wargę. Nagle podchodzi niebezpiecznie blisko.

- Może czas, byśmy przedstawili się sobie należycie. - Wyciąga rękę. - Rhys Miller.

Bogaty, nadęty dupek.

Po raz kolejny zamieniam się w słup soli. Pewnie zaraz będzie kazał mi się wynosić za tamtą wiadomość. Chociaż tak naprawdę nie wiadomo, co mu odbije. Od jakichś dziesięciu minut sama popadam ze skrajności w skrajność.

Kiedy nie reaguję przez dłuższą chwilę, unosi brew. Gdy odwzajemniam gest, nasze dłonie się spotykają, a ja automatycznie wstrzymuję oddech. Zamieram, żeby następnie poczuć się tak, jakby ktoś potraktował mnie defibrylatorem, aż w końcu zachłannie wciągam powietrze. Próbuję zrozumieć, co się dzieje, i nie potrafię logicznie wytłumaczyć emocji, które targają mną za każdym razem, gdy on jest blisko.

Rhys się schyla, a jego usta lądują na moim policzku, aby złożyć delikatny pocałunek. Na tym jednak nie koniec. Drażni moją skórę delikatnym zarostem, aż jego wargi znajdują się przy uchu i czuję gorący oddech.

- Powiedz, co czujesz - szepcze.

Zbyt oszołomiona, kręcę głową. Nie mogę wymięknąć. Nie mogę sobie na to pozwolić, cokolwiek to jest.

- Nic - wyduszam.

- Nie kłam, Viviano - mówi stanowczo. - Nigdy mnie nie okłamuj.

- Kim ty jesteś?

- Jestem twoją przyszłością, słodka Viviano Thomson...

- Rhys! - Słyszając krzyk Amelii, odskakuję od niego, jak oparzona. - Weź Xaviera i jedźcie do klubu. Albo zróbcie ze sobą cokolwiek innego. To miał być babski wieczór.

Nagle obok dziewczyny pojawia się blondyn od pstrykania palcami. Obserwuje mnie, coraz szerzej otwierając oczy.

- Ty! - Wskazuje palcem.

- Xavi, zachowuj się. - Amelia uderza go w ramię. We mnie natomiast znów narasta potrzeba obrony. Nie dam rady powstrzymać nadmiaru uczuć.

- Jaki problem masz tym razem? Nadal nie wiem, co takiego wtedy zrobiłam, że musiałam znosić twój totalny brak wychowania! - wybucham. - Nie jestem jakąś jałówką, która będzie biegała za tobą w tę i z powrotem, jak tylko pstrykniesz palcami!

O mój Boże, skąd mi się to wzięło?

Zmrużywszy oczy, mężczyzna podchodzi powoli, po czym uśmiecha się promiennie.

No, wariat.

- Witaj w rodzinie - oznajmia, po czym więzi mnie w niedźwiedzim uścisku.

Kim są ci ludzie?

- Xavier - warczy Miller.

- Ach, tak - szepcze blondyn i szybko się odsuwa.

O co znowu chodzi?

Nie tak wyobrażałam sobie nockę u Amelii. Godzinę później siedzimy na ogromnych czarnych sofach w salonie. Amelia z Xavierem wybrali tę

naprzeciw telewizora usytuowanego nad kominkiem, ja zaś zajmuję miejsce na bocznej, ustawionej na wprost przeszklonej ścianie. W fotelu naprzeciwko mnie siada Rhys. Jak mam oglądać film, skoro on nie przestaje się gapić? Gdy już nie wytrzymuję tego dziwnego napięcia, proszę Amelię, by pokazała mi pokój. Przyjaciółka, widząc moje zagubienie, bez wahania spełnia prośbę. Wchodzę do sypialni, która zapiera dech w piersiach. Jak zresztą wszystko w tym domu. Na ogromnym łóżku z kremowym pościeleniem leży już moja torba. Idę do łazienki, w centrum której umieszczono piękną olbrzymią wannę z kryształu. Owszem, zauważyłam, że facet jest bogaty, ale aż tak? Obrobił chyba wszystkie banki świata.

Po wieczornej toalecie kładę się do łóżka i znów o nim myślę. To niezdrowe, że kiedy Rhys Miller znajduje się w pobliżu, przenoszę się do jego magicznej krainy, całkowicie odrywając od rzeczywistości. Muszę stąd uciec. Zakładam cienki szlafrok i opuszczam pokój. Na bosaka powoli kieruję się korytarzem do salonu. Rozsuwam szklane drzwi, wychodzę na zewnątrz, a następnie siadam na jednym z leżaków.

Obserwując podświetloną taflę wody w basenie, biję się z myślami.

- Nie rób tego. - Zamykam oczy, słysząc jego głos.

Czuję, jak się zbliża, po czym siada obok. Kiedy unoszę powieki, widzę, iż nadal ma na sobie garnitur.

- Czego mam nie robić? - pytam cicho.

- Nie uciekaj - odpowiada łagodnie. - Mojej kuzynce przyda się damskie towarzystwo. Cieszy się, że ma cię z powrotem.

- To nie przed nią chcę uciec. - Niemal zbieram się na odwagę, aby powiedzieć, jak bardzo czuję się przez niego przytłoczona, lecz wiem, że wyznałam za wiele. Nie potrafię nawet rozsądnie myśleć.

- Nie zrobię ci krzywdy, Viviano - zapewnia. - Nigdy się mnie nie obawiaj.

- Skąd wiesz, czego się boję?

- Wiem o tobie wszystko. - Zatapia usta w moich włosach, składając pocałunek, po czym wstaje i odchodzi. - Ach, jeszcze jedna sprawa - dodaje, stojąc przy drzwiach.

- Nigdy nie skradaj się po domu. Dla własnego dobra.

Jestem jeszcze bardziej skołowana. Zdaję sobie sprawę, że żyję w małej, zapewne nudnej dla wielu bańce, i do tej pory jedyną najważniejszą osobą w moim życiu była babcia. Nie żebym stroniła od towarzystwa, ale po ukończeniu liceum nie miałam za wiele czasu na zawieranie znajomości. Nigdy nie chciałam poznać mężczyzny. Nie potrzebowałam go, przynajmniej nie w aspekcie związku bądź randkowania. Teraz jednak pojawił się on. Dziwny, jak z innej galaktyki, pojawiający się dosłownie wszędzie... A wraz z nim te niewytłumaczalne zbiegi okoliczności, które wiedą do naszych spotkań.

ROZDZIAŁ 6



VIVIANA

Z samego rana niepewnie opuszczam sypialnię w obawie, że wpadnę na Rhysa. Przemierzając korytarz, czuję zapach spalenizny, a po wejściu do kuchni przystaję. Amelia mruczy coś pod nosem, wyrzucając patelnię do kosza. Odwróciwszy się, odgarnia z twarzy długie ciemne pasma i wydyma dolną wargę.

- Chciałam zrobić śniadanie, ale z patelnią Rhysa jest chyba coś nie tak - marudzi, a ja zacznam się śmiać.

- Mhm, tak to sobie tłumacz. - Podchodzę do wyspy, po czym siadam na stołku. - Mnie rano wystarczy kawa. Jeśli ją masz, będę szczęśliwa - mówię, wyraźnie poprawiając humor przyjaciółce.

Chwilę później obejmuję dłońmi kubek z moim ulubionym napojem i pytam, czy zostałyśmy same. Okazuje się, że Rhys z Xavierem musieli gdzieś jechać.

Co za ulga.

- Więc o co chodzi z tobą i moim kuzynem?

- O nic. - Wzruszam ramionami.

- Aha. I pewnie dlatego wczoraj samo przebywanie z wami w jednym pomieszczeniu prawie doprowadziło mnie do orgazmu.

Z trudem przełykam ślinę. Czuję, że zaczynam się rumienić, co widocznie przykuwa jej uwagę, bo uśmiecha się przebiegle.

- A jednak! - Bierze łyk kawy, przyglądając mi się spod półprzymkniętych powiek. - No, gadaj mi tu! - żąda, odstawiając kubek na ciemny blat.

- Przestań! Widziałam go raptem trzy razy. Nie moja wina, że on się zachowuje, jakby... no, nie wiem. - Wymachuję rękoma i wzdycham bezradnie, bo sama chciałabym ogarnąć swoim maluczkim umysłem tę pogmatwaną sytuację.

- Ale ja wiem! - wykrzykuje Amelia, podnosząc rękę. - Jakby znalazł osobę, u boku której warto stać. Uwierz mi, Rhys nigdy nie był w związku i przenigdy nie ganiał za żadną kobietą. Z tego, co wiem od Xaviera, powiem ci jedno, masz przechłapanie. Ale cieszę się, że moja przyjaciółka będzie moją jakby szwagierką. - Piszczy, unosząc kciuki.

Dom wariatów.

- Możemy zmienić temat? - pytam błagalnie.

Krzywi się, lecz ostatecznie przystaje na moją prośbę. Gadamy jeszcze przez jakąś godzinkę o wszystkim i o niczym, aż stwierdzam, że pora wracać do domu. Do babci.

Idę do pokoju po torby, a kiedy wracam do salonu, zastaję w nim potężnie zbudowanego, tysego gościa. Jest ubrany na czarno, a jego oczy są zasłonięte okularami.

- Vivi, poznaj Mike'a. Rhys podobno kazał mu bezpiecznie dowieźć cię na miejsce - oświadcza Amelia, starając się brzmieć poważnie, jednak widzę, że lada chwila wybuchnie śmiechem.

W tym momencie opadam z sił. Nie mam innego wyjścia, więc pozwalam zaprowadzić się do samochodu. Im szybciej się stąd wyrwę, tym lepiej.

Po długiej i niezręcznej przejażdżce w towarzystwie wielkoluda, wchodzę do domu. Praktycznie całą drogę przebyłam, siedząc cicho na miejscu pasażera. Babcia stoi przy oknie kuchennym, z zaciekawieniem obserwując odjeżdżający pojazd.

- No, no! Jak już moja wnusia zaczęła wychodzić do ludzi, to z przytupem - stwierdza żartobliwie.

- Bardzo śmieszne - fukam, cmokając ją na powitanie.

- No, opowiadaj.

Ale ciekawska. Już ja jej naopowiadam.

- Byłam w klubie, upiłam się, a potem poznałam faceta i straciłam dziewictwo - zmyślałam na poczekaniu.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, a jej wargi drżą nieznacznie.

O mój Boże!

Przyglądam się temu z przerażeniem. Jeśli będzie trzeba, zacznę się tłumaczyć, żeby przez durny żart babcia nie zeszła na zawał.

Nagle, ku mojemu zdumieniu, odrzuca głowę, wybuchając śmiechem.

- Głupia ty! Myślisz, że nie wiem, że na balu maturalnym oddałaś się temu całemu Lucasowi?

Matko kochana, skąd ona o tym wie?!

- Babciu... - Może mam dwadzieścia cztery lata, ale teraz czuję się jak pięciolatka, która powinna przeprosić.

- Oj, przestań już. - Macha ręką. - Było od ciebie czuć seksem na kilometr. Dzieciaki i to ich przekonanie, że bal maturalny to jakaś rozdzielnicza. - Zaraz zamienię się ze wstydu w żywą pochodnię. - Nie wstydz się. Ja i twój dziadek jeszcze przed osiemnastką zaszaleliśmy...

- Nie chcę tego słuchać! - Zastaniam uszy dłońmi.

Fuj!

Po dziwnym weekendzie nadchodzi poniedziałek. Nie spodziewając się już żadnych niespodzianek, wchodzę do kuchni. Natychmiast zaczynam krzyczeć.

- Co ci się stało? - pytam przerażona.

Przy stole siedzi mama. Ma opuchniętą oraz napompowaną twarz, a także gigantyczne usta. Nie wygląda, jakby ktoś ją pobił; raczej jakby została zamknięta

z chmarą wygłodniałych komarów, os i innych owadów.

- Nie bądź bezczelna - mówi, a przynajmniej tak to brzmi. - To się nazywa kwas hialuronowy. - Opuszkami palców dotyka olbrzymich policzków.

Potrząsam głową, a następnie zaczynam przygotowywać śniadanie. W międzyczasie zastanawiam się, po co jej botoks czy kwas hialuronowy, jeśli zmarszczki są prawie niewidoczne. Pewnie jakaś koleżanka sobie zrobiła, a przecież trzeba podążać za trendami panującymi w kręgu znajomych. Nie przejmuję się, że tym samym straci pieniądze, bo wtedy pożyczę od córki.

Kiedy wychodzę do pracy, zatrzymuję się na najniższym stopniu, obserwując parkującego przy chodniku SUV-a, z którego po chwili wysiada Mike - jeden z ochroniarzy Rhysa. Otwiera drzwi od strony pasażera, ostentacyjnie wskazując, bym wsiadła.

- Dziękuję za fatygę, ale w Phoenix istnieją środki komunikacji miejskiej i doskonale dają sobie radę - oznajmiam spokojnie, choć jestem wściekła.

Mężczyzna nie wydaje się zainteresowany tym, co mam do powiedzenia. Ponownie zaprasza mnie do środka, jednak ja nie zamierzam się poddawać. Wyławiam komórkę z torebki i dzwonię do Amelii. Odbiera już po pierwszym sygnale.

- Wiedziałam, że tak będzie. - Chichocze. - Po prostu z tego korzystaj, Vivi.

- Z czego? Z tego, że facet, którego nie znam, pieprzy, że jest moją przyszłością, żąda, abym go rozbierała, a teraz przydzielił mi gigantycznych rozmiarów niańkę?! - Mam gdzieś, że właśnie za dużo wygadałam.

- Nic między wami nie zaszło, hm? - pyta rozbawiona Amelia. - Ciesz się tym, serio. Rhys może jest dziwny, ale zależy mu na bliskich. Chroni ich za wszelką cenę.

- Nie jestem jego bliską - fukam, opadając z sił przez jej głupie gadanie, a przy okazji morduję wzrokiem ochroniarza.

- Jesteś moją przyjaciółką, od kiedy nosiłam pieluchy. Tyle mu wystarczy.

- Tylko dziś, Amelia - podkreślam.

- Tak, tak. Oczywiście. - Ze śmiechem kończy rozmowę.

Zdrajczyńi.

Wskakując na siedzenie, psioczę pod nosem na bogatych ludzi oraz ich fanaberie.

Gdy docieram na miejsce, oddecham z ulgą, lecz nie na długo, ponieważ zauważam Mike'a kręcącego się przed wejściem.

Wariaci!

W kolejnych dniach nic się nie zmienia. Codziennie dojeżdżam do sklepu w asyście ochroniarza. W pracy znowu pojawiają się problemy. W magazynie brakuje towaru, więc w kasie robi się kolejne manko, przez co szefowa daje nam popalić. Nie wspominając o napiętej atmosferze między nami, pracownikami. Ostrzegam jednak Beth, aby nie wyżywała się na mnie, gdyż znajduję się przy ladzie tylko wtedy, kiedy zanoszę rzeczy klienta.

W środę przez roztargnienie zostawiam portfel w domu. Nie dzwonię do babci, żeby jej nie denerwować, lecz jestem święcie przekonana, że mamuśka go opróżni. Po powrocie z pracy okazuje się jednak, iż zawartość nie została naruszona. Ma

szczęście.

W czwartek rano idę do bankomatu, by wypłacić pieniądze na rachunki. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu na ekranie wyświetla się komunikat: „Brak środków na koncie”. W tym miesiącu wyszłam na zero, a do końca tygodnia muszę zrobić opłaty. Poza tym powinnam mieć trochę kasy na leki dla babci.

Zdenerwowana dzwonię do Beth i pytam czy mogę się chwilę spóźnić. Dostaję pozwolenie, więc od razu biegnę do banku. Okazuje się, że poprzedniego dnia konto zostało wyczyszczone co do centa. Ta cholerna żmija mnie okradła! Kiedyś postąpiła tak samo z kontem babci, dlatego założyłam nam wspólne. Co mam teraz zrobić? Jeśli powiem Helen, za bardzo się zdenerwuje.

Postanawiam załatwić sprawę inaczej. Wsiadam do samochodu i proszę Mike'a, aby zawiózł mnie do sklepu.

- Coś się stało? - pyta.

Chyba wyczuł mój nastrój, bo do tej pory słowem się nie odezwał.

- Nie, nic takiego - odpowiadam, starając się brzmieć normalnie. Przecież nie przyznam, że zostałam okradziona przez własną matkę. Jest mi za nią wstyd.

Gdy dojeżdżam do salonu, odchodzę z Beth na bok. Nie wyjaśniam, co się wydarzyło, ale proszę o zaliczkę, paląc się przy tym ze wstydu. Szefowa obiecuje, że na koniec zmiany wypłaci mi jakieś pieniądze.

Jednak tuż przed zamknięciem wybiega z krzykiem z magazynu.

- Nie mam siły! Która to zrobiła? Dopiero co dowieźli towar, a już brakuje zestawu spinek do mankietów!

Dlaczego kieruje wzrok na mnie?

- Beth, tu są kamery. Wystarczy sprawdzić nagrania. - Próbuję ją uspokoić.

- Poczekajcie wszystkie na zapleczu - rozkazuje.

Przez sklepową witrynę widzę, jak Mike przygląda mi się, rozmawiając przez telefon. Wchodzę do pokoju, gdzie siedzą już pozostałe dziewczyny, a za mną pojawia się Beth.

- Pokazywać torby! - krzyczy.

Kiedy bez obaw sięgam po swoją, z przedniej kieszonki wypadają spinki. Jestem dosłownie oniemiała. Upuszczam torebkę, mając wrażenie, że tracę grunt pod nogami. Rozgrzane od emocji ciało oblewa zimny pot. Po prostu nie rozumiem...

O Boże, dlaczego mi się to przydarzyło? Kto to zrobił?

Patrzę z przerażeniem na wysadzone diamentami spinki, rozsypane po podłodze. Moje oczy zachodzą łzami, bo wiem, że zostałam wrobiona w kradzież.

- Nie mogłaś poczekać do końca pracy, tylko kradłaś? - pyta oskarżycielsko Beth. Spoglądam na nią, nie wierząc w to, co właśnie usłyszałam.

- Może naprawdę przejrzyś nagrania z monitoringu, co?! - wybucham. - Nie jestem pieprzoną złodziejką!

Zdaję sobie sprawę, że to może źle wyglądać, jednak nigdy w życiu nie posunęłabym się do takiego czynu. Łzy płyną po moich policzkach, bo czuję się całkowicie bezradna oraz ukarana przez los. Z każdą minutą staję się coraz bardziej otepiała, gdy stoję na środku pomieszczenia, obrzucana obelgami przez Beth i współpracownicy.

Kiedy otwierają się drzwi, zapada cisza.

Widząc Rhysa Millera, czuję się tak, jakby ktoś dźgnął mnie prosto w serce.

Chciałabym go zapytać, co tu robi, ale kiedy staje za nim Mike, znam już odpowiedź.

Miller spogląda na mnie, marszcząc brwi, po czym zerka na pozostałe kobiety.

Opanowanie oraz spokój, które dotychczas były jedynymi cechami, jakie u niego zauważyłam, znikają. Na jego twarzy maluje się furia.

Wiem, że za chwilę usłyszy masę kłamstw. Z całą pewnością mi nie uwierzy, podobnie jak reszta zebranych, a ja, pomimo iż nie zrobiłam nic złego, nie zniosę poczucia winy i bezgranicznego wstydu.

Przeciskam się między mężczyznami, a następnie uciekam. Może utwierdzi to wszystkich w błędnym przekonaniu, że jestem zwykłą złodziejką, lecz mam to gdzieś. Pędzę przed siebie, byle jak najdalej stąd.

ROZDZIAŁ 7



VIVIANA

Włóczę się po ulicach nieznannej mi części miasta. W końcu wchodzę do parku. Opuściwszy głowę, idę alejką, starając się nie zderzyć z innymi spacerowiczami.

Kiedy trafiam na odpowiednie, opustoszałe, miejsce, siadam na ławce. Przyciągam nogi do klatki piersiowej, kładę policzek na kolanach i daję upust emocjom. Totalnie się rozklejam. Chlipię, co chwilę pociągając nosem. To by było na tyle, jeśli chodzi o próby osiągnięcia czegoś w życiu. Tyle wyszło z mojej uczciwości. Mam serdecznie dość bezmyślnego zachowania samolubnej matki oraz jej wyskoków.

Nie wiem, jak długo rozmyślam nad różnymi rozwiązaniami całej sytuacji, kiedy coś lub ktoś opada obok na ławkę. Gdy unoszę wzrok, okazuje się, że jest już ciemno.

- Znalazłem ją - informuje Mike przez telefon, po czym podaje lokalizację. Kończy rozmowę, wzdychając.

Chowa komórkę do kieszeni, a z drugiej wyjmuję chusteczkę i wręcza mi ją.

- Szef bardzo się martwił - oznajmia zdyszany. - Zdajesz sobie sprawę, jak niebezpiecznie jest w Phoenix? - Patrzy na mnie karcąco, na co się wzdrygam.

- Twój szef mnie nie zna - stwierdzam smutno.

- Widocznie wystarczająco, aby przejąć się twoją ucieczką.

Kiedy spoglądam w głąb alejki oświetlonej latarniami, dostrzegam zmierzającego w naszym kierunku mężczyznę. Wiem, że to on.

Wstaję, obejmując się ramionami.

- Mike - mówi Rhys, patrząc na mnie. Ochroniarz odchodzi, zostawiając nas samych.

- Nie zrobiłam tego, przysięgam. - Ledwo udaje mi się powiedzieć cokolwiek przez zaciśnięte od emocji gardło.

- Wiem - zapewnia. - Dlaczego uciekłaś?

- Nie codziennie zostaję okradziona przez własną matkę, a potem jeszcze oskarżona o kradzież - oświadczam ironicznym i natychmiast odwracam głowę, zażenowana, że zbyt wiele wyznałam. To nie jego sprawa.

- Twoja matka cię okradła. - Znowu zaczyna powtarzać moje słowa. - Dlatego prosiłaś w pracy o zaliczkę? - W tym momencie poziom poczucia wstydu sięga zenitu.

- Nie powinieneś się wtrącać w moje sprawy. I tak za dużo ci powiedziałam.

- Viviano Thomson, odkąd przekroczyłaś próg mojego domu, twoje sprawy stały się moimi. - Podchodzi bliżej, po czym unosi rękę i kciukiem ociera zabłąkaną łzę. -

Poza tym byliśmy już w sytuacji, kiedy bezwstydnie mnie rozbierałaś, więc trochę za późno na bycie skrupowaną.

Nie wierzę. Czy on naprawdę to powiedział?

Usta Rhysa rozciągają się w delikatnym uśmiechu, który widzę po raz pierwszy. Wiem, że próbuje poprawić mi humor, ale wywołuje to we mnie mieszane uczucia. Kiedy prychem, w jego oczach pojawia się błysk triumfu. Po chwili jednak oboje poważniejemy i ponownie robi się między nami niezręcznie.

- Czas, żebyś wróciła do domu, jutro zajmiemy się resztą. Chodź. - Sięga po moją dłoń.

Gdy idziemy alejką, robię wszystko, by zająć umysł czymkolwiek i nie skupiać się na tym, że pod wpływem jego dotyku po raz kolejny przechodzi mnie prąd. Gdybym chwyciła żarówkę, z pewnością by się zaświeciła. Jednak dzięki Rhysowi czuję się bezpiecznie, a także jestem dziwnie przekonana, iż wszystko jakoś się ułoży.

Przy wejściu do parku czeka kierowca, który szybko otwiera drzwi limuzyny. Kiedy Miller siada naprzeciw mnie, pojazd rusza. Chwilę później mężczyzna wręcza mi wyjęte z portfela pieniądze, twierdząc, że to pożyczka. Poczucie wstydu powraca, lecz nie mam innego wyjścia, dlatego chowam dumę do kieszeni i biorę banknoty, obiecując, że oddam tak szybko, jak będę mogła.

Przez resztę drogi Rhys wbija we mnie wzrok, natomiast ja staram się na niego nie patrzeć. Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do uczuć, które targają mną, gdy przebywam z nim sam na sam. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, szofer otwiera drzwi i Rhys opuszcza limuzynę. Po chwili wyciąga rękę, aby pomóc mi wysiąść. Stoję przed nim, nie wiedząc, jak się zachować, zwłaszcza że on cały czas ściska moją dłoń.

- Dziękuję za wszystko, co dzisiaj dla mnie zrobiłeś. - Uśmiecham się niepewnie.

- Z wielką przyjemnością, Viviano - mówi dziwnym tonem, po czym powoli się pochyla, a ja zamieram.

Wstrzymuję oddech, kiedy jego boskie, ponętne usta lądują na moim policzku. Czując, że podąża w kierunku warg, zamykam oczy. Jednak on zatrzymuje się blisko, a następnie odsuwa. Natychmiast wracam do rzeczywistości i przełykam bolesne poczucie straty czegoś pięknego. Nie rozumiem, co we mnie wstąpiło. Zawsze przecież potępiałam zachowanie matki oraz jej pociąg do obcego mężczyzny, czego zresztą jestem owocem. Przyglądam się Millerowi, który wygląda, jakby nagle stracił panowanie nad swoją postawą. Po raz pierwszy mam wrażenie, że pokazuje tak dobrze do tej pory skrywane emocje.

- Muszę wracać do obowiązków - oznajmia beznamiętnie.

Kiwam głową, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że blokuję wejście do samochodu. Odsuwam się szybko i pędzę do domu.

Jestem już przed drzwiami, kiedy kierowca krzyczy, bym zaczekała, a następnie podaje mi torebkę. Dziękuję mu, a potem dosłownie wbiegam do środka, trzaskając drzwiami. Nie mam jednak czasu przeżywać minionych wydarzeń, bo z kuchni wyłania się wkurzona Helen.

- Masz chłopaka i ja nic o tym nie wiem? Dlaczego go nie zaprosiłaś?! Chciałam go poznać!

- Babciu, to nie jest mój chłopak, tylko kuzyn Amelii - wyjaśniam.

- Mhm, wszystkim jej kuzynom pozwalasz się tak całować? - Krzywi się, krzyżując

ręce na klatce piersiowej.

No i co mam jej powiedzieć?

Przysięgam, że zabiję dechami wszystkie okna.

- Jestem zmęczona, babciu. Pogadamy rano, dobrze?

- Dobra, ale to nie koniec.

Och, wiem, że to nie koniec. Będzie mnie zadręczała milionem pytań, żeby potem podczas gry w bingo z koleżankami debatować nad moim nieistniejącym życiem towarzyskim.

Następnego dnia po śniadaniu opowiadam babci, co się wczoraj wydarzyło. Boję się, że będzie to za bardzo przeżywała, lecz nie lubię niczego przed nią ukrywać. Helen wyklina moją matkę, zarzekając się, iż tym razem nie wpuści jej do domu. Obie jednak wiemy, że będzie inaczej, ponieważ jesteśmy za dobre dla tej pijawki.

Upewniwszy się, że staruszka może zostać sama, idę zapłacić nieszczęsne rachunki oraz wykupić leki. Kiedy wracam, babcia czeka w wejściu.

- Przed chwilą przysłała Alice. - To przyjaciółka Helen, mama Beth.

- Coś się stało? - Mam nadzieję, że ta wizyta nie miała ze mną nic wspólnego.

- Podobno właściciele sklepu zjawili się rano z jakąś ekipą i zaczęli wszystko pakować. Dali pracownikom do ręki odprawy, a potem powiedzieli, że zamykają interes, bo muszą pilnie wyjechać - relacjonuje Helen, podekscytowana nowymi plotkami.

- Ale jaja, tak nagle... - mówię do siebie.

Wchodzimy do kuchni, gdzie opadam na krzesło.

- No, i okazało się, że w tę kradzież wrobiła cię jakaś dziewczyna zazdrosna o klienta. Od razu została zabrana przez policję.

Cholera, nikt mi nie dał znać.

Nie powinni przypadkiem mnie wezwać, żebym złożyła wyjaśnienia?

Nagle zaczyna dzwonić mój telefon.

- Słucham? - rzucam, jeszcze będąc myślami przy sprawie sklepu.

- Hej, Vivi. Będę u ciebie za dwie godzinki, bądź gotowa - świergocze Amelia.

- Miło, że pytasz, wiesz? Niestety...

- Za dwie godziny jedziemy na zakupy, a wieczorem wychodzimy. Pa! - informuje, po czym się rozłącza.

Zamorduję ją!

ROZDZIAŁ 8



VIVIANA

Równy o trzeciej rozlega się dźwięk dzwonka. Przyjaciółka siłą wyciąga mnie z domu, a Helen pomaga jej, zatrzasnąwszy za nami drzwi. Na zewnątrz czeka Mike w towarzystwie innego ochroniarza, Jareda.

Wsiadamy do czarnego SUV-a i ruszamy.

Całą drogę siedzę naburmuszona, ponieważ nie potrzebuję niczyjej litości, a poza tym nie mam pojęcia, o co chodzi z tą ochroną.

- Och, wyluzuj! - mówi Amelia. - Jestem pewna, że gdyby role się odwróciły, zrobiłabyś to samo.

- Zrobiłabym, ale mimo wszystko źle się z tym czuję - odpowiadam, nadal obserwując mijane budynki. - Czuję się, jak...

- O nie! Nie jesteś swoją matką, Vivi. Nikogo nie wykorzystujesz.

Godzinę później biegam za dziewczyną, która zdejmuje ubrania z wieszaków, a następnie rzuca nimi we mnie, twierdząc, że muszę je mieć. Z zaciśniętą szczęką przymierzam wszystkie ciuchy i zgrzeszyłabym, gdybym powiedziała, że sama sobie się w nich nie podobam, jednak te ceny...

Masakra.

Im dłużej tu przebywamy, tym większą mam ochotę wpełznąć pod jeden z regałów i nie wychodzić, aż do zamknięcia sklepu. Amelia natomiast jest w swoim żywiole - nawet śmiem twierdzić, że wpadła w jakiś trans. W jednej sekundzie zachwyca się suknią wieczorową, by po chwili tulić buty jakiegoś Choo z nowej kolekcji. Niemal skaczę z radości, gdy oznajmia, że ma dość zakupów. Kiedy jednak chcę wybrać jedną rzecz, a przyjaciółka informuje, iż zapłaci za wszystkie, nie wytrzymuję. Nie pomaga też fakt, że przy kasie wyjmuję kartę, na której widnieje imię jej kuzyna. Zaczynam się z nią kłócić, czym wywołuję chyba spore zamieszanie, bo podchodzi Mike i ruchem głowy wskazuje w bok. Klientki obdarzają mnie dziwnym spojrzeniem, oczy ekspedientek zaś wręcz ciskają błyskawice. Postanawiam zamknąć się na ten moment, lecz z pewnością nie odpuszczę.

Po powrocie do samochodu chcę ponownie upomnieć Amelię.

- Zanim znowu zaczniesz narzekać, mam prośbę - oświadcza, ubiegając mnie. - Wstrzymaj się z tym do końca weekendu, a na dzisiaj wybierz jedną kreację.

Węszę podstęp, ale nie chcąc wyjść na niewdzięczną sukę, zgadzam się.

Wieczorem, po męczących przygotowaniach, podjeżdżamy pod klub. Mike

otwiera drzwi samochodu, przy którym czeka już kilku osiłków. Gdy wysiadamy, natychmiast zostajemy otoczone tak ciasno, że ledwo możemy oddychać. Przyglądam białą sukienkę i chwieję się przez chwilę na szpilkach, ściskając w prawej dłoni czarną kopertówkę. Ten cały wypad wcale nie był dobrym pomysłem.

- Amelia, jesteś córką jakiegoś szejka czy co? - pytam, krzywiąc się, a przyjaciółka zerka na mnie przeprasząco.

- Mój kuzyn ma bzika... - Urywa, przygryzając dolną wargę.

Jej oczy lśnią, jakby wzbierały w nich łzy. Kiedy łapie mnie za rękę, czuję dziwny niepokój.

- Amelia, co się dzieje?

- Nic. Chodźmy się bawić. - Uśmiecha się smutno, a ja mam wrażenie, że głupi żart o szejku nie był tak daleki od prawdy.

Kim oni wszyscy są?

W końcu ruszamy z naszą obstawą, przez którą nic nie widzę. Mogę się jedynie domyślać, iż zbliżamy się do wejścia, kiedy słyszę kłótnie osób stojących za barierką. Kierujemy się w lewo, następnie skręcamy, po czym wchodzimy po kilku stopniach. Na górze ochroniarze wreszcie odchodzą, dzięki czemu mogę się rozejrzeć. Dostrzegam ogromny bordowy narożnik oraz szklany stolik, więc podejrzewam, że jesteśmy w loży. Gdy podchodzę do czarnej barierki, nie wierzę własnym oczom. Nigdy nie byłam w żadnym klubie, a na żywo widok robi zdecydowanie większe wrażenie niż w telewizji.

Pomieszczenie ma kształt owalny. Cztery poziomy wypełnione są ludźmi, natomiast piąty otaczają lustra. Dookoła znajduje się kilka balkonów, takich jak ten, na którym stoimy, jednak większość z nich została osłonięta. Na dole jest najdłuższy bar, jaki kiedykolwiek widziałam - ciągnie się przez cały lokal. Kilkunastu barmanów na okrągło obsługuje klientów, których są chyba tysiące, na parkiecie zaś praktycznie nie ma wolnego miejsca. Zerkam w stronę schodów do loży, gdzie właśnie ustawiała się grupka osiłków.

Wzdycham.

- Imponujące, prawda? - zagaduje Amelia, stając obok.

- Ten lokal należy do Rhysa? - odpowiadam pytaniem, chociaż właściwie sama się tego domyślałam, kiedy nie musiałyśmy płacić za wejście.

- Tak, inaczej nie miałybyśmy pozwolenia na wyjście z domu. - Szczęka mi opada.

Że co ona powiedziała?

- Chyba ty. Mnie to nie dotyczy - mówię.

- Oj, Vivi. Nadal będziemy udawać, że Rhys nie szaleje na twoim punkcie? - Śmieje się. - Chodź, usiądziemy, a Mike przyniesie nam drinki.

Dwie kolejki Cosmo później Amelia chce iść potańczyć - wstaje i ciągnie mnie za rękę, aż podnoszę tyłek. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie potrafię się ruszać tak, jak ci wszyscy ludzie na parkiecie. *Cholera*. Po dwóch drinkach, a do tego w butach na wysokim obcasie, w które wcisnęła mnie

przyjaciółka, po prostu się tam zabiję. Nie mam jednak czasu zaprotestować, bo kiedy zaczyna się ulubiona piosenka tej wariatki, zostaję zaciągnięta na dół.

Dookoła dzieją się dziwne rzeczy. Nawet bardzo dziwne. Choć po kilku godzinach uzupełniania promili, z pomocą Amelii nauczyłam się tańczyć, odnoszę wrażenie, że coś jest zdecydowanie nie w porządku. Mimo że podchodzą do nas całkiem przystojni faceci, długo z nami nie zabawiają. Po chwili każdy robi się błądy i czym prędzej ucieka. Niektórzy po prostu znikają. Amelia też krzywi się na myśl, że żaden nie może z nami wytrzymać, lecz ona przynajmniej nie musi się martwić o wygląd.

Boże! A może to ja ich odstraszam?!

Jestem jednak w stanie błogiego upojenia alkoholowego, więc mam to gdzieś. Jak się nie podoba, to won. Wzruszam ramionami i tańczę dalej. Gdy dołączają do nas kolejni delikwenci, nie zwracam na nich uwagi, bo wiem, że za parę minut będą wiać, gdzie pieprz rośnie. Wygląda jednak na to, iż bawią się coraz lepiej, aż w końcu spoglądają na siebie z dziwnymi uśmiechami.

Wkurza mnie już to.

Amelia, będąc w jakimś transie, zarzuca ręce na szyję bruneta, a ja znajduję się w niezręcznej sytuacji ze śliniącym się do mnie blondynem. Jak na moje nieszczęście przystało, nagle rozbrzmiewa wolniejsza piosenka. Chcę wrócić do łoża, ale mężczyzna z zaskoczenia łapie mnie za biodra, przyciągając do siebie. Od razu próbuję go odepchnąć, lecz to by było na tyle. Wszystko, co następuje później, dzieje się bardzo szybko. Olbrzymia dłoń zaciska się na szyi niedoszłego partnera, który natychmiast zostaje odciągnięty i razem z ochroniarzem znika w tłumie. Zauważywszy całe zajście, towarzysz Amelii posyła wiązaną przekleństw pod adresem kogoś za moimi plecami. Kiedy się odwracam, widzę Mike'a oraz kilku innych ochroniarzy. Jeden z nich odciąga bruneta od mojej przyjaciółki.

- Zamorduję go! - krzyczy Amelia, spoglądając w stronę luster.

O cholera! Czy Rhys nas obserwuje?

Ciągnie mnie za rękę, przeciskając się między wijącymi się ciałami w nieznanym kierunku. Gdy słyszymy wrzaski ochroniarzy, przyjaciółka przyspiesza. Idziemy do końca baru, gdzie mijamy dwóch osiłków. Otworzywszy ciemne drzwi, wchodzimy w oświetlony korytarz. Mrużę oczy i mrugam kilkakrotnie, żeby przyzwyczaić wzrok. Kiedy stajemy przed windą, Amelia wystukuje kod i nie musimy długo czekać, aż rozsuna się metalowe drzwi. Zostaję wciągnięta do środka, po czym zauważam Mike'a biegnącego w naszą stronę. Nie udaje mu się jednak dostać do kabiny. Chwilę później podążamy kolejnym korytarzem. Przyjaciółka przez cały czas mruczy coś pod nosem, a w końcu z impetem otwiera drzwi do jednego z pokoi, zatrzymuje się w progu i prosi, abym tu na nią poczekała.

Wkraczam do pomieszczenia, gdzie bokiem do wejścia ustawiono okazałych rozmiarów biurko, natomiast niedaleko drzwi umieszczono czarną skórzaną kanapę.

Jednak moją uwagę najbardziej przykuwa przeszklona ściana. Gdy podchodzę i przykładam do niej dłoń, jestem zachwycona, ponieważ mogę obserwować z góry cały lokal. Nagle gaśnie światło; widzę tylko błyski reflektorów po drugiej stronie. Zamiast zareagować, stoję w miejscu – jedynie mój wzrok wędruje wyżej. Wiem, że on tu jest, ponieważ w tafli przede mną odbija się jego sylwetka. Gdy znajduje się bardzo blisko, wstrzymuję oddech, patrząc, jak się pochyla, a następnie składa na mojej szyi pocałunek. Łapie mnie za biodra, delikatnie przyciągając. Unosi głowę, po czym wbija przenikliwy wzrok w moje odbicie.

– Słodka, słodka Viviano – szepcze zmysłowo. – Czy ostatnim razem nie wyraziłem się wystarczająco jasno?

Moje serce z każdą sekundą bije coraz szybciej, natomiast nogi drżą. Przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu jest czymś nie do opisania. Jednak kiedy czuję na sobie jego dotyk oraz oddech, a także słyszę głos, odnoszę wrażenie, jakbym ze świata realnego przechodziła do krainy wiecznej ekstazy.

– Rhys...

– Powiedziałem, że to ja jestem twoją przyszłością – mówi lekko zachrypniętym głosem. – Ty. Jesteś. Moja.

– Rhys, nie możesz... – Resztkami sił staram się bronić przed tym, co ma nadejść, ale nie potrafię.

– A teraz pokażę ci, kto, gdzie i jak może cię dotykać.

ROZDZIAŁ 9



VIVIANA

Słowa Rhysa w szalonym tempie rozpalają moje zmysły i chcę krzyknąć: „TAK!”. Jego lewa dłoń wędruje do brzucha, by przyciągnąć mnie jeszcze bliżej, a twarda, nabrzmiata męskość wbija się w dół moich pleców. Prawa ręka zaś przesuwana się w dół, do brzegu sukienki. Mam dziwne wrażenie, jakby materiał współpracował, kurcząc się, aby Rhys mógł szybciej uzyskać dostęp do wybranego przez siebie miejsca. Miękkie usta cały czas torturują mnie swoją doskonałością, sunąc po odsłoniętym ramieniu, natomiast narastające między udami napięcie przypomina czystą agonię. Jeśli ten mężczyzna już teraz doprowadza mnie do stanu seksualnej lewitacji, to co będzie, kiedy...

O wielcy bogowie seksu i rozwalającego umysł orgazmu, miejcie litość!

Strzępki zdrowego rozsądku, które eksplodowały wraz z pierwszym dotykiem Millera, z powrotem układają się w całość, zmuszając do powrotu do rzeczywistości. – Nie mogę – mówię, po czym zamykam oczy. Natychmiast zaczynam nienawidzić samą siebie za te słowa.

Rozgrzane, emanujące seksem ciało Rhysa staje się zimne niczym stal. Ogarnia mnie tęsknota za tym, co było mi dane przeżywać jeszcze przed chwilą. Czuję się taka zagubiona... Kiedy unoszę powieki, napotykam w szybie oziebły, niewyrażający emocji wzrok.

– Nie mogę, bo cię praktycznie nie znam – tłumaczę szeptem. Nie potrafię zdefiniować żadnej przebiegającej przez głowę myśli. Wiem tylko, że z jakiegoś absurdu powodu wypełnia mnie poczucie winy. Z drugiej strony, czuję się kompletnie zażenowana. – Proszę, powiedz coś... cokolwiek.

– Czy przysłowie przypadkiem nie mówi, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła? – pyta ktoś od strony drzwi.

Nagle pomieszczenie wypełnia światło, a Rhys się odsuwa. Zawstydzona sytuacją, obejmuję się ramionami.

Po prostu pięknie!

I co ta osoba miała na myśli?!

– Luca, co tu robisz? – Ton Millera sprawia, że temperatura spada jeszcze bardziej. Mężczyzna odpowiada w innym języku, wydaje mi się, że włoskim. Miller kontynuuje rozmowę – nie rozumiem ani jednego cholernego słowa, chociaż panowie z pewnością nie wymieniają się uprzejmościami. Nadeszła pora, żebym stąd wyszła. Odwróciwszy się, spoglądam na faceta przy drzwiach, zastanawiając się, gdzie

takich produkują.

Mimo wyraźnego podobieństwa do Rhysa, wygląda... bardziej surowo. Nie chciałabym przebywać z nim sam na sam. Zerka na mnie i uśmiecha się podejrzliwie. Zauważywszy to, Miller podchodzi, wyjmując komórkę, stukając palcami w ekran, a następnie przykłada telefon do ucha.

- Mike, zawieziesz Vivianę i Amelię do mojego domu - rozkazuje, po czym się rozłącza.

- Ona nie należy do rodziny, Rhys - oświadcza Luca, w sposób wywołujący ciarki na moim ciele. - Ojciec nie będzie zachwycony, przyszły...

- Dokończymy tę rozmowę później, Luca - warczy Rhys.

Mężczyzna przenosi wzrok ze mnie na Millera i ostatecznie kiwa głową.

Odkąd poznałam Rhysa, nigdy nie widziałam go aż tak wyprowadzonego z równowagi. Sprawiał wrażenie nad wyraz spokojnego i do tej pory nic nie wskazywało na to, by miał problem z kontrolowaniem emocji.

Do naszego małego zgromadzenia dołączają w końcu Mike oraz Amelia.

Dostrzegając przybyłego mężczyznę, przyjaciółka totalnie blednie. Zerka na swojego kuzyna, podchodzi, chwyta mnie za rękę, po czym wychodzimy.

Droga powrotna przebiega w całkowitej ciszy. Amelia jest kompletnie przygaszona, a gdy wchodzimy do domu, natychmiast idzie po kieliszki i wino. Włączywszy telewizję, opada na kanapę.

- Kim jest Luca? - pytam.

Początkowo udaje zapatrzoną w telewizor, choć widzę, że spotkanie z tym facetem wyszło z niej energię. Wcześniej była wręcz przerażona, co zresztą nie uległo zmianie.

- Kuzynem - odpowiada krótko.

- Chyba nie przepadają za sobą z Rhysem. - Sama nie wiem, dlaczego drażnę temat. Do tej pory nie wypytywałam o Millera, żeby przyjaciółce nie przychodziły do głowy dziwne pomysły. Zaczyna mnie jednak denerwować ta cała tajemniczość, więc nie zamierzam odpuszczać.

Napełniwszy kieliszki, Amelia sięga po swój, upija łyk czerwonego wina, a następnie patrzy na mnie. Wygląda, jakby czuła się skrępowana.

- Luca potrafi być czasami irytujący, ale mają z Rhysem ten sam życiowy cel.

Wszyscy go mamy, Vivi.

- Amelia, zostaw nas samych - rozkazuje Rhys zza moich pleców.

Wrócił.

Przyjaciółka nie protestuje ani nie próbuje żartować, jak to robiła ostatnio. Po prostu wychodzi. Kiedy Miller się nie odzywa, wstaję i się odwracam.

Co się dzieje? Dzisiaj zachowuje się jakoś inaczej.

Chwiejnym krokiem powoli obchodzi kanapę i staje przede mną. Unoszę głowę, aby na niego spojrzeć.

- Jesteś zła - zauważa.

- Bardziej zdezorientowana - precyzuję. - Piłeś - dodaję.

Uśmiecha się promiennie.

Jaki piękny widok.

- Piłem za pierwszą kobietę, której udało się coś, czego próbowało wiele innych, których jednak nie chciałem - wyjaśnia, po czym wzdycha, poważniejąc. - Ty dokonałaś tego jako jedyna, nawet o tym nie wiedząc.

Kładzie dłoń na moim policzku, ponownie się uśmiechając.

- Tylko nie uciekaj. Mówiłem już i zapamiętaj to: nigdy się mnie nie bój.

Powracają niewytłumaczalne uczucia towarzyszące mi w klubie. Tym razem nie mam zamiaru ich ignorować. Nie chcę tego robić. Wykorzystując przyływ odwagi, przybliżyłem się, a następnie bezwstydnie łączę nasze usta, czym chyba go zaskakuję. Po chwili jednak przyciąga mnie i błądzi wargami wokół moich, doprowadzając mnie do szaleństwa. W końcu jego język wdiera się do środka, gdy Miller oddaje pocałunek, i dzieje się magia. Dołączam do niego, smakując przyjemną gorycz whiskey. Rhys zaciska ręce na moich biodrach, natomiast ja oplątam ramionami jego szyję. Słyszając wygłodniały męski jęk, przepadam, odurzona zapachem, dotykiem oraz całym nim. Zdesperowana zamierzam pogłębić pocałunek, lecz on niespodziewanie się odsuwa. Jestem w szoku. Dysząc, obserwuję, jak oblizuje wargi i uśmiecha się delikatnie.

- Dobranoc, słodka Viviano - mówi lekko zachrypniętym głosem, po czym rusza w kierunku sypialni, zostawiając mnie samą.

Wróciwszy do domu, zastaję na lodówce kartkę z informacją, że koleżanki wyciągnęły Helen, by pograć w bingo. Biorę prysznic, zakładam koszulkę oraz spodenki, a następnie wskakuję do łóżka. Zamykam oczy, ale nie chcę spać. Pragnę przypomnieć sobie rysy jego twarzy, wpatrzone we mnie czarne oczy, a także smak ust.

Kiedy rano wszedł do kuchni, jak zwykle wyglądał bardzo tajemniczo. Upił dwa łyki kawy i wyszedł, życząc mi oraz Amelii miłego dnia. Zupełnie jakby minionej nocy do niczego między nami nie doszło.

Dziwne.

XAVIER

Od godziny siedzę przy klubowym barze, obserwując słynną Emilię Thomson, przepijającą pieniądze swojej córki. Zerkam na ekran telefonu leżącego obok szklanki bourbona, na którym wyświetla się oczekiwana wiadomość. Już czas. Zsuwam się z hokera, wsuwam komórkę do kieszeni i podchodzę do kobiety. Oświadczam, iż chciałby ją poznać właściciel lokalu, przy czym staram się nie paść ze śmiechu. Przysięgam, że w jej oczach pojawiają się dolce.

A może wypitem dzisiaj za dużo alkoholu?

Gdy docieramy do gabinetu Rhysa, od razu rozsiadam się na kanapie. Nawet siłą się mnie nie pozbędą. Za nic w świecie nie opuszczę tego przedstawiania.

Na środku pomieszczenia stoi Rhys, demonstrujący swoją wyższość. Przyjął już dominującą postawę, która sprawia, że kobiety mają przemoczone majtki, i czeka na

odpowiedni moment. Tradycyjnie założył skórzane rękawice, przeznaczone na specjalne okazje. Emilia podchodzi do niego w sposób, który dla niej prawdopodobnie jest uwodzicielski, natomiast według mnie przypomina chód naćpanej gazeli. Jestem wręcz zniesmaczony. Kiedy staje przed Millerem i próbuje go dotknąć, ten cofa się o krok. Odsuwa krzesło przy biurku, a następnie prosi, żeby usiadła. Kobieta zajmuje miejsce, a ja zacieram ręce.

Rhys staje za nią, po czym wyjmuję ukryty nóż.

- Powiedz mi, Emilio, masz może jakieś zobowiązania? Mężczyzna? Dzieci?

- Nie.

Ups! Pierwsze przykazanie Rhysa: nie kłam.

Mój szef natychmiast łapie kobietę za włosy, odchylając jej głowę, i przykłada ostrze do szyi. Wydobywający się z jej gardła pijacki jęk drażni moje uszy.

- A kim jest dla ciebie Viviana? - Ton, jakim zostało zadane pytanie, wskazuje na to, że jeśli teraz Emilia nie powie prawdy, jej głowa wyląduje pod moimi nogami.

- C... Córką - jąka zakłamana żmija.

- Tak lepiej. Jednak tak się składa, że Viviana jest też moja. - Tym razem z ust kobiety dochodzi pomruk niezadowolenia.

Zły ruch.

Rhys zaczyna przesuwac czubkiem noża po szyi oraz twarzy Emilii, a ta trzęsie się jak osika.

- Jutro oddasz mojej Vivianie wszystkie pieniądze, które jej ukradłaś, i przeprosisz - rozkazuje, mocniej ciągnąc Emilię za włosy. - Chcesz wiedzieć, co ci zrobię, jeśli znowu zapłacze z twojego powodu?

Kobieta natychmiast kręci głową.

Głupia. I tak jej powie.

- Okradniesz ją jeszcze raz, a odetnę ci ręce. Żle się do niej odezwiesz, a usunę twój język. Spojrzysz na nią w niewłaściwy sposób, a pozbawię cię oczu. Na końcu zmasakruję twoją sztuczną twarz. Zrozumiałaś? - warczy Rhys.

- T... Tak - duka Emilia. Po jej policzkach spływają strugi łez zmieszane z tuszem do rzęs.

- Dzisiaj nie zabiję cię tylko ze względu na nią, lecz następnym razem nie będę taki łaskawy. - Odsuwa się i zerka na mnie z dezaprobatą.

Nic nie poradzę na to, że lubię oglądać jego przedstawienia, choć ofiary rzadko wychodzą z nich żywe.

- Zawołaj kogoś - mówi. - Niech ją wyrzucą na ulicę, tam, gdzie jej miejsce.

ROZDZIAŁ 10



VIVIANA

Niedzielę postanawiam spędzić z moją kochaną babcią, dlatego z samego rana wyciszam telefon i zostawiam go w sypialni. Nie chcę znowu paść ofiarą pomysłów Amelii, a poza tym muszę trochę odpocząć od tej dziwnej atmosfery wokół niej i Rhysa. Potrzebuję oczyścić umysł. Mimo wszystko nie mogę przestać myśleć o tym, kim jest ten mężczyzna, który pojawił się znikąd. Nie prowadzę co prawda bogatego życia towarzyskiego, lecz o takich osobowościach jest głośno, więc choć raz powinnam była o nim usłyszeć. On natomiast wyrósł jakby spod ziemi. Amelia z kolei nie zdradza zbyt wiele na jego temat.

Po południu siedzimy z babunią w salonie przy herbatce i oglądamy teleturniej. Nie potrafię się skupić, bo myśli wciąż wędrują do wczorajszego pocałunku.

- Gadaj, co ci leży na sercu, Vivi, bo usiedzieć się przy tobie nie da. Czuję, że coś cię gnębi - mówi nagle Helen.

Nie wiem, co mam jej powiedzieć, chociaż czasami babcine złote rady bywają bezcenne.

- Chodzi o tego kuzyna Amelii. Ja... nie jestem przy nim sobą. Facet jest cholernie przystojny i tajemniczy - tłumaczę. - Zapominam przy nim języka w gębie.

- Ty, pyskata Viviana Thomson? - pyta zdziwiona.

- No tak, przy nim robi się ze mnie taka miękka klucha. - Wzdycham.

Przygląda mi się, zamyślona, aż w końcu kiwa głową.

- Ach! Ty się, wnusia, zakochałaś - oświadcza z uśmiechem.

- Bez przesady! Widziałam go raptem kilka razy i już wielka miłość, pewnie. Ty byś mnie zaraz za mąż wydawała.

- Ja to z twoim dziadkiem miłość od pierwszego wejrzenia przeżyłam...

No, i zaczyna się historia, którą słyszałam tysiące razy. Helen szła z siostrą do kościoła i w drodze upuściła bielusieńką chusteczkę, a z naprzeciwka szedł najprzystojniejszy chłopak pod słońcem, George Thomson. Oboje się po nią schylili, lecz on był pierwszy. Gdy się podnosił, przywalił czołem w nos Helen, którą natychmiast odrzuciło. Polała się krew, a waleczny George zaczął wycierać twarz dziewczyny skrawkiem materiału. Kiedy w końcu spojrzeli sobie oczy, wiedzieli, że się kochają. Opera mydlana Thomsonów.

Babcia chce kontynuować opowieść, ale przerywa, ponieważ ktoś otwiera drzwi wejściowe. Po chwili własnym oczom nie wierzę, bo oto moja mama zdecydowała się pojawić w domu.

Wyobrażałam sobie tę sytuację kilkakrotnie. Co zrobię? Co jej powiem? Nie spodziewałam się jednak, że ujrzę tak bladą i załamana kobietę. Drżącymi dłońmi podaje mi kopertę.

- T... To są te pieniądze, które ukradłam - jąka. - Przepraszam. Cz... Czy mogę tu nadal mieszkać?

Zamieram. Chcę zapytać, co się stało, jednak nie potrafię. Jestem zbyt zajęta gapieniem się na jej marny wygląd. Nawet nie umiem być teraz zła. Kiwam głową na znak zgody, a Emilia odwraca się na pięcie i kieruje w stronę schodów. Po chwili słychać jej pośpieszne kroki. Patrzę na równie zszokowaną babcie, z którą przeprowadzam niemą rozmowę o tym, co się właśnie wydarzyło. W końcu postanawiam pójść na górę, aby się dowiedzieć, czy mama czegoś potrzebuje. Pukam, a następnie wchodzę do sypialni, zastając ją skuloną na łóżku. Wygląda naprawdę nieciekawie.

- Wszystko w porządku? Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję. Mogę pobyc chwilę sama? - pyta łamiącym się głosem.

Przytakuję i cicho zamykam drzwi, po czym wracam do salonu, gdzie stoją babcia oraz Mike.

Co on tutaj robi?

- Cześć, coś się stało?

- Szef dzwonił. Nie odbierałaś, więc przysłał mnie - wyjaśnia mężczyzna.

- Zostałyśmy zaproszone na kolację - świergocze Helen.

- Nigdzie nie jedziemy - oznajmiam stanowczo. - Przekaż Rhysowi, że bardzo dziękujemy, ale nie możemy skorzystać z zaproszenia.

- Chyba ty - burzy się staruszka. - Ja jadę.

Jakby nie miała w domu jedzenia!

Co za babszty!

Wchodzimy do restauracji, w której byłam wcześniej z Amelią. Podczas gdy Mike prowadzi nas przez kolejne sale, babcia jest w siódmym niebie. Przestaję się na nią złościć, kiedy uzmysławiam sobie, że nigdy nie odwiedziła takiego miejsca. Gdy dochodzimy do ogromnych dwuskrzydłowych drzwi, ochroniarz otwiera je przed nami. Wkraczamy do pomieszczenia, gdzie przy jedynym stoliku siedzą Amelia oraz Rhys. Zauważywszy nas, podchodzą, żeby się przywitać. Miller przedstawia się Helen, całując jej dłoń.

- Miło w końcu panią poznać. Amelia dużo mi o pani opowiadała.

- O! A moja wnuczka nie? - dziwi się, zerkając na mnie z wyrzutem, na co przewracam oczami.

- Z pewnością pochwaliłaby się tak uroczą babcia, gdyby tylko była bardziej rozmowna - odpowiada Rhys, a następnie składa pocałunek na moim policzku. Spinam się zażenowana, bo żaden mężczyzna nigdy nie pocałował mnie przy babci.

Niech cwaniak lepiej przyzna, dlaczego nie byłam w stanie nic powiedzieć.

Najpierw odsuwa krzesło dla Helen, a potem dla mnie, po drugiej stronie stolika.

Amelia, która zachowuje się wyjątkowo cicho, siada obok staruszki, natomiast jej kuzyn, co za niespodzianka, przy mnie.

- Ach! Właśnie dzisiaj Vivi opowiadała mi, że zapomina przy tobie języka w gębie, bo taki jesteś przystojny - wypala nagle zdrajczyni i plotkara Helen.

Już nic jej nie powiem, choćby błagała na kolanach.

Trącam jej nogę pod stołem, licząc, że zrozumie.

- Nie kop mnie, Vivi - mówi. - Wiesz, że jestem już stara i krucha. - Teraz udaje biedną, udręczoną staruszkę. Już ja sobie z nią porozmawiam po powrocie do domu. Kątem oka zauważam, że Rhys trzęsie się ze śmiechu.

- Chętnie posłucham, pani Thomson, co jeszcze Viviana o mnie mówiła. Może złożymy zamówienie, a potem porozmawiamy? - pyta z wyraźnie udawaną powagą.

Kończę jeść i czekam na nowiny Rhysa. Mając złe przeczucia, zaciskam spocone z nerwów dłonie na kolanach. Kiedy Miller chce zaczynać, Helen pyta, gdzie jest toaleta, a Amelia natychmiast oferuje pomoc w odprowadzeniu.

Kobiety opuszczają salę, zostawiając mnie z Panem Czarującym. Po prostu cudownie. Mam ochotę poprosić stojącego niedaleko kelnera o widelec, który będę mogła wbić Rhysowi w klejnoty rodowe. Otwieram szeroko oczy, kiedy przysuwa moje krzesło do swojego, uniemożliwiając ucieczkę.

- Więc jestem przystojny i cię onieśmielał, hm? - mruczy mi do ucha.

- Ta kobieta jest głucha. Źle coś usłyszy, a potem plecie bzdury - mówię oburzona. Znowu słyszę jego cichy śmiech.

- Robimy postępy - szepcze. - Podoba mi się to.

- Ale z czym? - Zamiast odpowiedzieć, przygryza płatek mojego ucha.

Podświadomie reaguję na jego bliskość oraz dotyk, jednak staram się, żeby tego nie zauważył. Po co, jeśli później będzie udawał, że do niczego nie doszło?

- Och! Czyż oni nie wyglądają razem cudownie? - Słyszając głos babci, natychmiast odsuwam swoje krzesło od Rhysa, znacznie dalej niż wcześniej. Na szczęście nikt nie zwraca na to uwagi albo po prostu nie reaguje.

Podstępna babunia podejrzanie szybko załatwiła swoją potrzebę. Gdy ona oraz Amelia zajmują miejsca, Miller proponuje wino. Helen oczywiście prosi o koniaczek, według zaleceń lekarza, ja zaś tylko o wodę. Picie alkoholu w towarzystwie tego faceta to zły pomysł. Kiedy kelner przynosi napoje, Rhys wreszcie zaczyna przemowę.

- Po pierwsze, jak już wspominałem, dowiedziałem się od Amelii, że jest pani bardzo bliską osobą dla Viviany. Chciałbym zaproponować jej pracę w moim klubie. Mam wiele innych zobowiązań, bywam bardzo zajęty i przyda mi się ktoś, kto pomoże ogarnąć różne sprawy - tłumaczy Rhys, czarując staruszkę swoimi czarnymi oczami.

- Nie ukrywam jednak, że pani wnuczka to piękna kobieta. W związku z tym pragnę zapytać, czy nie ma pani nic przeciwko temu, abym się z nią spotykał?

Że co?! W którym wieku ten człowiek żyje? Może zaraz złączą mnie wymieniać na krowy i kozy? Albo przeliczą na butelki koniaczku?!

- Ależ oczywiście. Będę zaszczycona. - Helen trzepocze rękami.
Zerkam na Amelię, która przez cały wieczór unika kontaktu wzrokowego i w ogóle dziwnie się zachowuje. Nikt z obecnych nie jest po mojej stronie. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że szczęka opadła mi niemal na kolana.

O nie! Dość tego!

- Przepraszam, ale ja tutaj jestem! - wybucham, uderzając pięściami o stół.
- Vivi, tak nie przystoi, przeproś - upomina mnie babcia.
- A przystoi rozmawiać o mnie, jakby mnie tu nie było? - Spoglądam groźnie na nią i Rhysa, któremu drżą kąciki ust. Nie ogarniam jego nietypowego zachowania, ale dobrze wiem, dlaczego zaprosił Helen na kolację - chce ją urobić, by osiągnąć cel. Powinien się wstydzić!
- Viviano, potrzebujesz pracy, a ja pomocy. Dalsza dyskusja nie ma sensu - mówi.

Normalnie pan i władca.

Chciałabym mu powiedzieć, żeby się wypchał tą ofertą, lecz wiem, jak trudno znaleźć pracę. Nie mam pojęcia, co robić.

- Jeśli przez najbliższy tydzień nie znajdę żadnej posady, a ty nadal będziesz potrzebował pomocy, przyjmę twoją propozycję - stwierdzam stanowczo, co chyba go zaskakuje.

Przez chwilę wydaje się coś rozważać, ale ostatecznie skinieniem daje znać, że się zgadza. Nie poruszam tematu spotkania się ze mną, bo to nic nie da. Babcia może sobie pomarzyć, że będzie miała w tej kwestii coś do powiedzenia. Dosłownie pomarzyć!

Po jakże korzystnym dla czarnookiego wieczorze dziękujemy z Helen za zaproszenie i zmierzamy do wyjścia. Nagle Rhys zatrzymuje mnie, chwytając za rękę. Odwracam się, nie ukrywając wściekłości, co tym razem go nie bawi. Pochyliwszy się, zbliża usta do mojego ucha.

- Jestem pewien, że niebawem rozpoczniemy współpracę. Nie mogę się tego doczekać.

Mam dość! Wyrывam się z jego uścisku i wychodzę, nie oglądając się.

- Śnij o mnie, słodka Viviano! - woła na pożegnanie.

ROZDZIAŁ 11



VIVIANA

Rano, zaraz po śniadaniu, idę po kilka rzeczy do sklepu spożywczego, a przy okazji kupuję parę gazet, żeby przejrzeć ogłoszenia o pracę. Wróciwszy do domu, parzę kawę, siadam przy stole w kuchni i analizuję kolejne oferty, zaznaczając czarnym markerem te, które są w miarę sensowne. A właściwie te, które są adekwatne do mojego wykształcenia. Kiedy babcia wchodzi do pomieszczenia i zauważa, co robię, zaczyna marudzić, że niepotrzebnie szukam pracy, bo przecież cudowny Rhys już zaproponował mi posadę. Potem zaczyna go wychwalać, zwracając uwagę, jakim jest szarmanckim, elokwentnym mężczyzną oraz dystyngowanym dżentelmenem, a na koniec dodaje, że to najlepsza partia w mieście.

Serio?

Gdybym go nie znała, może bym uwierzyła. Westchnieniom Helen nie ma końca, a ja od prychnania na jej wyszukane słówka zaplułam pół gazety i część ogłoszeń szlag trafia.

- Babciu, dość tego. Nie chcę dla niego pracować, i tyle - warczę.

- Ty jeszcze się gniewasz za wczoraj? - pyta cieniutkim głosem, udając niewiniątko.

- Mogłabyś się obrazić, gdybym opowiedziała, jak przeżywasz swój duży tyłek i te...

Wkurzona, wciągam powietrze i spoglądam na nią groźnie, chyba nawet za bardzo.

Babunia, jak gdyby nigdy nic, bierze z blatu miskę z winogronami, po czym powoli wychodzi. Gdy słyszę, że włączyła wiadomości, dzwonię w kilka miejsc i umawiam się na rozmowę.

Kiedy składam makulaturę, woła mnie Helen. Przerażona, że coś się stało, pędzę do salonu, ale babcia jedynie pokazuje na ekran telewizora. Moim oczom ukazuje się obraz nędzy i rozpacz, dostrzegam tabun biegających z noszami ratowników medycznych oraz policjantów przeganiających gapiów. Reporterka, przekrzykując wycie syren, informuje, że poza granicami Phoenix doszło do ustawionej walki kilku gangów, w wyniku której śmierć mogło ponieść nawet kilkaset osób. Po chwili następują krótkie relacje dziennikarzy obecnych w Los Angeles, Chicago i Bostonie, gdzie miały miejsce podobne zdarzenia. Z niedowierzaniem przyglądam się tym scenom. Zerkam w kierunku kanapy, po czym siadam na wolnym miejscu, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Co się tam dzieje?

- Pamiętam, jak byłaś malutka, miałaś może trzy albo cztery miesiące, i zdarzyła się podobna sytuacja - mówi, a następnie wzdycha. - Tylko w tamtych czasach nie było

gangów ulicznych. To była prawdziwa mafia.

- Co się wtedy stało?

- Nie pamiętam dokładnie, ale dwie rodziny zostały dosłownie zgładzone. Nie oszczędzono nikogo, nawet kobiet i dzieci.

Serce łomocze w mojej piersi, dłonie zaś zaczynają się pocić.

- Boże, dzieci?

- Kochana, dla pieniędzy i władzy ludzie są w stanie zrobić wszystko, absolutnie wszystko - odpowiada zamyślona. - W każdym razie od tamtej pory namnożyło się tych gangów - dodaje, a ja nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś ją męczy.

Reszta tygodnia to istny maraton. Dzwonię, idę na spotkanie, dostaję posadę, a kolejnego dnia słyszę, że jednak nie mogą mnie przyjąć. I tak za każdym razem. Podejrzewam, że to sprawka Rhysa. Nie dość, że jakiś ochroniarz wciąż czatuje pod domem, to jeszcze wszędzie za mną łązi. Pewnie składa Millerowi raport z moich etatowych łowów, a ten pilnuje, żebym nie została zatrudniona. Zdaniem Helen, jak to ona mówi, zaloty Rhysa są urocze. Jeśli tak uważa, to niech go sobie weźmie. Ja nie mam zamiaru tańczyć, jak mi facet zagra.

W telewizji każdego dnia pokazywane są podejrzane wypadki oraz napady. Sytuacja zrobiła się na tyle poważna, że władze miasta apelują o zachowanie ostrożności; proszą, aby mieszkańcy w miarę możliwości unikali miejsc publicznych.

Moja mama coraz częściej wyłania się ze swojego pokoju i zachowuje całkiem normalnie. W jej towarzystwie nie wspominamy z babcią o aferze, którą wywołała, ale jeśli tylko z czymś wyskoczy, zmienimy zdanie.

W piątek po południu zrezygnowana dzwonię do Amelii, by przekazała kuzynowi, że postanowiłam się z nim spotkać. Przyjaciółka jednak nie odbiera. Mam co prawda numer Rhysa, lecz nie chcę się z nim kontaktować, chociaż... chyba wypada.

Ostatecznie telefonuję do niego i w myślach wymierzam sobie kopniaka za własną głupotę. Ulubieniec Helen odbiera po dwóch sygnałach.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Viviano? - pyta pewny siebie.

- Dzwonię w sprawie twojej oferty pracy - oznajmiam.

- I co mogę dla ciebie zrobić?

On tak na serio? Najpierw rozmawia z babcią o zatrudnieniu mnie, potem zaczyna sabotować, a teraz co? Mam go błagać? No, po moim trupie!

- Tak pięknie poprosiłeś mnie o pomoc w klubie, że postanowiłam nie odmawiać. - Prostuję się i unoszę głowę, dodając sobie odwagi.

Nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekiwałam, ale doznaję szoku, ponieważ on głośno się śmieje. Pomimo iż miętka część mnie jest cała w skowronkach, słysząc ten cudowny dźwięk, kontrolę przejmuje inna wersja Viviany Thomson - twarda, wkurzona baba, która zaraz zetrze mu z twarzy ten uśmieszek.

- Wiesz co? Jednak nie potrzebuję tej posady. Mam jeszcze jedną propozycję, dla odmiany od poważnego mężczyzny, prawdziwego człowieka interesu. Dziękuję za uwagę. Pa! - Rozłączam się, nie kryjąc satysfakcji.

Chwilę później dzwoni mój telefon, a na ekranie wyświetla się imię Millera. Odrzuciwszy połączenie, wyłączam aparat. Kiedy pomału mija podekscytowanie, zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłam.

Brawo, Vivi! To było bardzo dojrzałe.

Leżąc wieczorem w łóżku, włączam komórkę i pokój wypełnia seria dźwięków. Mam sześć nieodebranych połączeń oraz jedną nową wiadomość. Wszystko od Rhysa.

O cholera.

Waham się przez moment, lecz w końcu odczytuję SMS-a. Jest tak, jak myślałam.

Rhys: Moja słodka Viviano. Dlaczego się rozłączyłaś? Helen z całą pewnością byłaby rozczarowana niegrzecznym zachowaniem swojej wnuczki. Muszę jednak przyznać, że lubię cię w tym wydaniu. Gdyby nie to, że nie ma mnie teraz w kraju, przyjechałbym do Ciebie i scałował z Twoich rozkosznych ust tę zadziorność. Jak zawsze, śnij o mnie, słodka Viviano. Twój Rhys.

Serio, on i Helen pasują do siebie jak ulał. Niech wybiorą się na kolację, upiją koniackiem i zasypią słodkimi słówkami. Ja odpadam. Odkładam telefon na stolik, a następnie układam się wygodnie na boku, aby zasnąć. Nagle jednak słyszę dźwięk oznajmiający nadejście SMS-a, więc sięgam po smartfon. Otworzywszy kolejną wiadomość od Millera, aż zgrzytam zębami.

Rhys: Bądź gotowa w poniedziałek o siódmej. Mike zawiezie Cię do klubu.

Ach! Pomimo iż wiem, że nie masz żadnej oferty od innego mężczyzny, przypominam, że Ty. Jesteś. Moja.

ROZDZIAŁ 12



VIVIANA

W poniedziałkowy poranek dostaję szau, wywracając zawartość szafy do góry nogami. Trzeba było wcześniej pomyśleć o tej rozmowie kwalifikacyjnej. Zresztą sama nie wiem, czym się tak przejmuję. Ostatnio poradziłam sobie przecież bez większego problemu. W końcu zakładam zwykłe, czarne rurki oraz biały, luźny top – do pracy za barem nie muszę ubierać się jakoś bardzo elegancko. Gotowa do wyjścia, wyglądam przez okno. Właśnie podjechał Mike, więc szybko zbiegam po schodach. Żegniam się z Helen, zgarniam ze stolika torebkę, po czym zmierzam do samochodu.

Wchodzimy do klubu od zaplecza i już po chwili docieramy do windy. W drodze na górę moje myśli wędrują do Rhysa. Zastanawiam się, czy stoi z rękami zatopionymi w kieszeniach, ubrany jak zawsze w idealnie skrojony garnitur, i wyczekująco patrzy na drzwi. Gdy wysiadamy na czwartym piętrze, nerwowo przemierzam korytarz, starając się poukładać w głowie, co właściwie miałabym mu powiedzieć.

Jak powinnam się zachować?

Zbliżyliśmy się do jego biura, lecz Mike zatrzymuje się dopiero przy następnym gabinecie.

- To tutaj. Czeka na ciebie - oznajmia autorytatywnie.

Zerkam na niego niepewnie, pukam i wchodzę do środka. Właściwie nie wiem, co czuję na widok tego mężczyzny.

- Rozczarowana? - Szczerzy się Xavier.

- Nie - odpowiadam, chrypiąc.

- Ta, akurat. - Puszczą do mnie oczko. - Może żaden ze mnie Rhys, ale obiecuję, że będziemy się dobrze bawić.

No i znowu to!

O co wszystkim chodzi z tym Millerem?

- Siadaj - rozkazuje, odsuwając jedno z krzeseł przy stole ustawionym na środku pomieszczenia.

Podchodzę, zajmuję wskazane miejsce, a następnie wydaję z torebki teczkę z moim marnym CV. W tym samym czasie Xavier bierze z regału po prawej stronie mnóstwo jakichś dokumentów i z hukiem rzuca je na blat. Marszczę brwi, przyglądając się górze papierów, po czym zerkam na niego pytająco.

- Jesteś na mnie skazana przez miesiąc. Musimy przeanalizować wszystkie księgi rachunkowe i zająć się zamówieniami – oświadcza, siadając obok.

Czy ja dobrze słyszę?

Czy to jakiś kiepski żart?

- Nie powinieneś najpierw sprawdzić, czy mam odpowiednie wykształcenie i doświadczenie zawodowe? – Prycham.

Kto przyjmuje pracownika w ciemno? W dodatku na tak odpowiedzialne stanowisko?

- Nie doceniasz Rhysa, moja droga. Sprawdził cię. Z rachunkowości zawsze byłeś do przodu z materiałem i gdybyś poszła na studia, wybrałabyś ekonomię. – Na jego usta wypływa przebiegły uśmiezek, a unosząc brwi, prowokuje mnie, abym zaprzeczyła.

- Eee... Mimo wszystko myślałam, że będę pracować jako barmanka.

Xavier mruczy coś o kilku tysiącach martwych facetów, co potwierdza moje dotychczasowe podejrzenia, że Miller oraz ludzie z jego otoczenia mają coś nie tak z psychiką. Zadaję więc sobie pytanie – co ja, do cholery, jeszcze tutaj robię?

- Twoi poprzednicy skubnęli co nieco dla siebie i Rhys był zmuszony się ich... pozbyć. Teraz my będziemy odwalać papierkową robotę – oznajmia.

Część o pozbyciu się kogoś brzmi jakoś poważnie, ale już na początku mam dość, więc nie wnikam. Serio, po prostu odpuszczam. W ten oto sposób zaczyna się mój pierwszy dzień w nowej pracy.

Litry kawy oraz tony pączków później udaje się nam ogarnąć znaczną część papierkowej roboty. Xavier jednak nie pozwala mi się zbyt długo cieszyć wolnym czasem i dorzuca kolejną stertę. Mrużę oczy, kiedy przez zasłonięte do połowy żaluzje przebijają się promienie słońca.

- Chyba wystarczy na dzisiaj, Rhys zabronił mi ciebie przemęczać – wypala nagle mój współpracownik. Automatycznie odwracam głowę, a on znowu się uśmiecha. – Chodź, pójdziemy na dół, wypijemy po drinku, a potem Mike odwiezie cię do domu.

Przy trzecim mojito zaczynam czuć delikatny szum w głowie. Kto by pomyślał, że facet, który podczas pierwszego spotkania pstryknął na mnie palcami, okaże się takim świetnym rozmówcą?

Poruszamy różne tematy, opowiadam mu o Helen i trochę o mamie, choć nie wspominam o jej występkach. Dowiaduję się, że Amelia również pracuje dla Rhysa. Musiała pilnie wyjechać w sprawach służbowych i jest zajęta od rana do wieczora, dlatego nie mogę się z nią skontaktować. Coś mi nie pasuje w tej całej sprawie, ale poczekam, aż przyjaciółka wróci i sama się wytłumaczy.

- Nie zapytasz w końcu o niego? – Xavi przerywa moje rozmyślania.

O tak! Zastanawiam się nad tym, odkąd rano nie zastałam go w gabinecie. Jak mogę być zła na Rhysa, a jednocześnie chcieć go zobaczyć? W tym momencie ciekawość sięga zenitu.

- No dobra, co z nim? – Staram się nie okazywać zainteresowania, co tylko jeszcze bardziej nakręca Xaviera, który najwyraźniej lubi ploteczki.

- Rhys będzie nieobecny przez najbliższy miesiąc – odpowiada, obserwując mnie uważnie. Widocznie chce wyłapać oznaki rozczarowania.
- Dlaczego? – Spokojnie pijam drinka.
- Zamyka pewne sprawy. Zjawi się przed obwieszczeniem.

Że co?!

Spoglądam krzywo na mojego rozmówcę, który zapewne liczy na kolejne pytanie.
Nic z tego. Nie dam mu tej satysfakcji.

W kolejnych dniach nadal męczymy się z Xavierem nad papierami. Oprócz tego poznaję ekipę pracującą w klubie oraz uczę się kodów dostępu do poszczególnych pomieszczeń. Dni zamieniają się w tygodnie i za każdym razem, kiedy wchodzę na salę, łapię się na tym, że zerkam ku górze, w stronę luster. Zastanawiam się, czy już wrócił. Może stoi po drugiej stronie, pochłaniając wszystko z góry czarną głębią oczu? Ogarnia mnie dziwne uczucie, którego nie chcę nazywać wprost, bo jest po prostu przerażające.

Opuściwszy magazyn, żegnam się z Xavierem. Zmierzam do wyjścia, natomiast on skręca w stronę windy. Gdy dochodzę do drzwi, mam wrażenie, że czegoś zapomniałam. Uświadamiam sobie, że nie wzięłam torebki, więc zawracam, wjeżdżam na czwarte piętro i wchodzę do biura. Zgarniam zgubę, po czym się odwracam.

- Mówię ci, te pieprzone szczury... - Xavi urywa zdanie, a po chwili pojawia się Rhys. Choć jego widok zapiera mi dech w piersi, docierają do mnie słowa Xaviera. Krzyczę, automatycznie wskakując na krzesło. Utrzymanie równowagi to nie lada wyzwanie ze względu na trzęsące się nogi, szpilki i brak podparcia. Patrzą błagalnie na dwóch mężczyzn, którzy ze zdziwieniem obserwują całą scenę, a po ich minach można wywnioskować, że zobaczyli wariatkę. Kilka sekund później do Xaviera chyba dociera powód podniesionego przeze mnie larum, bo widzę, że się uśmiecha.

Palant.

- Och! Vivi, to nie...

- Xavier. - Ton tego głosu powoduje, że przez moje ciało przebiegają ciarki. Miller podchodzi do krzesła, na którym stoję, telepiąc się jak idiotka. Patrząc na niego z góry, wydaję żalostny jęk rozpacz, a zarazem odrazy i strachu przed biegającymi gryzoniami. Kiedy mój wybawca rozkłada ramiona, otrząsam się, po czym dosłownie na niego wskakuję. Trzymając się kurczowo jego szyi, oplątam nogi w pasie, a następnie wtulam się, zaciskając powieki. Rhys rusza w nieznanym mi kierunku, a po chwili słyszę parsknięcie, chyba Xaviera.

Niby co w tym takiego śmiesznego?

Im dłużej idziemy, tym bardziej zapominam, dlaczego byłam taka przerażona. Na dźwięk zamykanych drzwi powoli unoszę głowę i rozglądam się, odkrywając, że jesteśmy w gabinecie Rhysa. Gdy na niego spoglądam, zdaję sobie sprawę, że nie chcę, aby kiedykolwiek mnie puszczał. Przez ułamek sekundy widzę na jego twarzy,

że czuje to, co ja.

- Pocałuj mnie, moja Viviano - nakazuje lekko zachrypniętym głosem, a ja posłusznie spełniam polecenie.

Nasze wargi tworzą jedność, a języki płaczą się, jakby miały przypieczętować coś ważnego oraz wspaniałego. Najcudowniejszą rzecz na świecie. Całuję go za każdą sekundę, minutę, godzinę rozłąki i nie chcę przestawać, bo właśnie zrozumiałam, że strasznie za nim tęskniłam.

Rhys Miller zawładnął moim ciałem, umysłem i...

ROZDZIAŁ 13



VIVIANA

Leżąc w łóżku, rozmyślam nad tym, co się dzieje między mną a Rhysem. Odkąd pamiętam, powtarzałam sobie, że mężczyźni to zło, i obiecywałam, że nigdy, przenigdy nie zaangażuję się w żaden związek. I co teraz? Co w sytuacji, kiedy Rhys Miller zdaje się uważać nas za... parę? Nie wiem, czy rzeczywiście jesteśmy razem. On jednak sam podjął decyzję i zachowuje się, jakby właśnie tak było. Wkurza mnie to do szpiku kości, lecz ważniejsza staje się podstawowa ludzka potrzeba. Potrzeba bliskości. Każdy człowiek potrzebuje drugiej połówki oraz wynikających z tego korzyści, co potwierdza napalona część mnie. Mogę być pierwszą kobietą w rodzinie, która zazna szczęścia, lub kolejną ze złamanym sercem. Jeśli jednak nie spróbuję, nigdy nie będę wiedziała, jak to jest być z kimś w związku.

Dzisiaj po pracy, kiedy w końcu oderwaliśmy się od siebie, Rhys z rozczarowaniem stwierdził, że za chwilę czeka go ważne spotkanie. Zanim się pożegnaliśmy, zaniósł mnie do samochodu, jakbym była dzieckiem. Nie wiedziałam, że potrafi być taki słodki i opiekuńczy... Cholera, zamieniam się we własną babcię z tym wzdychaniem. Przewracam się na drugi bok i próbuję wyrzucić z głowy wszystkie myśli, żeby w końcu zasnąć, lecz kiedy odpływam, mój cholerny telefon znowu dzwoni. Wiem, że to Amelia. Dobijała się już kilka razy, ale bezskutecznie. Nie odbierałam, bo wciąż jestem na nią zła. Zjawiła się po tylu latach, zabiegała o odnowienie kontaktu, a ostatnio nie potrafiła wysłać choćby krótkiej wiadomości. Postanawiam udzielić skruszonej dziewczynie wykładu na ten temat, jednak w tle słyszę głośną muzykę. – Jestem w klubie, poczekaj chwilę! Znajdę jakieś ustronne miejsce i pogadamy!

Jak to w klubie? Fuj! Nie zamknęli budynku?

– A szczury? – pytam przerażona.

– Jakie szczury? – Jest wyraźnie zdezorientowana. – Ach to, Vivi...

Coś zaczyna świtać w mojej głowie, więc natychmiast zmuszam przyjaciółkę do spowiedzi, pod wszelkimi groźbami. Niech śpiewa, o co chodzi. Amelia tłumaczy, że mogła to być sprawka konkurencji, która próbuje nam zaszkodzić, a także zdradzieckich pracowników. Nieźle. Wysłałam na totalną idiotkę, a Rhys i Xavier mieli pewnie niezły ubaw.

Już ja im pokażę!

Rano nie muszę się spieszyć, bo nie mam zamiaru dzisiaj pójść do pracy. Wdrażam w życie plan zemsty i rozpoczynam akcję „Furia Thomson”. Kiedy

o ósmej dzwoni Xavi, odbieram telefon, witając się niewinnie.

- Dlaczego jeszcze cię nie ma? Mieliśmy dzisiaj nadzorować dostawę - przypomina.

- Ale jak to? Rhys nie zamknął klubu? - pytam przesłodzonym tonem, udając głupią.

- Na dziesiątą zamówiłam dwie wyspecjalizowane ekipy deratyzacyjne. Są najlepsi w mieście, zmiotą z powierzchni ziemi wszystkie gryzonie. Zaczną od króla - mówię poważnie.

- Zrobiłaś co?! - krzyczy, a ja niemal wybucham śmiechem. - Rhys, wiesz, co ona zrobiła?!

Ups!

Słyszając imię tego oszusta, natychmiast się rozłączam. Jak gdyby nigdy nic, zajmuję się codziennymi obowiązkami domowymi.

Odpalam stary skrzeczący odkurzacz, wkładam słuchawki do uszu, a następnie puszczam swoją playlistę. Czyszczę dywan w salonie, po czym kieruję się do wyjścia, lecz nagle staję na widok Millera. Z wyrazu jego twarzy wnioskuję, że jeśli szybko się nie wytłumaczę, będę miała przerąbane.

No, tak to się nie będziemy bawić.

Wyłączam sprzęt, wyjmuję słuchawki i od razu przechodzę do rzeczy.

- Słyszałam, że Rhys Miller nie toleruje kłamstwa, a tu, proszę, jaka sytuacja.

Musiałeś się niezłe bawić, robiąc ze mnie idiotkę - stwierdzam oskarżycielsko.

Widzę, że jest lekko wkurzony, ale mam to gdzieś. Prycham w myślach, bo jeszcze fochy stroi.

- Nigdy cię nie okłamałem - zapewnia. - To, co wydarzyło się wczoraj, nazwałbym prędzej ominięciem prawdy. - Rusza w moim kierunku. - Zrobiłbym to samo po raz drugi i kolejny, jeśli dzięki temu byłoby mi dane całować te wspaniałe usta - oznajmia, podchodząc coraz bliżej, aż staje przede mną.

W tym momencie znowu powinnam się wściec, ale nie potrafię, bo cholernie pociąga mnie ta strona Rhysa Millera.

- Spakuj się, pojedziemy do pracy, a potem do mnie. Jutro pójdziemy na bardzo ważne przyjęcie. Rozmawiałem już z Helen i nie ma nic przeciwko.

To już mi się cholernie nie podoba!

- Czy Helen pomogła ci również wybrać dla mnie obrożę i powiedziała, w jakich godzinach wyprowadzać na spacer?!

Momentalnie jego poważna i tajemnicza postawa znika. Wybucho śmiechem, odrzucając głowę. Zastanawiam się, czy nie pacnąć go rurą, którą trzymam w dłoni, jednak moja kobiecość się z tym nie zgadza, ponieważ jego śmiech wywołuje u niej dziką, wilgotną reakcję.

Cholerna zdrajczyni. Później się z nią policzę. Celibat na kolejne naście lat będzie w sam raz.

Kiedy czarnooki się opanowuje, spogląda mi głęboko w oczy, unosi rękę i przesuwa kciukiem po mojej dolnej wardze.

- Gdybym wiedział, że zrobisz się taka zadziorna, wyjechałbym wcześniej. Podoba mi się to - mruczy, uśmiechając się ciepło. - Poczekam w samochodzie, masz pięć

minut.

Gdy zmierza w kierunku drzwi, chcę krzyknąć, żeby się zatrzymał, a następnie wytłumaczyć, co można zrobić w te pięć minut.

- Ach, Viviano? - odzywa się nagle, nie odwracając się. - Jeśli jeszcze kiedykolwiek powiesz, że jesteś idiotką, będę pilnował, aby twoje usta bezustannie były zajęte czymś innym.

Wychodzi, zostawiając za sobą mnie, moje płonące policzki oraz pulsującą dolną część ciała.

Jasna cholera!

Dzień w pracy mija znośnie. Rhys siedzi zamknięty w swoim biurze, więc nie mam okazji się z nim zobaczyć. Przez lokal ciągle przechodzą faceci w garniakach, a także kobieta, która właśnie podchodzi do mnie i Xaviera. Jest śliczna, jak wszyscy ludzie z otoczenia Millera. Jej oliwkowa skóra wygląda pięknie, opięta w śnieżnobiałą garsonkę, a czarne, lśniące włosy zaczesane do tyłu, sprawiają wrażenie, jakby ktoś pracował nad nimi z niesamowitą starannością. Kobieta wita się z moim współpracownikiem, cmokając dwa razy w powietrze, na co unoszę brwi. W końcu odwraca się do mnie, a w jej oczach pojawia się błysk zaciekawienia.

- Kto to? - pyta melodyjnym głosem i już jej nie lubię.

- Ach, poznajcie się. Maria, Viviana - anonsuje Xavi.

Brunetka wygląda tak, jakby ktoś wepchnął jej do gardła zgniętego grejpfruta.

- Hm. - To wszystko, co ma do powiedzenia. Po chwili rusza w stronę biur.

- Co to miało znaczyć? - dziwię się, odprowadzając ją wzrokiem.

- To oznaczało gorycz przegranej, moja droga - wyjaśnia Xavi. - Ona nie rozumie, że nie można stracić czegoś, czego nigdy się nie miało. To zołza. Uważaj na nią.

Po pracy zabieram się z Xavierem do domu Rhysa, który cały czas uczestniczy w jakichś spotkaniach. Kiedy wchodzimy do środka, od razu podbiega do mnie Amelia.

- Jeszcze raz przepraszam, nie gniewaj się - błaga z miną zbitego pieska. -

Wytłumaczmy ci wszystko po przyjęciu.

Wytłumaczmy? O co znowu chodzi? Czy to ten dom tak działa na ludzi, czy mój zauroczony umysł zaczyna świrować? A może przesadzam?

Helen chyba ma rację - czasami nie potrafię wyluzować.

- W porządku, ale lepiej, żeby te wyjaśnienia były dobre.

- Moje drogie panie, czas na jakieś wino - oznajmia stojący z boku Xavi, po czym klaszcze.

Uśmiechamy się z Amelią, dobry pomysł.

Opróżnimy dwie butelki, a Rhys nadal nie wraca. Amelia przypomina, że jutro odbędzie się przyjęcie. Stwierdza, że jeśli teraz nie przerwiemy, kac nas

wykończy, więc się rozchodzimy. Idę korytarzem do swojej sypialni, kiedy dosłownie czuję go za sobą. Odwracam się, a on natychmiast podchodzi. Unosi mnie, a następnie przyciska do ściany. Znowu, bez zbędnych słów, bierze w posiadanie moje usta. Wplątam palce w jego włosy, ocierając się o niego bezwstydnie wygłodniałą kobiecością.

Czy to w końcu jest ten moment?

Zaciskające się na pośladkach dłonie Millera zdają się to potwierdzać.

Z przyjemnością przejmuję jęk podniecenia wyrywający się z ust Rhysa do swoich, kiedy czuję, jak jego całe ciało się spina. Magia znika, a pocałunek zostaje przerwany.

- Nie dokończyliśmy rozmowy - warczy jakiś mężczyzna z końca korytarza.

- Zaraz przyjdę - odpowiada szorstko mój niedoszły kochanek.

Patrzę na niego przerażona, nie wiedząc, jak się zachować.

- Idź do swojego pokoju i zamknij drzwi na klucz. Nikogo nie wpuszczaj - instruuje.

ROZDZIAŁ 14



VIVIANA

Szaleństwo! Z samego rana przychodzi ekipa dziewczyn, która ma się zająć naszym wyglądem, a w całym domu słychać wydzierającego się Xaviera. Podobno z garniturem Rhysa znowu są jakieś problemy.

Chwileczkę, to kim on w końcu jest? Garderobianym Millera czy pracownikiem klubu? Później podpytam Amelię.

Przyjaciółka oczywiście jest w swoim żywiole, kiedy po zrobieniu fryzur i makijażu przychodzi czas na założenie sukienek. O dziwo, tym razem postawiła na zwykłą czarną, ale zaszalała z pięknymi dodatkami. Jeśli chodzi o kreację dla mnie... Wcale nie jestem zdziwiona, gdy okazuje się, że Rhys wybrał ją osobiście.

Czy im się wydaje, że mam dwa lata i nie potrafię za siebie zdecydować?

Jak zwykle nie potrafię zbyt długo gniewać się na Millera. Złość mija w chwili, w której widzę przepiękną suknię z czerwonego atłasu. Jest długa aż do kostek, na dole rozchodząca się pięknymi falami. Dopasowana u góry oraz wycięta z tyłu, idealnie podkreśla biust i odśladania plecy.

Gładzę rozpuszczone, zaczesane do tyłu włosy, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. Nigdy nie podejrzewałam, że nadejdzie taki moment, kiedy nie zauważę w swoim wyglądzie żadnej skazy.

Od zachwytu nad samą sobą odrywa mnie pukanie do drzwi. Odwracam się gwałtownie, gdy do pokoju wchodzi Rhys.

Widok tego ideału za każdym razem zapiera mi dech w piersi. Jednak dzisiaj...

Dzisiaj jego piękno aż bije po oczach, doprowadzając mnie do granic najwyższego zachwytu. Wspaniały, przecudowny... Mogłabym tak w nieskończoność.

Dopiero po chwili mój wzrok pada na trzymane przez Millera podłużne grafitowe etui. Kładzie je na komodzie, a następnie otwiera.

- Podejdz do mnie, Viviano - szepcze.

Zbliżywszy się do niego, zerkam na dwa identyczne pierścienie o różnej wielkości. Ten mniejszy jest delikatny, bardziej kobiecy. Większy zaś - masywny, przeznaczony dla mężczyzny. Naprawdę nie znam się na takich rzeczach, ale nabieram dziwnych podejrzeń.

- Rhys? Co to jest? - pytam głupio.

- To są pierścienie, które od dawna należą do mojej rodziny. Ten większy nosił mój ojciec, natomiast mniejszy - moja mama. - Wzdycha i zamyśla się na chwilę. -

Dzisiejszy wieczór jest dla mnie bardzo ważny, dlatego proszę, abyś założyła jeden z nich, a potem mi towarzyszyła. - Po raz pierwszy słyszę w jego głosie niepewność,

może nawet trochę bólu.

Czuję ucisk w sercu, jak pomyślę, że ten potężny dla otaczającego go świata mężczyzna ma w sobie tyle żalu.

- Czy ty...

- Tak, proszę, żebyś na przyjęciu nosiła jeden z nich - potwierdza cicho.

Przez dłuższą chwilę milczymy. Zastanawiam się, dlaczego akurat ja. Zwykła, nic nieznacząca dziewczyna zostaje nagle wciągnięta do świata Rhysa Millera, po czym zyskuje od niego tyle zaufania, by powierzyć jej coś tak bardzo wartościowego.

Mógłby to być nawet zwykły krążek upleciony ze źdźbła trawy, co nie zmienia faktu, że należałby do jego mamy. Czy jestem godna, żeby włożyć ten pierścień?

- Dobrze, zgadzam się - odpowiadam.

Wymieniamy się platynowymi obrączkami z czarnym diamentem, na którym zostały wygrawerowane nachodzące na siebie dwie litery: M i V.

Czy to inicjały imion jego rodziców?

- Dziękuję - mówi lekko zachrypniętym głosem, a następnie całuje mnie w skroń. - Chodźmy, już czas.

Po niedługiej przejażdżce limuzyną, w towarzystwie Amelii i Xaviera, wysiadamy przed ogromną posiadłością.

Miller jak zwykle sprawia wrażenie niewzruszonego. Czeką, aż ujmę go pod ramię, żebyśmy mogli wejść po stopniach do środka. Kiedy mijamy pozostałych ludzi, kłaniają mu się, jakby był bożyszczem tłumów. Przechodzimy przez drzwi, a następnie mijamy mały hol, by po chwili znaleźć się w wielkiej sali.

Chciałabym się zachwycić pięknym wnętrzem, lecz nagle zaczynam odczuwać... strach.

Dlaczego zaczęłam się bać?

Mam dziwne przeczucie, jakby z każdej strony czyhało niebezpieczeństwo, więc instynktownie przysuwam się do Rhysa, mocniej ściskając jego ramię. Zerka na mnie z niepokojem, który jednak szybko znika.

- Nie bój się, moja Viviano, jestem z tobą. Nigdy się nie bój, kiedy jestem przy tobie. Prowadzi mnie dalej, aż otacza nas tłum. Mężczyźni, zarówno młodszy, jak i starsi, koniecznie chcą zamienić z nim kilka słów. Niektórzy podchodzą tylko po to, aby się przedstawić, natomiast inni mają do omówienia naprawdę ważne sprawy i od początku rozmowy posługują się językiem włoskim. Z zainteresowaniem oraz podziwem przysłuchuję się, jak po zakończeniu konwersacji anglojęzycznej Rhys przeskakuje nagle na język ojczysty, perfekcyjnie zmieniając akcent.

Przy wszystkich mężczyznach stoją wymuskane, ociekające luksusem kobiety.

Żadna z nich nie jest skora do głębszych rozmów, poprzestając na sztucznej wymianie uprzejmości. Bywają również takie, które patrzą na mnie z wyższością, a także nieuzasadnioną pogardą. Mam gdzieś, co o mnie myślą, wręcz przeciwnie - jestem pewna, że już nigdy ich nie spotkam, a jeszcze przed zakończeniem tej imprezy zapomnę, jak się nazywają. Pomoże mi w tym szampan, który popijam, aby dodać sobie odwagi.

W końcu udajemy się na kolację. Siadam przy Rhysie, a miejsca obok nas zajmują Amelia oraz Xavier, co bardzo mnie cieszy, tym bardziej że atmosfera dziwnie gęstnieje. W pewnym momencie odnoszę wrażenie, że ciekawskie spojrzenia zebranych skupiają się na mnie, dlatego wlepiam wzrok w talerz.

Kiedy kończymy jeść i wstajemy od stołu, oddycham z ulgą. Rhys udaje się z grupą mężczyzn w nieznanym mi kierunku, natomiast ja namawiam Amelię, żebyśmy wyszły na zewnątrz. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Podświetloną ścieżką w ogrodzie idziemy w kierunku fontanny. Mijamy kilka kobiet, które najwyraźniej znają Amelię, ponieważ, ignorując moją obecność, pytają, czy jestem narzeczoną Millera. Gdy przyjaciółka bez zastanowienia odpowiada twierdząco, po prostu nie dowierzam.

Kim niby jestem?!

Normalnie uduszę ją po powrocie do domu!

I dlaczego ciągle traktują mnie jak powietrze?

Chyba wie, co ją czeka, bo zostawia nadęte towarzystwo, idąc dalej ze mną. Kiedy znajdujemy się w bezpiecznej odległości, chcę zapytać, o co chodzi, i zażądać wyjaśnienia, kim są ci wszyscy ludzie, ale w polu widzenia pojawia się pirania.

Super!

- Amelia - piszczy Maria, po czym znów cmoka powietrze na powitanie. - I ty - dodaje zgorzkniale, spoglądając na mnie. Promile buzujące w moich żyłach krzyczą, abym się nie dała i nie zamierzam.

- Ups! Rozczarowana? - pytam z udawaną troską. - Czyli nie będzie buziaków - rzucam sarkastycznie, przykładając lewą dłoń do piersi.

Maria, obserwując ten gest, momentalnie wpada w furję, a jej oczy robią się wielkie jak spodki.

- Ten pierścień! - krzyczy histerycznie. - On miał być mój!

- Maria, puknij się w końcu w swoją chorą głowę i pogódź z tym, że on ciebie nie chce - upomina ją Amelia.

Dziewczyna natychmiast zaczyna się żalić mojej przyjaciółce, przypominając, że to ona powinna być z Rhysem. Potem wykrzykuje oskarżenia pod moim adresem, a następnie insynuuje, iż uzurpuję sobie jakieś prawa wobec Millera. Stoję jak wryta, nie nadążając za kolejnymi obelgami oraz pomówieniami, od których uszy więdną. W pewnym momencie poziom furii roznoszącej kobietę osiąga chyba apogeum, bo podchodzi i popycha mnie w stronę fontanny.

Tracąc równowagę, zaczynam krzyczeć. Nagle zostaję szarpnięta, a tym samym uratowana od upadku. Ktoś przyciska moje rozdygotane ciało do masywnej sylwetki i wiem, że to on.

- Luca, zabierz ją stąd - rozkazuje wściekły Rhys.

Nie odwracam się. Nie chcę ich widzieć. Po raz pierwszy zastanawiam się, co ja tu właściwie, do cholery, robię. Do tej pory żyłam w spokoju swoim poukładanym życiem i nagle wpadłam w sam środek wielkiej, pokręconej, tajemniczej rodzinki.

Pomimo że cieszę się całym sercem z powrotu Amelii, a także, wbrew zasadom zdrowego rozsądku, darzę Rhysa głębokim, nadal niezdefiniowanym uczuciem, mam dość. Zbyt wiele dzieje się zdecydowanie za szybko. Wyrwam się z objęć Millera, po

czym ruszam przed siebie, schodząc na trawnik, żeby szybciej dotrzeć do wyjścia.

- Viviana! - wołają chórem Rhys, Xavier oraz Amelia.

Ani myślę się zatrzymywać. Obcasy wbijają się w podłogę, utrudniając wędrówkę, ale walczę z tym, jak tylko potrafię. Słyszając za sobą kroki, przyspieszam, lecz wszystko idzie na marne.

Miller okręca mnie przodem do siebie, przerzuca przez ramię i niesie nie wiadomo gdzie.

- Puść mnie! - Uderzam pięściami w jego plecy.

- Nie rób scen. Zaraz wszystko sobie wyjaśnimy - oznajmia ze stoickim spokojem, doprowadzając mnie do jeszcze większego szału.

- Idź wyjaśniać sprawy z Marią - warczę, kiedy wchodzimy do środka, chyba innym wejściem.

Rhys prycha, ruszając schodami na górę. Wchodzi do jakiegoś pomieszczenia, a następnie stawia mnie na podłodze, podtrzymując. Rozglądam się, by odkryć, że jesteśmy w ogromnej, pięknej sypialni.

- Komu powierzyłem ten pierścień? - pyta, zwracając na siebie moją uwagę. Chwyta moją lewą dłoń i wskazuje przedmiot znajdujący się na palcu serdecznym. - Komu? - powtarza, gdy nie odpowiadam.

- Mnie - szepczę, nadal będąc pod wpływem wzburzenia.

Miller przytakuje.

- Wiesz, dlaczego?

- Ja nic nie wiem, Rhys - mówię zrezygnowana. - Nie wiem, co jest między nami i kim my w ogóle jesteśmy. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Ujmuje moją twarz, a w jego oczach dostrzegam rozczarowanie.

- Gdybyś tylko wiedziała, ile dla mnie znaczysz... - W jego głosie znowu słychać ten rozdzierający serce ból. - Nie istnieje nic, co mogłoby mnie zranić czy naruszyć.

Choćby tysiące kul przeszywało moje ciało, byłbym w stanie stać, aż do ostatniego tchu. Jednak to? Nigdy we mnie nie wątp. Nie wątp w moje oddanie ani w samą siebie. - Przyciska swoje czoło do mojego.

Nie wiem, co nagle we mnie wstępuje. Może wpłynęła na to postawa Rhysa, ból wylewający się z każdym jego słowem, a być może egoistyczna potrzeba.

Niezależnie od przyczyny, przystępuję do działania. Powoli zsuwam jego marynarkę, która z szelestem opada na podłogę. Następnie poluzowuję krawat, wpadając na niego dokładnie tak, jak w przymierzalni, kiedy to na mnie wymusił. Teraz jednak sama tego chcę, wręcz potrzebuję. Całe ciało łaknie tej jednej chwili. Rozpinam pasek oraz spodnie, po czym wysuwam koszulę i zaczynam odpinać guziki. Tym razem nie mam zamiaru uciekać. Kiedy zdejmuję ostatnią, górną, warstwę, bezwstydnie przykładam dłonie do ciała Rhysa, przesuwając nimi powoli po pięknie wyrzeźbionych mięśniach. Spoglądam w czarną głębię oczu, w których widzę pożądanie. To jest to. Tego nie da się już zatrzymać.

Sukienka zostaje ze mnie praktycznie zerwana, a w jej ślady idzie reszta garderoby.

Nasze usta łączą się w namiętym pocałunku, języki zaś płaczą niecierpliwie, gdy przemykamy przez pokój, aż nasze nagie ciała opadają na materac. Nagle Rhys odrywa się od moich warg, a jego dłoń wędruje do piersi.

- Tak długo na to czekałem - szepcze. - Gdybyś tylko wiedziała... - Atakuje moje ciało, sunąc po nim ustami i językiem. Skubie oraz liże praktycznie każdy fragment, a następnie obsypuje pocałunkami, jakby się obawiał, że za chwilę się rozplynę. Raz po raz zachłannie wciągam powietrze. Wplątam drżące palce w jego włosy, gdy znaczy rozgrzaną skórę gorącymi pocałunkami, kierując się coraz niżej. Kiedy cudowne usta Rhysa docierają w końcu do wrażliwego miejsca, niemal natychmiast się rozpadam. Wędrując dłońmi po udach, chwyta je stanowczo, mocniej przywierając do mnie wargami, i czyni cuda, o jakich nie miałam pojęcia. Wreszcie jego język okrąża łechtaczkę, a ja jęczę, wyginając plecy w łuk i zaciskając dłonie w pięści. Gdy wzbiera we mnie gorąca fala spełnienia, Rhys przerywa, spogląda na moją zszokowaną twarz i uśmiecha się przebiegle. Z szuflady szafki nocnej wyjmuje foliowe opakowanie, które natychmiast rozrywa, po czym nakłada prezerwatywę na imponujących rozmiarów męskość.

Zawisa nade mną, a następnie wchodzi ostrożnie. Ból spowodowany długą przerwą trwa krótko. Rhys przygląda mi się uważnie, po czym zaczyna się poruszać. Najpierw wolno, potem coraz szybciej, trzymając mnie mocno, jakby się bał, że znów ucieknę, ale nie zamierzam tego robić. Chcę do niego. Zawsze tylko do niego.

Czując, z jaką pewnością, a zarazem ostrożnością wysuwa się i wchodzi z powrotem, zdaję sobie sprawę z jednej rzeczy. To nie jest zwykłe pieprzenie ani kochanie się. Rhys właśnie czci moje ciało, zabierając mnie na szczyt ekstazy. Jesteśmy tam razem i razem z nim chcę tam zostać. Całym sercem.

Przywieramy do siebie spoconymi ciałami, poruszając się we wspólnym rytmie. Wpijam zęby w jego ramię, aby stłumić okrzyk, gdy osiągam gwałtowny orgazm. Rhys niemal natychmiast podąża za mną, wydając gardłowy odgłos, po czym przygniata mnie swoim ciężarem. Leżymy tak dłuższą chwilę, dysząc i sapiąc, aż Miller wstaje, pozbywa się prezerwatywy i, nic nie mówiąc, przyciąga mnie do siebie. Położywszy głowę na twardej klatce piersiowej, wsłuchuję się w przyspieszone bicie jego serca. Gdy już prawie zasypiam, czuję, jak leniwie przeczesuje palcami moje włosy, szepcząc słowa, których nie rozumiem:

- *Il mio amore... la mia vita... mia moglie... mia Viviana*^u.

ROZDZIAŁ 15



VIVIANA

Przeciągam się leniwie z zamkniętymi oczami i uśmiechem na ustach. Czuję się szczęśliwa. Unoszę powieki, po czym spoglądam w prawo, skąd bije światło. Całą ścianę zajmują ogromne okna, a pośrodku znajdują się podwójne przeszklone drzwi, otwarte na oścież. Na zewnątrz wieje delikatny wiatr, który porusza firanami.

Chwileczkę. Już wiem. Przespałam się z Rhysem.

O jasna cholera!

Odwracam się powoli w drugą stronę i... oto on. Nawet rano, tuż po przebudzeniu, kiedy ma włosy w nieładzie, wygląda tak nieziemsko, że samo patrzenie wywołuje bolesne ukłucie w piersi. Mój piękny anioł. Anioł ciemności.

Leży z rękami pod głową, obserwując mnie uważnie, jakby czekał na moją reakcję. Zastanawiam się, czy dobrze postąpiłam. Może powinnam była jeszcze poczekać? Ach, z doświadczenia, jakie posiadam w kwestii związków, czyli zerowego, wynika, że jestem w tym do niczego. Niepotrzebnie jednak wyrzucam sobie coś, co było cudowne. Miller, jakby wyczuwając, że moje serce toczy zaciętą walkę z rozumem, marszczy brwi, przyglądając mi się intensywnie. Trochę zażenowana uciekam wzrokiem i dostrzegam interesujący tatuaż. Nad lewą piersią Rhysa widnieją takie same inicjały jak na pierścieniach. Nagle czuję ciężar obrączki założonej na serdeczny palec lewej dłoni. Gdy przykładam prawą rękę do miejsca pokrytego tuszem, niespodziewanie zostaję przyciągnięta do jego torsu.

- Nie żałuj tego, Viviano - mruczy i uśmiecha się.

- Nie zamierzam - oznajmiam szczerze.

- To dobrze, bardzo dobrze. - Przyciąga mnie jeszcze bardziej, po czym bierze głęboki wdech.

Leżymy tak, nic nie mówiąc ani nie analizując niczego. Po prostu cieszymy się swoją bliskością. Nie pamiętam, kiedy czułam taką prawdziwą, niezmaconą niczym błogość oraz beztroskę, ale lubię ten stan.

- Czas na prysznic i śniadanie - oświadczają w końcu nieco rozczarowany Rhys.

- Nie chcę - marudzę, na co klatka piersiowa Millera zaczyna drgać. No, ja nie uważam, żeby opuszczenie tego łóżka było dobrym pomysłem.

- Ja też nie - przyznaje. - Muszę jednak dokończyć sprawy, które wczoraj byłem zmuszony przerwać, aby ratować swoją kobietę z opresji.

Jaki on jest słodki.

Wtulam się w niego bardziej i wdycham seksowny zapach.

- Przykro mi - kłamię.

Gdyby nie ten incydent, teraz pewnie nie leżelibyśmy tu razem.

- Nie kłam - ostrzega, lecz wyłapuję nutkę humoru w jego głosie.

Nagle do moich myśli wkrada się osoba, która jest odpowiedzialna za cały ten chaos. Muszę wiedzieć, w czym problem.

- Rhys, o co chodzi z Marią? - pytam.

- Naprawdę chcesz o niej rozmawiać w łóżku?

Chcę? Chyba nie. Po co psuć taki piękny moment?

- Nie - odpowiadam.

- W takim razie ustalone. Prysznic i śniadanie. - Wstaje, bierze mnie na rękę, po czym kieruje się w stronę łazienki.

Całkowicie nadzy wchodzimy do ogromnego, pokrytego ciemnym marmurem pomieszczenia z jasnymi dekoracjami. Przeszklona kabina prysznicowa przypomina wielkością łazienkę w domu Rhysa. I tu pojawia się pytanie - gdzie my tak w ogóle jesteśmy? Pytam Millera, jednak on oznajmia jedynie, że posiadłość należy do rodziny. Nie dodaje nic więcej.

Zanim wejdę pod prysznic, wymuszam na nim, aby dał mi zapasową szczoteczkę. Nie chcę zabić biedaka niezbyt świeżym porannym oddechem. Stoimy obok siebie przed dużym lustrem, szorując zęby. Co ciekawe, nie wstydzę się. Jeszcze miesiąc temu uciekałabym z krzykiem, a teraz mam wrażenie, jakby to była jedna z najbardziej naturalnych rzeczy pod słońcem.

Kiedy przychodzi pora na prysznic, nawzajem się myjemy. Rhys błądzi dłońmi po mojej skórze, poświęcając szczególną uwagę intymnym częściom ciała, a ja mu się odwdzięczam. Zatracając się w tej cudownej chwili, okazujemy sobie uczucia, których nie byliśmy w stanie określić słowami. W zasadzie tego, co nas łączy, nie da się opisać w żaden sposób. Pożądanie, które odczuwamy, jest tak silne, że wydaje się wręcz niebezpieczne. Nie przejmuję się jednak możliwymi konsekwencjami, tylko daję się wciągnąć w świat Rhysa i nie chcę go już opuszczać.

Odświeżeni i w czystych ubraniach, które magicznie pojawiły się w sypialni, schodzimy po schodach - Rhys w nowym, grafitowym garniturze, natomiast ja w prostej, ciemnozielonej sukience oraz szpilkach. Zawdzięczam je zapewne Amelii. Wkraczamy do jadalni, którą rozjaśniają bukiety białych lilii w wazonach. Przy długim stole zebrało się już sporo osób, co jest trochę krępujące. Nie spodziewałam się tego.

Kiedy ludzie zauważają Millera, natychmiast wstają, a następnie każdy wita go skinieniem głowy.

Pewny siebie Rhys splata nasze dłonie i zmierza do miejsca na końcu rzędu. Po chwili odsuwa dla mnie krzesło, a sam siada obok, u szczytu stołu. Po mojej lewej stronie zauważam Amelię, a naprzeciwko - Xaviera.

Co za ulga.

Z ciekawości spoglądam w kierunku osoby, która zajęła miejsce przy drugim końcu stołu, czego natychmiast żałuję. Starszy mężczyzna, który z pewnością przekroczył już siedemdziesiątkę, wbija we mnie nienawistne spojrzenie. Obok niego dostrzegam wyraźnie rozdrażnioną Marię.

Cały czar tego poranka pryska i ponownie czuję się, jakbym nie pasowała do tego świata.

Rhys na ułamek sekundy kładzie swoją dłoń na mojej, a następnie wstaje. Zerkam na niego nerwowo.

- Kobieta, która przy mnie siedzi, jest dokładnie tu, gdzie jej miejsce. Jeśli ktokolwiek ma jakiegokolwiek obiekcje, będzie musiał opuścić ten dom. Natychmiast. - Po jego zapewnieniu wcale nie czuję się lepiej. Wręcz przeciwnie - zaczynam się zastanawiać, czy Maria miała wczoraj rację. Czy uzurpuję sobie prawo do bycia tam, gdzie nie powinnam? Od tych myśli tracę apetyt.

Rozglądam się, choć wiem, że niejedna osoba wolałaby, abym opuściła jadalnię. Nie mija dużo czasu, a kelnerzy zaczynają roznosić jedzenie. Proszę jedynie o kawę, ale Miller nakazuje, żeby przyniesiono półmisek z owocami.

Męcę się, przeżuając mango kawałek po kawałku oraz wsłuchując się w ciszę, którą raz po raz przerywa dźwięk odstawianej na spodek filiżanki lub odkładanych na talerz sztućców.

Kątem oka zauważam, jak Rhys co chwilę posyła mordercze spojrzenie mężczyźnie przy drugim końcu stołu. Kiedy kończymy jeść i wychodzimy z jadalni, ogarnia mnie ogromna ulga.

Gdy stajemy w ustronnym miejscu, Miller szepcze coś do Xaviera, natomiast Amelia przeprosza na chwilę, po czym odchodzi.

- Muszę wracać do domu - stwierdzam nagle. Chciałabym побыć trochę sama, bo inaczej zwariuję. Rhys spogląda na mnie w sposób, który daje do zrozumienia, iż jest to wykluczone. Wzdycham ciężko, a następnie podchodzę do niego i chwytam klapy doskonale skrojonej marynarki. - Proszę. - Błagalny ton sprawia, że wyraz jego twarzy łagodnieje. - Nie będę kłamać: źle się tu czuję. Ale chcę też sprawdzić, co u babci. - Patrzę mu głęboko w oczy.

- Nie uciekaj - mówi surowo.

- Nie uciekam, Rhys, już nie - zapewniam, przesuwając dłońmi po delikatnym zaroście, kiedy zauważam, że nadal nie zdjęłam pierścienia. Natychmiast się za to zabieram, jednak Miller mnie powstrzymuje.

- Nie zdejmuj go. Jest dokładnie tam, gdzie jego miejsce - szepcze.

- Rhys, nie mogę...

- Nie możesz czego, Viviano? - Ujmuje moją twarz, po czym wzdycha. - Jesteś moja, co oznacza, że i ja jestem twój. Masz prawo korzystać z mojego bogactwa i nigdy nie czuj się źle z tego powodu. Może jeszcze tego nie zrozumiałaś, ale nie ma takiej rzeczy, która by mnie od ciebie oddzieliła. Nie ma takiego miejsca, w którym byś się schowała. Przeszukałbym wszystkie zakątki świata, sprawdził każdy kamień i przesiał piaski pustyni. Od momentu, kiedy cię ujrzałem, wiedziałem, że jesteś kobietą, która pokaże mi, czym są prawdziwe uczucia, i wyrwie mnie z mroku, w którym byłem zamknięty. Dokonało się, dlatego ten pierścień należy do ciebie. Ja należę do ciebie.

Zatopiona w czarnych oczach, urzeczona jego słowami, po prostu wymiękam. Łzy wzruszenia zamazują ten idealny obraz, gdy mój mężczyzna składa na moich ustach delikatny pocałunek.

Zgadza się, abym pojechała do domu, pod warunkiem, że będę odbierała telefon za każdym razem, kiedy będzie dzwonił, a w poniedziałek spotkamy się w pracy. Odjeżdżam z pustką w sercu i poczuciem straty, lecz naprawdę muszę sobie wszystko poukładać.

Dom, słodki dom.

Kiedy zamykam za sobą drzwi wejściowe, w korytarzu pojawia się babcia. Marszczy nos, po czym obwąchuje powietrze niczym pies tropiący. Patrzę na nią jak na wariatkę, lecz podchodzę, a następnie cmokam ją w policzek. Kocham ją bezgranicznie, choć czasami potrafi doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Wchodzę do kuchni, gdzie mama popija kawę, i postanawiam wypić jeszcze jedną filiżankę. Helen przez chwilę mnie śledzi, po czym staje obok.

- W końcu. Już myślałam, że nigdy się nie puścisz - rzuca żartobliwie.

- Babciu! - krzyczę zbulwersowana.

- Oj tam, lubię ten zapach seksu w powietrzu. - Słyszac jej słowa, mimowolnie pochylam głowę i obwąchuję samą siebie. - Mnie to nie przeszkadza. Teraz powinnaś zaprosić Rhysa do nas na noc.

Spoglądam na tę zboczuszkę zszokowana. Nagle rozlega się dźwięk tłuczonego naczynia. Przenoszę wzrok na mamę, która, blada jak prześcieradło, wybiega z kuchni.

Tak, jak mówiłam:

Dom, słodki dom. Wszystko wróciło do normy.

ROZDZIAŁ 16



VIVIANA

W niedzielę rano idę z Helen do kościoła, by pomodlić się o więcej rozumu dla staruszki.

Dzisiaj babunia totalnie zaszalała – założyła białą sukienkę w różowe kwiatki, zrobiła pełny makijaż, a usta pomalowała czerwoną pomadką. Wygląda pięknie. Coś mi jednak nie pasuje, bo jej piersi wydają się większe.

Przed wejściem Helen dłońmi unosi biust, po czym daje znać, że możemy wchodzić. Znajdując wolne miejsca, siadamy w małej, niemal zatłoczonej świątyni i rozpoczyna się msza. Kątem oka widzę, jak Helen cały czas się rozgląda. Marszcząc brwi, podążam za jej wzrokiem, w kierunku starszych panów uśmiechających się do babuni.

No, nie wierzę! Ona podrywa facetów na kazaniu, trzepocze do nich rzęsami i bezczelnie przesyła buziaczki. I która z nas jest puszczałką, co?

Trącam ją łokciem, a następnie skinieniem głowy pokazuję, żeby patrzyła na ołtarz, zamiast mizdrzyć się do napalonych dziadków. Niby odzyskuje zdrowy rozsądek, ale nie na długo.

Po końcowej modlitwie biorę Helen pod ramię i wychodzimy. Kilka minut później przystaję i odwracam się przodem do niej.

– Zdajesz sobie sprawę, że to była poranna msza, a nie wieczorek zapoznawczy? – pytam, patrząc na nią spod byka.

Babcia z gracją gładzi swoją sukienkę, udając, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Widzi jednak po mojej minie, że tak łatwo się nie poddam.

– No co? Taka jesteś pobożna, a nie wiesz, co Bóg powiedział? Powiedział: „Idźcie i rozmnażajcie się”. – Unosi palec wskazujący, aby dodać powagi słowom.

Nie mam już do niej siły!

– Babciu, jest tylko jeden problem. Ty już nie możesz się rozmnażać – oznajmiam ze sztucznym uśmiechem.

Oburzona Helen opiera dłonie na biodrach.

– A kto mi zabroni próbować? – warczy. Otwieram szeroko oczy, a moja szczęka ląduje niemal na chodniku. Chyba nie wygram z nią tej dyskusji, więc nie ma sensu się produkować.

Po południu leżę na łóżku, rozmyślając o Rhysie oraz jego rodzinie.

Przypominam sobie, jak Amelia wróciła do miasta, a potem zniknęła razem z Millerem. Nie ogarniam tego. Mój umysł blokuje się przy każdej próbie

analizowania sytuacji. Dziwne jest to wszystko. Maria, która zjawia się nagle i skacze mi do gardła; jakiś starszy facet, który mnie nawet nie poznał, a już nie toleruje. Ach! I jeszcze Luca.

Do wieczora czekam na telefon od Millera albo przyjaciółki, ale żadne z nich nie dzwoni.

Kiedy w poniedziałek przychodzę do klubu, jak zawsze kieruję się do biura, które dzielę z Xavierem. Niby nic wielkiego się nie dzieje, ale zauważam, że zwiększyła się liczba ochroniarzy. Nawet na górę Mike odprowadza mnie razem z dwoma facetami, którzy chyba nie mają szyi.

Początek dnia w pracy mija na papierkowej robocie. Xavi oczywiście przynosi pączki oraz kawę. Jak tak dalej pójdzie, niedługo nie będę miała siły podnieść tyłka.

Och, Rhys musiał być przerażony, gdy zobaczył mnie nagą. A co, jeśli właśnie dlatego nie zadzwonił?

- Jak ty to robisz, że pochłaniasz tony słodkości, a nie tyjesz? - pytam kolegę.

- Chodzę na siłownię i biegam codziennie rano - odpowiada, po czym zabiera się za jedzenie.

- Chyba też zacznę - mówię cicho.

- Możesz sobie pobiegać w lasu za domem Rhysa, kiedy tam jesteś. - Nagle, jakby o czymś sobie przypomniał, dodaje: - Albo i nie. - Nic z tego nie rozumiem, więc piję kawę, żeby uruchomić myślenie.

Po południu schodzimy dopilnować kolejnej dostawy. Gdy po powrocie na górę mijamy biuro Rhysa, zostaję zaczepiona przez jednego z osiłków, który oznajmia, że szef na mnie czeka. Chcę mu powiedzieć, żeby przekazał przełożonemu, iż nie mam najmniejszej ochoty na spotkanie, ale odpuszczam.

Po chwili mentalnego przygotowania wchodzę i zamykam za sobą drzwi, a następnie obserwuję profil Millera podpisującego jakieś dokumenty.

On ma okulary!

Odłożywszy pozłacane pióro na dębowe biurko, w końcu na mnie spogląda.

Wyobrażam sobie pewną scenę.

On. W łóżku. W tych okularach. I krawacie...

- Witaj, Viviano - mówi, po czym wstaje.

- Witam, panie prezesie - odpowiadam z powagą, kiedy się przede mną zatrzymuje. Jesteśmy w końcu w pracy, więc trzeba zachować pełen profesjonalizm.

- Hmm... Podoba mi się takie powitanie - szepcze, przyciągając mnie za biodra. Automatycznie kładę dłonie na jego klatce piersiowej.

- Czego potrzebujesz? - pytam.

- Ciebie, moja Viviano. - Pochyliwszy się, całuje mnie w policzek.

Staram się nie ulec po raz kolejny i odchylam głowę. Nie może być tak, że przez dłuższy czas się nie odzywa, a potem żąda, żebym była na każde zawołanie.

- Potrzebuje pan czegoś jeszcze, panie Miller?

- Tylko ciebie - oznajmia, a ja natychmiast się odsuwam, przerywając kontakt.

Uśmiecham się na widok jego zdezorientowanej miny.

- Przykro mi, nie pieprzę przełożonych - oświadczam dumnie. Puszczam do niego oczko, odwracam się i wychodzę.
Chwilę później słyszę, jak się śmieje.

Kilka kolejnych dni wygląda podobnie. Rhys odbywa swoją karę za nagłe znikanie oraz nieodzywanie się. Nie jeżdżę do jego domu, a w pracy zachowuję pełen profesjonalizm. Zmieniło się tylko jedno - każdego poranka wstaję wcześniej, by zdążyć pobiegać przed pójściem do pracy. Amelia podobno zajmuje się innym klubem, który kupił Miller, ale przynajmniej stara się częściej dzwonić.

W piątek Rhys jedzie sprawdzić nowo zakupiony budynek, natomiast ja idę z Xavierem na drinka. Postanawiamy też zostać na wieczornej imprezie. Oczywiście na jednym znów się nie kończy i tym sposobem zaczynamy szaleć na parkiecie. Kilka godzin później mam we krwi tyle promili, że nie pamiętam, co działo się pięć minut wcześniej. Prycham tylko na tę myśl, po czym bawię się dalej, aż tłum dookoła zaczyna wirować coraz szybciej. Potem zostaję przez kogoś uniesiona, lecz nie wiem, dokąd idziemy. Nagle czuję powiew powietrza na skórze.

- Ile wypita? - Słyszę głos Rhysa. Chcę się przywitać, ale jestem na skraju przepicia. Zwyczajnie nie mam siły.

Pamiętam jazdę samochodem, a następnie to, jak Miller niesie mnie do domu, po czym kładzie na łóżku. Czując się nadzwyczaj bezpiecznie, od razu zasypiam.

Budzę się z gigantycznym kacem, rozczarowana, że jestem sama w łóżku. Idę do łazienki, żeby wziąć prysznic i wyszorować zęby. Zmierzając w kierunku garderoby, zerkam przez okno. Zauważam ubranego w dres Xaviera, biegnącego w stronę lasku. Pomimo złego samopoczucia, decyduję się do niego dołączyć, więc szybko zakładam odpowiednie ubranie.

Przechodzę przez dom, ale nigdzie nie ma ani Rhysa, ani Amelii. Nawet ochrona gdzieś zniknęła. Dziwne.

Biorę iPod'a i słuchawki, wydaję z lodówki butelkę wody, po czym biegnę do lasku. Aby nie myśleć o tym, że pewnie szybko się zmęczę ze względu na słabą kondycję, zajmuję umysł innymi sprawami. Analizuję, jak zmieniło się moje życie, odkąd poznałam Rhysa. Mam teraz jego, nowych przyjaciół, a także niezłą pracę. Poza tym sama bardzo się zmieniłam przez ten czas. Przestałam myśleć tylko o pracy oraz domu - zaczęłam po prostu żyć. Babunia też ostatnio zdaje się rozkwitać. Wszystko jest idealne.

Trzymając się wyznaczonej ścieżki, spoglądam na boki, czy Xavi przypadkiem się gdzieś zatrzymał, jednak nigdzie go nie ma. Gdy przystaję, żeby napić się wody, zauważam coś w oddali. Ruszam natychmiast i biegnę jeszcze chwilę, aż znajduję się na otwartym terenie, po którym roznosi się zapach świeżo skoszonej trawy. Gdyby okoliczności były inne, może po prostu bym zawróciła, jednak... Ten dom w oddali. Ta fontanna. Miejsce z przyjęcia.

Serce łomocze w mojej piersi i nie jest to efektem wysiłku. To dziwne przeczucia i strach. Idę przed siebie, choć cichy głos każe mi zawrócić. Im bliżej podchodzę, tym bardziej jest mi niedobrze. Dostrzegam całą obstawę Rhysa, ale nie rezygnuję. Cała się trzęsę. Moje ciało drży coraz bardziej, a serce mało nie wyskoczy z piersi. Widząc stojących w grupie ochroniarzy, jestem już pewna, że za chwilę wydarzy się coś bardzo złego. Mężczyźni znają mnie bardzo dobrze, więc mijam ich bez żadnego problemu. Okrążywszy budynek, znajduję się przed zakrętem i nagle słyszę krzyki.

- Nie po to was wszystkich zebrałem, żebyś teraz przepuścił całe dziedzictwo! - wrzeszczy jakiś facet. - Wszystko, co budowali wasi ojcowie i ja, chcesz zaprzepaścić dla jakiejś dziewczuchy, Ricardo?!

Opieram się o ścianę i czekam, jak potoczy się dyskusja.

- Nie jestem już Ricardo, pamiętasz?! Ricardo Valenti nie żyje! Teraz jest Rhys Miller. Ty mnie takim stworzyłeś! I jeśli kiedykolwiek obrazisz moją kobietę, urwę ci pierdolony łeb!

O nie!

Nawet nie zauważam, kiedy moje nogi zaczynają się poruszać i wychodzę zza rogu. Rozważny, spokojny człowiek, który jeszcze wczoraj był moim Rhysem, całkowicie się zmienił. Teraz patrzę na kogoś, kogo twarz wyraża czystą chęć mordu i bezgraniczną nienawiść. Nawet ubrany jest inaczej - garnitur zastąpiły jeansy oraz skórzana kurtka. Naprzeciw niego stoi starszy mężczyzna, a dalej Maria, Luca, Xavier, a także... Amelia.

Oddycham bardzo płytko. Znowu robi mi się niedobrze.

- Jak sobie chcesz. Wiesz dobrze, że chciałem, aby nasza rodzina powróciła na szczyt, czyli tam, gdzie jej miejsce. W mafii - mówi facet do Rhysa.

- Mylisz się! Ja nie należę do mafii... Ja nią, kurwa, jestem! - Oniemiała, totalnie wstrząśnięta tym odkryciem, zaciskam dłoń na butelce. To mój błąd.

Od tego momentu wszystko dzieje się niewyobrażalnie szybko. Zebrani jakimś cudem nagle trzymają pistolety, mierząc z nich do mnie.

Przeskakuję wzrokiem po zszokowanych twarzach Rhysa i Amelii. Potem zerkam na Marię, która uśmiecha się przebiegle, a następnie bardziej napina ramiona, dokładniej celując.

Cichy jęk strachu wyrywa się z moich ust, po czym słyszę jakiś stłumiony dźwięk oraz krzyk.

Później zapada ciemność.

ROZDZIAŁ 17



VIVIANA

Czuję potworny ból po prawej stronie głowy. Przyłożywszy dłoń do miejsca, z którego promieniuje, wyczuwam guza nad skronią.

Nieźle zaszalałam z Xavierem w klubie. Musiałam gdzieś wyróżnić orła. Dopiero gdy zaczyna mnie mdlić, zbieram się na odwagę, żeby otworzyć oczy. Unoszę powieki i dostrzegam, że coś jest nie tak z otoczeniem. Ten pokój...

To dom, w którym odbyła się impreza!

Nagle wszystko powraca, jakbym oglądała film w przyspieszonym tempie. Rhys, Xavier, Amelia, Maria. Mafia.

Szybko spoglądam w dół. Mam na sobie niebieski dres, który założyłam rano. Wydaje się nienaruszony. Dla pewności jednak błędę dłońmi od klatki piersiowej do podbrzusza. Chyba jestem cała, a przynajmniej nikt mnie nie postrzelił.

Wracam pamięcią do wcześniejszych wydarzeń. Teraz rozumiem, że fakty aż biły po oczach. Nie widziałam tego, co oczywiste, choć...

Podświadomie odkryłam prawdę już dawno, właściwie na samym początku. W tej chwili po prostu nie mam złudzeń. Musiałam to chyba usłyszeć i zobaczyć, aby dotarło.

Rhys Miller zagłuszał mój zdrowy rozsądek. Mamił swoją osobą, tymi słodkimi słówkami, dotykiem...

O Matko kochana! Miałam w sobie członka mafii!

Wiem jedno – muszę stąd wiać. Kiedy podchodzę do balkonu, zauważam, że na zewnątrz stoi trzech osiłków.

Super!

Jak byli potrzebni wcześniej, to się zmyli. Zresztą, skok z tej wysokości to chyba nie najlepszy pomysł. Pozostaje mi liczyć na szczęście i wydostać się z domu w tradycyjny sposób.

Założywszy buty, przemierzam pomieszczenie, starając się zachowywać jak najciszej. Dochodzę do drzwi, a następnie łapię za klamkę, powoli naciskając. Gdy pociągam, by otworzyć, okazuje się, że zostałam tu zamknięta, co sprawia, iż wpadam w panikę. Nie dbając o to, czy ktoś mnie usłyszy, szarpię nerwowo, jakby miało to w czymkolwiek pomóc.

W końcu się poddam i zaczynam chodzić po pokoju, próbując wymyślić realny plan ucieczki.

Po kilku minutach zatrzymuję się przed oknem i wzdycham zrezygnowana.

Spinam się, kiedy słyszę dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Ktoś wchodzi do środka.

- Powinnaś leżeć, zemdlałaś - mówi Rhys.

Nie odpowiadam. Pozwalam, aby jego głos po raz kolejny wsiąknął w moją skórę. Odwracam się z przekonaniem, że ujrzę męczyznę z dzisiejszego poranka, lecz myślę się. Ślad po nim zaginął. Miller znowu jest ubrany w garnitur i wygląda... idealnie.

Uświadamiam sobie kilka całkowicie sprzecznych faktów. Powinnam stąd uciec, ale czuję się tu bezpieczna. Powinnam wściekać się na Rhysa, lecz chcę się w niego wtulić. Czuję się przez niego zraniona i oszukana, jednak chciałabym, żeby to on mnie pocieszył. To chore, jak ten facet na mnie działa. Ja jestem chora.

Jeśli czuje cokolwiek, doskonale to ukrywa.

- Zabijesz mnie? - pytam, podchodząc do niego.

- Powiedziałem przecież, że nigdy cię nie skrzywdzę - stwierdza urażony.

- Ja tobie niczego nie obiecałam.

- Nie, nie obiecałaś. - Po jego minie widzę, że wie, co za chwilę nastąpi.

Biorę zamach i policzkuję go z całej siły, a chwilę później mam ochotę wyć z bólu.

Rhys stoi niewzruszony, jakby nic wielkiego się nie stało, co doprowadza mnie do szału. Zaczynam uderzać pięściami w jego klatkę piersiową, ale nadal nie reaguje.

Czuję się oszukana, zdradzona i upokorzona.

Kiedy nie mam już siły, opuszczam ręce. Nasila się ból w prawym ramieniu. Dyszę, jakbym przebiegła maraton.

- Skończyłaś? - Ledwo słyszę pytanie.

- Tak, skończyłam. A teraz idę do domu. - Ruszam w stronę drzwi, lecz Rhys zatrzymuje mnie, łapiąc za ramię.

- Nie możesz. Nie pozwolę ci odejść. Wystuchasz nas, a potem, kiedy przyzwyczaisz się do myśli, że jesteś moja, porozmawiamy.

- Żartujesz, prawda? - pryham, wyrывая się z uścisku. - Chcę wrócić do babci!

- Będziesz z nią w kontakcie, ale nie pozwolę ci uciec.

- Rhys - mówię błagalnie. - Chcę wracać do domu. - Widzę jednak, że przegrałam tę walkę już na początku.

Przecież to jest zwykłe porwanie!

- Viviano, zrobię, cokolwiek zechcesz. Spełnię wszystkie twoje prośby, ale tej jednej rzeczy nie zrobię. Nigdy cię nie puszczę - oświadcza. - Za chwilę ktoś przyniesie ci coś do jedzenia, a później porozmawiamy. - Wychodzi, nie oglądając się.

Zgodnie z zapowiedzią Mike przynosi mi śniadanie. Właściwie to już bardziej lunch. Po jego posiniaczonej twarzy domyślam się, że to on miał mnie rano pilnować.

Przez cały dzień nic nie jem. Nie mam ochoty. To taki mój strajk głodowy.

Jakim prawem trzymają mnie tu siłą?

Snuję się po pokoju albo leżę na łóżku ze wzrokiem wlepionym w sufit.

Gdy za oknem zmierzcha, drzwi się otwierają. Wchodzi Xavier trzymający opakowanie z pączkami oraz butelkę wina.

Serio? Czy on tylko tym żyje?

- Przybywam z pokojowymi zamiarami - uspokaja, uśmiechając się ciepło. Kiedy nie odpowiadam, bez pytania wskakuje na łóżko, po czym siada obok i kładzie między nami jedzenie. Odkręciwszy butelkę, podaje mi ją. Po chwili wahania postanawiam się napić. Gdy mu ją oddaję, idzie w moje ślady. I tak kilka razy na zmianę.

- Dlaczego nie potrafisz być przerażona, Xavi? - pytam lekko oszołomiona przez procenty. - Przebywam w domu razem z członkami mafii, a czuję jedynie złość, że mnie oszukaliście, i jestem na siebie wkurwiona właśnie za to, że nie potrafisz się bać. - Po moich policzkach zaczynają płynąć łzy frustracji. Sama nie wiem, dlaczego nadal mu się zwierzam. Przecież jeszcze rano mierzył do mnie z broni!

- Nie zrobimy ci krzywdy. Wręcz przeciwnie - ten dom to dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce w kraju - stwierdza poważnie.

- Ale dlaczego? Dlaczego ja?

Przygląda mi się przez chwilę, po czym kręci głowę z dezaprobatą, jakbym coś przeszkrobała.

- Chodź. Nadeszła pora, żebyś się dowiedziała. - Wstaje i wyciąga rękę.

Tak, to najwyższy czas, aby wszystko wyjaśnić, a następnie zostawić za sobą i wiać.

Schodząc po schodach, mam wrażenie, że cofam się w czasie. Górę urządzone w stylu nowoczesnym, natomiast dół w barokowym. Coś się komuś popieprzyło. Przepych, przepych i jeszcze raz przepych. Wszędzie pełno obrazów, masa dodatków, a do tego złocenia. Za dużo tego jak dla mnie.

Wkraczamy do przestronnego salonu, gdzie od razu zauważam Rhysa stojącego przy wielkim kominku. Amelia natychmiast wstaje i rusza w moją stronę, ale widząc moją minę, zatrzymuje się w połowie drogi. Jej oczy lśnią od łez, lecz na żal już za późno.

- Vivi - szlocha, jakby oczekiwała, że machnę ręką, uśmiechnę się, zapominając o całym kłamstwie, i wszystko wróci do normy.

- Przyjaciółko - mówię, przeciągając wyraz ze skrzywioną miną.

Amelia zerka na Xaviera, błagając wzrokiem o pomoc. Kątem oka widzę, jak mężczyzna nieznacznie kręci głowę.

- Usiądźmy. Chcę to już mieć za sobą - oznajmiam sucho.

Wszyscy się zgadzają. Xavi zajmuje miejsce obok mnie na kanapie, natomiast Rhys i Amelia siadają na fotelach. Oczywiście nastaje niezręczna cisza, bo nie wiadomo, kto ma zacząć ani od czego.

Nagle Miller wzdycha. Widzę, że przygotowuje się do przemowy.

- Viviano, jest kilka rzeczy, o których musisz się dowiedzieć już na początku. Ludzie, oglądając telewizję i czytając gazety, wszystko, co złe, przypisują mafii. Jednak nic bardziej mylnego. To zwykłe gangi i szumowiny, które chcą się dorobić na czyimś nieszczęściu. - Czy on siebie słyszy? - Już przed laty organizacja ta była darzona największym szacunkiem, bynajmniej nie dlatego, że ktoś biegał po mieście z pistoletem, strzelając do przypadkowych osób... - Rhys przygryza dolną wargę, przyglądając mi się, jakby chciał wyczytać, czy rozumiem.

- Kontynuuj - nakazuję.

Kiwa głową, zapewne próbując wy badać moją reakcję.

- Jak już wspomniałem, mafia była szanowaną organizacją. Jej członkowie pilnowali, by w mniejszych zgrupowaniach panował porządek, lecz nigdzie nie wchodzili z butami bez powodu. Dopóki była ustalona hierarchia oraz obowiązywały określone zasady, wszyscy wiedli normalne, spokojne życie. Zwłaszcza zwykli ludzie - wyjaśnia, a ja chcę, żeby przeszedł już do cholernego sedna sprawy.

- Tak było od naszych prapradziadów, którzy przybyli z Europy do Ameryki...

- Włosi. - Przerywam.

Potwierdza skinieniem głowy.

- Nasi ojcowie rządili według tych samych zasad. Ludzie jednak są chciwi. Po co przestrzegać ograniczeń, jeśli można wybić całe rodziny i zdobyć władzę?

W tym momencie chwytam za bok sofy. Mój oddech staje się nierówny, serce pęka na drobne kawałki, żołądek zaś zaciska się do granic bólu. Gdy pokój zaczyna wirować, opuszczam głowę.

Przypomina mi się opowieść babci.

- Zabito całe rodziny, nawet kobiety i dzieci.

Kiedy z powrotem zerkam w górę, napotykam zszokowane spojrzenia Rhysa oraz Amelii. Czuję też na sobie wzrok Xaviera. Rozumiem, że wypowiedziałam te słowa.

Czy to oznacza...

- My jesteśmy tymi dziećmi - Rhys potwierdza moje przypuszczenia.

ROZDZIAŁ 18



VIVIANA

Po słowach Rhysa następuje cisza. Przyglądam się po kolei zgromadzonym, próbując przyswoić to, czego się dowiedziałam. Jestem w szoku, ponieważ chwilowo mieszkam pod jednym dachem z mordercami, ale wciąż...

Jeden z nich stał się moim... No właśnie, kim? Chłopakiem? Kochankiem? Z drugim mężczyzną bardzo szybko się zaprzyjaźniłam, a Amelię znałam w dzieciństwie. Przez moją głowę przelatuje milion pytań, ale nie wiem, które z nich powinnam zadać najpierw. Nie potrafię wybrać tego najważniejszego.

- Hmm... Rozumiem, że w jakiś sposób udało się was ocalić, ale dlaczego tak długo było to trzymane w tajemnicy? Co się w ogóle wtedy stało? O co tu chodzi? - pytam chaotycznie.

Rhys unosi wzrok, wzdychając, natomiast Amelia nerwowo pociera dłonie, nie patrząc na mnie.

- Rodzice podejrzewali, że coś nadchodzi, że w końcu ktoś się zbuntuje. Obawiali się, że ktoś zechce zniszczyć naszą rodzinę, żeby zdobyć władzę. Zawsze byli ostrożni, jeśli chodziło o nasze bezpieczeństwo. Każde z nas miało opiekunkę i ochroniarza, którzy wiedzieli, co należy zrobić w sytuacji zagrożenia - tłumaczy Miller.

Podchodzi do stolika z alkoholem. Otworzywszy karafkę, nalewa do szklanki trochę bursztynowego płynu. Chowa lewą rękę do kieszeni, po czym wypija wszystko na raz, a następnie z hukiem odstawia naczynie.

Staje przodem do mnie i nagle zachodzi w nim jakaś zmiana. Znika człowiek, który był jedną wielką tajemnicą. Widzę, jak sypie się mur, który Rhys wzniósł wokół siebie, i pojawia się zwykły, pozbawiony niezwykłej aury człowiek - jeden z tych, których codziennie mijają się na ulicy lub między regałami w markecie. I już rozumiem. Powrót do tamtych zdarzeń odziera go z tego, co wypracował w sobie przez te wszystkie lata.

- To były moje szóste urodziny - oznajmia. - Rodzice wyprawiali je w naszym domu. Jak zawsze urządzili huczną imprezę i zaprosili wiele osób. W jednym miejscu zebrały się dwie najpotężniejsze rodziny wraz z przyjaciółmi oraz współpracownikami. Od pewnego czasu jednak coś było nie w porządku. Rodzice ukrywali poważne sprawy przede mną i moim bratem, żeby nas chronić. - Na wzmiankę o bracie marszczę brwi. Czy to Luca? Zauważając moją dezorientację, Miller unosi dłoń. - Pamiętam, że do pewnego momentu cała impreza przebiegała normalnie. Nagle mój tato ze swoim bratem, ojcem Amelii, poszedł do biura. Gdy wrócili, rozkazali, żeby wywieziono wszystkie dzieci. Natychmiast. Każde z nas razem z obstawą ruszyło podziemnym korytarzem do garaży. Pamiętam, jak obok

mnie szła opiekunka niosąca kilkumiesięczną Amelię. Potem zostaliśmy wsadzeni do osobnych samochodów. Kiedy mój pojazd odjeżdżał, zauważyłem przez boczną szybę, jak Antonio, mój brat, biegnie z powrotem do domu. Miał dwanaście lat. – Rhys spuszcza wzrok i milknie. W tym momencie chciałabym go przytulić.

Zerkam na przyjaciółkę, która wpatrując się w podłogę, ociera zbitą łzę.

– Każde z nas wywieziono w inne miejsce, aby nikt nie zwrócił uwagi na większą liczbę ludzi. Następnego dnia słyszałem, jak opiekunka rozmawia przez telefon. Ktoś rozstrzelał wszystkich pozostałych na przyjęciu, po czym podpalił dom. Kilkadziesiąt dzieci w jednej chwili zostało sierotami.

Nie jestem w stanie opisać ogromu bólu, który czuję teraz z powodu tej tragedii. Nie wiem nawet, co powiedzieć. Nie mam pojęcia, czy wypada się w ogóle odzywać.

Serce mi pęka na myśl o tych zabitych ludziach oraz osieroconych dzieciach.

– Kiedy cała sprawa ucichła, Emilio zebrał resztę rodziny i ułożył plan zemsty. Nie mógł odszukać jedynie Amelii. Coś musiało się stać w trakcie ucieczki, bo przy drodze znaleziono totalnie spalony wrak samochodu. Dziecka jednak w nim nie było.

– Emilio to ten mężczyzna, który... – Urywam, ponieważ nie do końca wiem, co chcę powiedzieć. Ale Rhys doskonale rozumie, o co chodzi, i kiwa głową.

– Było trzech braci Valenti. Bruno to mój ojciec, a Giorgio to ojciec Amelii.

Mężczyzna, którego poznałaś na śniadaniu dzień po przyjęciu, a także widziałaś wczoraj, jest najstarszym z braci. Ma na imię Emilio. Przeżył tylko dlatego, że odebrał pilny telefon z kasyna.

– Czyli, że on jest...

– Nie – zaprzecza natychmiast Rhys. – To ja jestem głową całej rodziny. Mój pradziadek był szefem wszystkich szefów, czyli inaczej *Capo di tutti capi*. Po nim funkcję przejął dziadek i z jakiegoś powodu zdecydował, że to mój ojciec będzie jego następcą. Jako jedyny żyjący potomek, jestem nim teraz ja. Powinnaś poznać jeszcze kilka osób, skoro zostaniesz...

Uwagę wszystkich przykuwa nagły, wymuszony kaszel Xaviera.

– Daj spokój, Rhys. Wystarczy na dzisiaj – szepcze.

Następuje dziwna bitwa na spojrzenia między wspaniałą trójką, a ja czekam w napięciu, aż ktoś mi wytłumaczy, kim zostanę.

– Ale co wystarczy? O co chodzi? – pytam w końcu.

– Powiedz jej, Rhys. Mam dość tego, że muszę ją okłamywać! – krzyczy Amelia, podrywając się z fotela.

Miller jednak tylko wzdycha, patrząc na kuzynkę ostrzegawczo.

– Dobra, w takim razie ja jej powiem. – cedzi dziewczyna, po czym spogląda na mnie. – Kiedy zobaczyłaś Rhysa po raz pierwszy, on już cię znał. To spotkanie było zaplanowane i każde kolejne również. – Oblizuje dolną wargę. – Co jakiś czas sprawdzałam, co u ciebie słychać. Nie chciałam cię wciągać w ten świat, więc trzymałam się z daleka. Pewnego dnia poprosiłam Rhysa, żeby przejechał się ze mną po okolicy. Wtedy cię zobaczył i...

– I co? – Mam serdecznie dość bycia niczego nieświadomą idiotką. – I co?! – wrzeszczę, wstając.

– Każdy szanowany przywódca musi mieć rodzinę – oznajmia Rhys.

Serio? Teraz to nawet głupi dopowiedziałby sobie resztę.

- I ja mam zostać tą rodziną, potem klaczą rozplodową, a moje dzieci mordercami?!

- Viviano - upomina mnie Rhys.

- Viviano, co?! - krzyczę. - Do jasnej cholery, co ty sobie wyobrażasz? To, że jesteś jakimś Szefem, oznacza, że możesz tak po prostu zabrać dziewczynę i zaśpiewać, że zdecydowałeś o reszcie jej pieprzonego życia?!

- Nie przeklinaj! - warczy Miller. - Sam nie wiem, kim tak naprawdę jestem. Tworzę nasz świat od nowa. Chciałem dać ci czas, żebyś mnie poznała, przyzwyczaiła się do mnie, ale niefortunnie poznałaś prawdę. Choć będziesz zła, nie zmienię zdania. Jestem cholernie samolubnym człowiekiem. Powiedziałem już: dam ci, co tylko zechcesz, ale nigdy nie pozwolę odejść.

- Jest jeden problem: ja cię nie znam. Nie wiem, czy jesteś Rhys czy Ricardo, Miller czy Valenti! - Wymachuję rękoma.

Wygląda na urażonego, jakbym to ja była tą złą.

- Znasz mnie, tego prawdziwego mnie. Kiedy będziesz gotowa, porozmawiamy. - Położywszy moją komórkę na stoliku, wychodzi.

Po chwili Xavi biegnie za nim, a ja zostaję z Amelią.

- Wiem, że cię zawiodłam. Wiem, że jestem najgorszą przyjaciółką na świecie i nawet nie zasługuję na ten tytuł. Proszę cię tylko, żebyś wybaczyła Rhysowi - szlocha.

- Chyba zwariowałaś - prychem, nadal wkurwiona.

- Nie byłam z nimi od początku, ale wiem jedno. Tylko ty potrafiłaś mu pomóc. Tylko ty jesteś w stanie mu pomóc - oświadcza Amelia, nie dając za wygraną.

- O czym ty, do cholery, mówisz?!

- Nie moja historia. O tym musisz porozmawiać z Rhysem - odpowiada. - Powiem tylko tyle, że od tych feralnych urodzin nigdy się nie śmiał, dopóki nie pojawiłaś się ty. Czasami potrafił siedzieć godzinami z nieobecny wzrokiem i nie zwracał uwagi na otoczenie. Nie wiem, co się stało, zanim mnie odnaleźli, ale jestem pewna, że Emilio ma z tym wiele wspólnego. Ty go obudziłaś Vivi, wyleczyłaś go. Proszę, nie rezygnuj - kończy, odwraca się i opuszcza salon. Zostaję sama.

Po prostu cudownie!

Zerkam na komórkę, którą zostawił Rhys. Ciekawe, czy nie bał się, że byłabym skłonna zadzwonić na policję.

Mogłabym w ogóle to zrobić?

Zabieram smartfon, kieruję się w stronę schodów, po czym wchodzę po stopniach.

Przemierzam korytarz i już chcę wejść do swojego pokoju, gdy otwierają się drzwi na końcu. Staje w nich wredna Maria.

Zajebicie! To będzie bardzo interesujący pobyt.

RHYS

Siedzę na krześle w centrum pomieszczenia. Trzęsę się ze strachu przed nieznanym. Na czym dzisiaj będzie polegał mój test? Co tym razem robi, kiedy nie zdam? Co będzie, gdy zawiodę? Przed chwilą założył mi opaskę na oczy, więc tylko słyszę jego kroki. Chodzi wokół krzesła.

Kiedy zatrzymuje się przede mną, podskakuję.

- Kim jesteś? - pyta autorytatywnie, przesyconym nienawiścią tonem.

- Ric... Rhys, Rhys Miller - odpowiadam natychmiast, żeby uniknąć kary.

- Dobrze. Jaki jest twój cel?

Jaki jest mój cel?

- N... Nie wiem. - Nagle chwyta mnie za ramiona, kilka razy potrząsając drobnym ciałem.

- Zabić ich wszystkich, dzieciaku, co do jednego. Po trupach wrócimy tam, gdzie nasze miejsce! - Gdy opuszcza mnie w końcu na siedzenie, zagryzam policzek, żeby powstrzymać się od płaczu.

Kiedy zdejmuję opaskę, mrugam parę razy, aby mój wzrok przyzwyczał się do światła.

W rogu pomieszczenia zauważam klęczącego, zakneblowanego mężczyznę.

- Dzisiaj zabijesz pierwszego z nich...

ROZDZIAŁ 19



VIVIANA

Nocka w domu mafijnych wariatów mija po prostu cudownie. Wiercę się nieustannie, nie mogąc zasnąć. Zamiast się cieszyć, że Rhys nie naruszył mojej przestrzeni osobistej, myślę o tym, czy jest teraz z tą harpią. Zaraz po tym, jak ją zobaczyłam, weszłam do pokoju. Miałam dość wrażeń jak na jeden dzień.

Z samego rana do sypialni wpada Xavier i pyta, czy chcę z nim pobiegać. Oczywiście zgadzam się – gdybym mogła, już bym tu nie wracała. Przebywanie pod jednym dachem z Marią doprowadza mnie do szału. Ubrana w biały dres, zbiegam po schodach, przy których czeka Xavi. Łapię rzuconą przez niego butelkę wody, po czym ruszam do wyjścia. Kierujemy się do lasu, a kiedy wbiegamy między drzewa, zastanawiam się, czy udałoby mi się teraz uciec. Zaczynam układać w głowie plan, analizując, w którą stronę najlepiej zacząć biec.

– Serio? Wydaje ci się, że dałabyś radę uciec? – pyta Xavi z nutką rozbawienia w głosie.

Co? Skąd... A, no tak!

Muszę opanować sztukę myślenia bez wypowiedzania swoich genialnych pomysłów. – No wiesz, zostałam zamknięta w tym wielkim domu z ludźmi, których praktycznie nie znam, a do tego z Marią. To nie napawa optymizmem – dyszę. – Już wolę domek, w którym spałam do tej pory.

– Pogadam o tym z Rhysem. Ty i ta wydra w jednym miejscu to faktycznie nie najlepszy pomysł.

– Kim ona właściwie jest dla Rhysa?

– Kuzynką. Córką Emilio i siostrą Luca – wyjaśnia, rechocząc.

– Ale ona chce z nim być – mówię zszokowana, zatrzymując się.

– Tego typu relacje bywały praktykowane, zresztą nadal są. Maria ubzdurała sobie, że Rhys jest jej, jednak nikt nie bierze tego na poważnie. Nie przejmuj się nią.

Korzystając z tego, że dalej biegniemy w ciszy, próbuję zrozumieć, dlaczego Amelia pozwoliła na wciągnięcie mnie w cały ten bałagan. Czuję się zdradzona. Wczoraj schowałam żal głęboko w sobie, ale w końcu będziemy musiały o tym pogadać.

Dodatkowo wyszło na to, że ona z Rhysem są niby tacy biedni i poszkodowani.

– Cholera! – klnie Xavier.

Zamyślona, nie zauważyłam nawet, że niebo przestroniły ciemne chmury i zerwał się

silny wiatr. A do tego zaczyna padać.

Nie! To jest ulewa!

Zawracamy i biegniemy w kierunku domu. Pomimo iż nad piaszczystą ścieżką rozpościerają się gałęzie, przemokłam do suchej nitki. Dobiegając do otwartej przestrzeni, potykam się, więc automatycznie łapię szatyna za ramię. Zamiast jednak złapać równowagę, ciągnę go za sobą, co sprawia, że lądujemy w ogromnej kałuży.

Po chwili szoku zerkamy na siebie i wybuchamy śmiechem. Część twarzy Xaviego jest pokryta błotem, podobnie jak ubranie. Ja zapewne nie wyglądam lepiej.

Roześmiana, nie mam siły się podnieść, ale mężczyzna ratuje mnie z opresji. Wstaję z jego pomocą, po czym wierzchem dłoni ścieram błoto z podbródka.

Spoglądam w dół, omiatając wzrokiem dres, który jeszcze przed wyjściem był biały.

No, to się na przebieżkę odstawiłam.

Raczej nie mogę się gorzej prezentować, lecz nie dbam o to. Wolnym krokiem, nadal rechocząc, idziemy do rezydencji.

Xavi pierwszy dociera do drzwi, więc otwiera je, a następnie mnie przepuszcza.

Kiedy przechodzimy przez hol, pojawia się Rhys... i Maria. Mina Millera jest bezcenna, gdy przeskakuje zszokowanym wzrokiem z naszych zabłoconych ubrań na brudne twarze.

- Widzisz, kochanie? - przemawia swoim denerwującym, skrzeczącym głosem Maria.

- Xavi wrócił, nie musisz się dłużej o niego martwić. - Kładzie dłoń na ramieniu Rhysa, przywierając bokiem do jego ciała.

Serio?! Czy ona potrafi być bardziej żenująca niż w tym momencie?

Nie wiem dlaczego, ale nie czuję ani krzty zazdrości, za to jestem niesamowicie rozbawiona. Wybucham niepohamowanym, gromkim śmiechem i chwytam Xaviego za rękę, ciągnąc go w kierunku schodów.

- Chodź, kochanie, pozwólmy im się pocieszać.

- Wiesz, że to była dziecinada? - szepcze, kiedy wchodzimy po stopniach. - Poza tym wydaje mi się, że przed chwilą przesądziłaś o losie mojego przyrodzenia.

Ups!

Po długim prysznicu wycieram się, a potem suszę włosy. Owijam się ręcznikiem, po czym ruszam do pokoju.

W pomieszczeniu stoi Rhys. Po zaciśniętych pięściach i szczęce można by wnioskować, że ktoś go zdenerwował.

Ha! Ciekawe kto?

- Czego chcesz? - pytam oziębłe, podczas gdy on lustruje moje półnagie ciało.

- Wiem, że jesteś zła, ale już powiedziałem, że nie mogę...

Cholera jasna!

- Wiesz, czego nie możesz, Rhys?! - wybucham. - Nie możesz ot tak zabrać sobie kogoś i zamknąć w klatce, tym samym przywłaszczając jak rzecz! Ja też mam uczucia! Jeśli mam z tobą poważnie porozmawiać, daj mi pomyśleć.

Po kolei wyjmuję ubrania z szafy, natomiast z komody wyławiam czarną bieliznę.

Rzuciwszy wszystko na łóżko, opuszczam ręcznik. Dopiero po fakcie zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłam, lecz mam to w dupie. Jestem na niego wściekła, a naga i tak mnie już widział.

Miller ze świstem wciąga powietrze i kątem oka widzę, jak się odwraca.

Nie powiem, że mnie to trochę nie bawi. Niech cierpi. Może mnie zamykać, na ile chce, ale, jak powiedziała by Helen, nie posiadzie mnie.

W pełni ubrana idę do łazienki, gdzie rozczesuję włosy.

- Dobrze - słyszę nagle zza pleców i natychmiast zamieram.

- Dobrze co? - pytam naburmuszona.

- Mike zawiezie cię zaraz do domu. Nie każ mi jednak długo czekać.

Po jego wyjściu wcale nie czuję się lepiej, a nawet jest mi... źle.

Och, żebyś to ja wiedziała, czego chcę.

Jęk frustracji wydobywa się z moich ust, lecz nie zastanawiam się ani chwili. Biorę telefon oraz torebkę, a następnie zakładam buty. Czym prędzej chcę stąd wyjść.

Na zewnątrz czeka Mike. Wsiadamy do pojazdu, po czym ruszamy, oddalając się od budynku.

Kiedy otwiera się przed nami potężna brama posesji, serce zaczyna mi walić w piersi jak młot. Dziwne rzeczy dzieją się z moim, i tak już sfiksowanym, umysłem.

Chciałam uciec i nagle chcę wrócić. Jestem zła i nie jestem. Gdyby te wszystkie sprzeczne emocje mogły się zmaterializować, a każda z nich ciągnęłaby mnie w swoją stronę, z mojego ciała zostałyby tylko strzępy. Mam wrażenie, że jedziemy w żółtym tempie. Dodatkowo muszę się zmagać ze strasznym bólem głowy.

Dwie noce i dwa dni. Totalna pustka.

Zupełnie nie wiem, jakie wnioski mam wyciągnąć z bitwy między rozumem a sercem. To drugie coraz bardziej tęskni.

Cholera.

O dziwo, babcia po raz pierwszy nie wypytuje o Rhysa. Nie rzuca mi też w twarz swoich mądrości ze słownika wścibskiej Helen. Mama, jak to ona, całymi dniami siedzi zamknięta w pokoju. Tyle ją widać.

Aby oczyścić umysł, postanawiam wybrać się na zakupy. Oczywiście sama. Chyba taki już mój los. Wychodzę z domu i kieruję się w stronę przystanku. Wiem, że gdzieś w pobliżu kręci się Mike, ale nie mam ochoty na towarzystwo.

Jazda ciągnie się prawie godzinę. Gdy wreszcie chodzę po centrum handlowym, uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, czego chcę. Wcale nie pomaga to, że z każdej strony znowu czuję baczne spojrzenia mięśniaków Rhysa.

Ostatecznie daję sobie spokój z robieniem zakupów na siłę i idę do pobliskiej kawiarni. Wchodzę do lokalu, zamawiam podwójne espresso, po czym siadam przy stoliku na końcu pomieszczenia. Niemal natychmiast do środka wchodzi mężczyzna, na widok którego stwierdzam, że wszechświat mnie nie trawi.

Kolejny garniak, oliwkowa skóra, czarne włosy, bla, bla, bla...

Zerkam ku górze i bezgłośnie pytam Boga: „Za co?”

Najlepsze jednak jest to, że facet bierze swój napój, a następnie zmierza do mojego

stolika. Przysięgam, że jeśli tu usiądzie, zacznę krzyczeć. No i co? Oczywiście staje obok.

Jasno i wyraźnie daję do zrozumienia, że nie potrzebuję towarzystwa – po prostu go ignoruję. Wlepiając wzrok w drzwi, spokojnie popijam kawę.

– Mogę się przysiąść?

Serio? W tym pomieszczeniu nikogo nie ma, jest kilkanaście wolnych miejsc.

– Hmm... Tak.

Niezaprzeczalnie jestem idiotką.

Oczywiście nieznajomy zajmuje miejsce naprzeciwko, zastaniając widok. W końcu na niego spoglądam, bo tak wypada. Jest tak ładząco podobny do Rhysa, że aż zapiera mi dech w piersiach. Pod jego lewym okiem ciągnie się blizna, co nie umniejsza jego atrakcyjności, ale wzbudza we mnie lekki strach.

– Może powinienem się przedstawić – mówi z uśmiechem, po czym wyciąga rękę. – Antonio Valenti.

Jak rażona prądem, zrywam się z krzesła, a gorąca kawa wylewa się na moje uda. Najpierw czuję ból, a potem upadam. Po raz kolejny.

ROZDZIAŁ 20



VIVIANA

Ogarnia mnie dziwne uczucie... Mam wrażenie, że ktoś mną potrząsa, a jednocześnie silne ramiona podtrzymują ciało. Kiedy unoszę powieki, widzę Mike'a. Dopiero gdy się rozglądam, dociera do mnie, że jedziemy samochodem.

- Dzwonimy do szefa? - pyta ktoś siedzący obok.

Obserwuję, jak przez twarz Mike'a przemykają różne emocje.

- Pozabija nas wszystkich. - Wzdycha, po czym spogląda na rozmówcę. - Dzwon. Pojazd się zatrzymuje i natychmiast zostaje wyciągnięta przez spanikowanego Xaviera.

- Postaw mnie - marudzę. - Sama pójdę.

On jednak nie odpowiada. Pędzi przez dom, aż dociera do sypialni, gdzie kładzie mnie na łóżku. Zaczyna zdejmować moje buty oraz spodnie.

Wcześniej próbowałam zrozumieć, co się dzieje, więc zapomniałam o niedawnych wydarzeniach. Teraz jednak paskudne pieczenie przypomina o całym zajściu. Nagle do pokoju wpada jakiś facet w średnim wieku, trzymający wielką torbę. Wyjaśnia, że jest lekarzem, który opatrzy moje uda. Gdy zabiera się do pracy, przyciągam za rękę siedzącego niedaleko Xaviera. Muszę mu opowiedzieć o spotkaniu w kawiarni. Gdy kończę mówić, patrzy na mnie jak na wariatkę.

- Oszalałaś czy żartujesz? - pyta podniesionym głosem. - Ja też byłem na urodzinach Rhysa, wszystko widziałem. Antonio nie żyje.

- Xavier, a co, jeśli jest inaczej? - Panikuję, bo nie chcę, by pomyślał, że z zemsty za ich kłamstwa opowiadam głupoty.

Moja powaga daje mu do myślenia. Obiecuje zająć się tą sprawą i prosi, abym na razie nie mówiła nic Rhysowi. Gdy wychodzi, biorę tabletkę, którą podał mi lekarz, po czym zasypiam.

Po przebudzeniu ziewam i przeciągam się leniwie. Kiedy unoszę powieki, od razu zauważam znajomą staruszkę, która czyta gazetę w fotelu pod oknem. Omiatam wzrokiem pomieszczenie. To sypialnia w domku Rhysa.

No tak, zapomniałam.

- Co tu robisz, babciu? - pytam zachrypniętym głosem, a ona natychmiast na mnie spogląda. - Powinnaś odpoczywać w domu. Ostatnio chyba nie czułaś się najlepiej. Odłożywszy gazetę na stolik, podchodzi do łóżka.

- Czułam się całkiem dobrze, to Rhys prosił, żeby cię nie denerwować.

Że co? Co ona plecie?!

Podciągam się na łokciach, a następnie odwracam, by unieść poduszkę, po czym opieram się o zagłówek. Patrzę groźnie na Helen, która wierci się, unikając kontaktu wzrokowego.

- No, słucham. Co to znowu za konszachty z panem przystojnym i bogatym? - Staram się opanować wzburzenie.

- Oj tam, zaraz konszachty! Rhys przyjechał do mnie i grzecznie przeprosił za to, że cię zdenerwował. Potem powiedział, że wrócisz na kilka dni do domu i prosił, abym o nim nie wspominała. Chciał, żebyś wszystko na spokojnie przemyślała.

Własnym uszom nie wierzę. Jak on mógł to zrobić? Wykorzystał starą, niczego nieświadomą kobietę do spełnienia swoich mafijnych zachcianek. A ta... małpa skoczyłaby za nim w ogień.

- Czyją ty jesteś babcia, co?

- A waszą! - odpowiada, opierając ręce na biodrach. - Skoro Rhys poprosił mnie o twoją rękę, jest już dla mnie jak wnuk.

W mojej głowie następuje jedno wielkie BUM! Żyłki zaraz chyba popękają i krew mnie zaleje. Zgrzytam zębami, zaciskając dłonie w pięści.

Trzymajcie mnie, do cholery, kto może!

Kocham tę kobietę całym sercem, ale myśli o tym, co mam ochotę teraz jej zrobić, są bardzo złe.

Przez chwilę oddycham głęboko, by chociaż trochę się uspokoić. W końcu postanawiam obrać inną taktykę. Przełykam gorycz porażki i przyklejam uśmiech.

- Babciu - przemawiam słodko. - On ma przy sobie prawie całą rodzinę, a ja tak naprawdę tylko ciebie. Nie obchodzi cię, jak ja się czuję?

Wzdycha, po czym siada obok. Poklepuje mnie po dłoni.

- Wnusi kochana, Helen Thomson nie oszukasz. To oczywiste, że się kochacie, ale ty jesteś zbyt uparta, żeby to przyznać. Poza tym zemdlałaś. Może ty w ciąży jesteś?

Pewnie! Jeszcze mi teraz małe caponki potrzebne.

Ja nie jestem w ciąży, tylko w szoku. Totalnym, cholernym szoku. Kim w ogóle jest ta kobieta? Spoglądam na jej uśmiechniętą twarz, zastanawiając się, czy żartuje.

Na dźwięk otwieranych drzwi odwracam głowę.

Powietrze nagle zostaje wysane z pomieszczenia, a jego niedobór powoduje kolejny zawrót głowy. A może to nie przez to, może wpływa na ten stan aura człowieka, który wszedł do pokoju.

Wrócił. Cały on. Taki, jakiego spotkałam za pierwszym razem. Pewny siebie, tajemniczy, o nienagannym wyglądzie.

Podchodzi do łóżka, zerka na moje zabandażowane uda, a potem lustruje twarz.

- To ja już pójdę - świergocze stojąca z boku Helen, na którą nie patrzę. Znowu przyciągnął mnie jego magnetyzm. Zostałam zahipnotyzowana, pochłonięta przez tę głęboką czerń oczu.

Po chwili jednak czar pryska. Babcia podchodzi do Millera, rozpraszając mnie.

- Dbaj o nią - mówi, przymilając się.

Jego twarz na ułamek sekundy łagodnieje, lecz szybko powraca nieodgadniony wyraz.

- Włos jej z głowy nie spadnie - zapewnia.
Staruszka kieruje się do drzwi, a ja chcę krzyknąć, żeby nie zostawiła mnie tu samej.

Niemal od razu prychnam w myślach.

Niby czego się spodziewałam po zdrajczyni stulecia?

Inne babunie siedzą w bujanych fotelach, robiąc na drutach szaliki lub wyszywając serwetki. Helen Thomson jednak do nich nie należy. O nie. Jeśli o nią chodzi, nic by mnie już nie zdziwiło. Mogłaby tu wpaść w różowej, falbaniastej sukience z kałachem w ręce i cygarem w ustach. Wcale by mnie to nie zszokowało.

Gdy znika za drzwiami, zostaję sama z Rhysem. Chcę być zła, chcę na niego nakrzyknąć, lecz nie mogę, bo cholernie się cieszę, że go widzę.

- Jak się czujesz? - pyta z troską.

- Dobrze, to nic takiego. Te opatrunki nawet nie są potrzebne.

- Kto to zrobił?

No właśnie, dobre pytanie.

Idąc za radą Xaviera, nie mam zamiaru pisać ani słowa na temat Antonio.

- Nikt. Po prostu za szybko wstałam, zakręciło mi się w głowie i do tego wylałam na siebie kawę - kłamię, unikając jego wzroku.

- Nie kłam - ostrzega.

- Rhys, ostatnie wydarzenia naprawdę były dla mnie niemałym szokiem. Właściwie czuję się już lepiej i za chwilę mam zamiar wrócić do domu.

- Chciałem choć raz dać ci prawo wyboru. Nie skończyło się to dobrze. Powiedziałem już: jesteś moja. Nie będę więcej ryzykował twojego zdrowia i życia. Jesteś moja, Viviano. Będiesz mieszkała tu ze mną - oznajmia, po czym rusza do drzwi. - Mam ważne spotkanie. Odpoczywaj.

I znowu to samo.

Resztę dnia spędzam w łóżku. Posiłki przynosi mi nowo zatrudniona do pomocy kobieta.

Wieczorem idę do łazienki, gdzie zdejmuję opatrunki i wchodzę pod prysznic.

Reguluję temperaturę wody, aby nie była za ciepła. Myję włosy, a potem powoli obmywam ciało żelem. Na koniec, stojąc pod deszczownicą, spłukuję z siebie pianę. Zamieram, czując jego obecność. Po mojej reakcji z pewnością się orientuje, że ja wiem. Nie ma już chyba takiej siły, która zerwałaby połączenie między nami. To jest niewytłumaczalne, skomplikowane i chore, jednak nie potrafię się dłużej przed tym bronić. Nie zamierzam też rzucać mu się na szyję.

Ech...

O świcie wyglądam przez okno, psiocząc na kolejny pochmurny dzień.

Zastanawiam się, co mnie czeka po wyjściu z tego pokoju. Jeśli nie zaryzykuję, to się nie dowiem. Opuszczam więc pomieszczenie i kieruję się do salonu, po czym skręcam do kuchni.

Nagle przystaję, zasłaniając dłonią usta, a moje oczy wypełniają się łzami. Łzami

powstałymi na skutek powstrzymywania wybuchu śmiechu.

Rhys Miller stoi przed kuchenką, ubrany w jeansy oraz białą koszulkę polo. W ręce trzyma szpatułkę, którą przewraca bekon.

- Zdziwiona? - zagaduje, nie odwracając się. - Widzisz, też potrafię robić rzeczy, które wykonują inni, zwykli śmiertelnicy.

- Wydawało mi się, że rano wielki capo raczej wybiera się z giwerą na polowanie, by było z czego zrobić to śniadanie - stwierdzam śmiało.

- Sarkazm? Tak z samego rana, Viviano Thomson? - Wyjmuje z szafki talerze, na które nakłada jedzenie.

Odwróciwszy się, stawia je na blacie. Mój żołądek natychmiast daje znać, że pora coś zjeść. Siadam więc na wysokim krześle, życzę mu smacznego i zabieram się za posiłek.

- Chcesz dzisiaj zostać w domu czy zabrać cię do klubu? - pyta Miller.

- A ty co będziesz robił?

- Interesy.

- Dobrze, więc zawieź mnie do klubu. Nie ma sensu, żebym się tutaj szwendała.

Podczas dalszej rozmowy Rhys zaskakuje mnie różnymi pytaniami. Opowiadam mu o dzieciństwie, mamie oraz babci. Tłumaczę również, dlaczego nie poszłam na studia. On z kolei podaje kilka drobnych faktów ze swojego życia, a następnie mówi o rodzinie, której jeszcze nie do końca poznałam. Po kilkunastu minutach uświadamiam sobie, że Rhys Miller właśnie oddaje mi część siebie. Bardzo stara się pokazać, że nie jest tylko posągiem, przed którym wszyscy padają na kolana. Tym samym chce, abym zaakceptowała go takim, jakim jest.

XAVIER

Wieczorem wchodzę do gabinetu Rhysa, podchodzę do szyby i stoję obok niego. Wpatrujemy się w szalejącego na dole tłum.

- Odwiozłem Vivi do domu, jest bezpieczna - oświadczam.

- To dobrze. Wszystko gotowe?

- Gotowe.

Podchodzi do biurka, bierze skórzane rękawice, po czym wsuwa je na dłonie.

- Idziemy - oznajmia.

Opuszczamy biuro. Zjeżdżamy na parter, a potem wychodzimy z klubu, kierując się do starego magazynu na tyłach. Normalnie próbowałbym jeszcze z nim pogadać, przekonać go, żeby przemyślał całą sprawę.

W innych okolicznościach może nawet by posłuchał, lecz nie teraz, kiedy chodzi o nią. Gdy podchodzimy do budynku, Jared rozsuwa przed nami metalowe drzwi. Wszyscy już czekają w środku, łącznie z pięcioma, za chwilę martwymi, mężczyznami, którzy mieli jej pilnować.

Rhys staje w centrum pomieszczenia i patrzy uważnie na ochroniarzy. Bez ostrzeżenia wyjmuje broń, po czym oddaje cztery strzały. Dla każdego jedna kulka w środek czoła. Ciało czterech mężczyzn opadają na betonową, mokrą od krwi posadzkę, a Rhys bez cienia współczucia odwraca się do piątego.

Mike, odpowiedzialny za ochronę Viviany, z zamkniętymi oczami czeka na swoją

kolej.

Ku mojemu zdziwieniu Rhys chowa broń i staje przed nim.

- Nie zabiję cię tylko dlatego, że ona ci ufa. Jeśli jednak zawiedziesz jeszcze raz, wyrwę ci pieprzone serce, a wcześniej upewnię się, że świadomie i w męczarniach będziesz to obserwował do samego końca.

I tak z pewnością będzie. Rhys nie daje drugiej szansy. Rhys nie łamie danej obietnicy. Rhys nie ma uczuć. Tylko dla niej...

Do niedawna każdy, kto go spotkał, przekonał się, że ten facet nie ma serca. Dopóki nie pojawiła się Vivi.

Miller odwraca się i rusza do wyjścia, a ja podążam za nim. Przed drzwiami drogę zagrausza nam wariatka Maria.

- Aż tyle jest warta, że niszczysz armię, którą tak długo zbieraliśmy? - skrzeczy.

- Ona jest warta wszystkiego - Rhys odpowiada tonem, który sugeruje, żeby nie dyskutować.

- A co ze mną? Obiecałeś, że się mną zajmiesz. Mną, Rhys!

- Ale nigdy nie obiecałem, że nie zabiję nikogo, kto choćby źle o niej pomyśli.

RHYS

Codziennie od siedmiu lat ten sam pokój. Do perfekcji opanowałem korzystanie ze wszystkich zmysłów. Przeszedłem przez wszystkie próby. Ale nie to. Całkowite pozbawienie człowieczeństwa, znieczulica. Czy mogę stać się takim potworem?

Na podłodze leży niewiele starsza ode mnie dziewczyna. Emilio wciska mi w dłoń nóż myśliwski i już wiem, jakie jest moje zadanie.

Nie mogę tego zrobić. Proszę go, a nawet błagam, na wszystkie sposoby. Kiedy wychodzi, mam nadzieję, że odpuścił sobie tę sprawę.

Po chwili jednak wraca z Leandro i Marią.

Bez ostrzeżenia wyciąga broń, po czym strzela w nogę chłopaka. Ten, zanosząc się przeraźliwym płaczem, opada na podłogę.

Emilio, nie przejmując się jego stanem, podchodzi do Marii i przykłada lufę pistoletu do jej skroni. Robi to własnej córce.

- Chcesz jeszcze dyskutować, chłopcze? A może powinienem zabić Marię? Którą wybierzesz: córkę zdrajcy czy kuzynkę?!

Jak codziennie odmawiam w myślach modlitwę, której nauczyła mnie mama. Biorę pierwszy zamach, potem następny i dżgam tak długo, aż większość podłogi pokrywa bordowa ciecz, która widnieje też na moich dłoniach.

Kiedy dziewczyna przestaje się ruszać, upuszczam narzędzie, a Emilio wychodzi.

Stoję nieruchomo do momentu, kiedy podbiega do mnie Maria. Obejmuję płaczącą kuzynkę, patrząc jednocześnie na Leandro.

- Obiecuj, że nie pozwolisz mnie skrzywdzić, Ricardo. Obiecuj.

- Cii, usłyszysz cię.

- Obiecuj.

- Obiecuję, że zawsze się tobą zajmę. Obiecuję.

ROZDZIAŁ 21



VIVIANA

Czekam z kolacją na Rhysa już od dwóch godzin. Robię się śpiąca, tracę apetyt, aż w końcu stwierdzam, że to nie ma sensu.

Sprzątam kuchnię, po czym idę do łazienki. Przygotowuję kąpiel i, zrzuciwszy ubrania, wchodzę do wanny, zanurzając się pod grubą warstwą piany. Nie wiem, jak długo leżę, zagubiona w myślach, ale kiedy woda robi się zimna, wychodzę i dokładnie się wycieram. Gdy sięgam po tubkę z balsamem, z głębi domu docierają do mnie jakieś odgłosy.

W pośpiechu zakładam szlafrok i bosy opuszczam łazienkę, a następnie przechodzę przez pokój. W tym samym momencie na korytarzu pojawiają się Xavier, Jared oraz Rhys. Ten ostatni patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem.

- Rhys? Coś się stało? - pytam zaniepokojona, jednak on nie reaguje. Przechodzi obok, jakby mnie nie słyszał.

Nagle drogę zagradza mi Xavier.

- Nie teraz, Vivi, proszę. Idź spać - nakazuje, po czym idzie dalej.

Nie wiem, czy jestem bardziej urażona czy wściekła. Nie mam ochoty dyskutować już w ogóle. Zamierzam stąd wiać. Mam serdecznie dość!

Wchodzę do pokoju, trzaskam drzwiami i wskazuję pod kołdrę. Zanim gaszę lampkę, dzwoni moja komórka. Najlepsze jest to, że na ekranie wyświetla się: „Helen”.

Co, do jasnej cholery?

- Słucham - mówię zbyt ostro.

- Vivi? Rhys kupił mi nowusieńki telefon. Świetnie, prawda? - piszczy.

Jasne, świetnie. Po prostu zajebiście.

- Tak? No, to super! Bardzo mnie cieszy twoja fascynacja cackiem od Rhysa.

Powiedz mi tylko jedno, babuniu. Pamiętasz, jak zaczęłam pracę i chciałam ci kupić komórkę, żeby mieć z tobą kontakt i się nie zamartwiać? - pytam zbulwersowana.

- Oj tam, nie denerwuj się tak. W każdym razie to urządzenie jest super! Znalazłam w nim taką fajną grę. A! Jutro Bertha pomoże mi założyć konto na Facebooku.

Panie, miej litość dla mnie oraz reszty mieszkańców tego globu.

Założę się, że w ciągu tygodnia będzie miała dwa miliony znajomych, łącznie z jakimś Władimirem z Syberii i Toto mieszkającym w Burkina Faso.

Wysłuchuję kolejnych zachwyków Helen nad nowym telefonem od jej „wnusia”.

Zastanawiam się tylko, co będzie następne. Pewnie samochód, który ta blachara oczywiście przyjmie.

Rano siadam przy wyspie kuchennej i popijam niedawno zaparzoną kawę. Słyszę kroki, które jak myślę, należą do Rhysa. Jestem wkurzona, więc próbuję go ignorować, jednak on zdaje się reagować na mnie.

Zatrzymuje się w drzwiach, ale szybko rusza z miejsca. Jestem zaskoczona, gdy staje za moimi plecami, obejmując mnie silnymi ramionami. To takie...

niespodziewane. Przypomina mi o cudownych, intymnych chwilach, w których czułam się bezpieczna. Zatapia twarz w moich włosach, wdychając ich zapach. Zwariowana część mnie chce, aby ten moment trwał wiecznie, lecz nie mogę na to pozwolić. Tego już po prostu za wiele.

- Rhys, co ty robisz? Co to ma znaczyć? Codziennie wstajesz i kładziesz się spać jako inny człowiek. Nie ogarniam tego.

- Przesadzasz - oznajmia łagodnie, po czym się odsuwa.

Nalewa kawy do kubka i siada obok. Nagle przypominam sobie, że muszę zapłacić rachunki oraz sprawdzić, czy babcia nie potrzebuje nowych leków.

- Chciałabym urwać się dzisiaj z pracy. Muszę zapłacić rachunki i kupić lekarstwa dla babci.

- Wszystko już załatwione - informuje Miller.

- Jak to załatwione? - Wlepiam wzrok w perfekcyjny profil jego twarzy.

- Rachunki są zapłacone, a babcia ma zapewnioną opiekę pielęgniarki i lekarza. Są z nią w stałym kontakcie.

Przyswajam te informacje z sercem wrywającym się z piersi. Nie wierzę. Gdy zrywam się z miejsca, dosłownie telepię się ze złości.

- Najpierw mnie tutaj zamykasz, a teraz ograniczasz mój kontakt z babcią, czyli jedyną osobą, którą kocham bezgranicznie. Jak możesz? Jak śmiesz przemeblowywać moje życie według własnych upodobań?! - wybucham. - Nienawidzę cię z całego serca i jeśli myślisz, że to się zmieni, jesteś w wielkim błędzie!

- Viviano! - krzyk Amelii przerywa moją tyradę.

Dziewczyna, stojąc w wejściu, patrzy z żalem na swojego kuzyna.

- Proszę, pocieszaj biednego Rhysa - mówię. - Ja wybieram się na cholerne zakupy i niech ktoś spróbuje mnie powstrzymać!

Pół godziny później wsiadam do samochodu i podaję kierowcy adres.

Dopiero w trakcie jazdy w mojej głowie zaczyna kiełkować plan. Fakt, że babcia ma zapewnioną opiekę specjalistów, pomaga mi podjąć decyzję.

Chodzę po centrum handlowym z bandą goryli depczących mi po piętach. Jestem coraz bardziej zrezygnowana, jednak na szczęście udaje mi się kupić wszystko, co chciałam. W sklepie z bielizną nakazuję osiłkom poczekać przy kasie, grożąc, że w przeciwnym razie postaram się, żeby do Rhysa dotarły odpowiednie informacje. Wołam sprzedawczynię do przymierzalni, a gdy przychodzi, wciskam jej plik banknotów, błagając o możliwość wyjścia przez zaplecze. Kobieta się zgadza, ale odmawia przyjęcia pieniędzy. Wskazuje przejście, po czym wraca do kasy z teoretycznie zakupionymi rzeczami. Nie zastanawiając się długo, uciekam ze

sklepu. Przemykam między budynkami i wpadam do autobusu, który jeździ poza miasto. Osuwam się na siedzeniu, aby nie zostać zauważoną, a następnie wyłączam telefon. Nie mija wiele czasu, a opuszczam Phoenix. Nie mam konkretnego planu ani pojęcia, kiedy wysiądę. Wiem jedno – muszę uciec.

Podjeżdżając następnym autobusem na kolejny przystanek, zauważam przydrożny hotel. Natychmiast podrywam się z miejsca i z ulgą wysiadam. W małej recepcji pytam, czy są wolne pokoje i wstępnie rezerwuję jeden z nich na dwie doby. Metalowymi czarnymi schodami wchodzę na taras, po czym, idąc wzdłuż niego, szukam odpowiednich drzwi.

Gdy widzę numer dwadzieścia osiem, przekręcam klucz w zamku.

W pomieszczeniu naprzeciwko łóżka znajduje się stolik, na którym stoi mały, stary telewizor. Dostrzegam również prowizoryczną szafę. Przechodzę na sam koniec i otwieram drzwi od łazienki. Nie wygląda najlepiej, ale ważne, że jest.

Odświeżam się, po czym padam na łóżko. Zastanawiam się, czy wysłać SMS-a do Helen, lecz postanawiam poczekać.

Leżę skulona na lewym boku, przeskakując wzrokiem z drzwi na żółte firanki.

Chciałam uciec, by przeanalizować to, co się dzieje. Zamiast tego czuję pustkę, brak we mnie uczuć. Wyparowały, ot tak.

Kiedy powieki stają się zbyt ciężkie, zasypiam.

Budzę się w ciemnym pokoju i włączam lampkę. Nie mam pojęcia, jak długo spałam. Wyławiam z torebki komórkę, a następnie włączam ją, aby sprawdzić godzinę. Pierwsza w nocy. Po chwili rozlega się seria dźwięków oznajmiających kilkadziesiąt nieodebranych połączeń oraz nowych wiadomości. To daje mi do myślenia. Zastanawiam się, czy podjęłam słuszną decyzję. Ach... Mogłam zostać i wszystko wyjaśnić, a nie uciekać jak tchórz.

Reszta nocy ciągnie się w nieskończoność. Po raz kolejny staram się ruszyć mózgowicą, jednak ani drgnie. Kiedy za oknem pojawiają się pierwsze oznaki poranka, znów zapadam w sen, lecz nagłe uderzenie w drzwi sprawia, że w pełni się rozbudzam.

Wyskakuję z łóżka i powoli odchylam cienki materiał firany. Aż podskakuję, gdy napotykam intensywne spojrzenie Xaviera.

Po prostu zajebicie. Jak mnie, do cholery, znalazł?

Wzdycham i podchodzę do drzwi, by wpuścić mężczyznę do środka. Wystawiam głowę, zdziwiona, że Pan Wspaniały się nie pofatygował.

– Rhys został w domu, przekonałem go jakoś.

Gwałtownie odwracam się w stronę Xaviego.

– Kolejna zmiana nastroju? – pytam.

Pociera twarz dłońmi, a z jego gardła wydobywa się pomruk frustracji.

– To nie tak. To, co widziałaś wczoraj... On zawsze jest taki po... No, jak likwiduje...

Od razu załamuję, o co chodzi. Zasłaniam usta dłonią, żeby stłumić jęk. O nie! Wiedziałam, że Miller jest mordercą, ale tak naprawdę nie chciałam przyjąć do wiadomości tego, co się z tym wiąże.

- Siadaj, bo mam zamiar w końcu wyjaśnić tę sytuację. Musisz poznać kilka istotnych faktów. Prawdopodobnie Rhys też mnie za to... No wiesz.

Siadam na brzegu łóżka i kładę ręce na kolanach.

- Więc słucham.

- Najpierw ty - mów. - Jak się czujesz?

- Przytłoczona. Oszukana. Pozbawiona prawa do decydowania za siebie. Nie zrozumiesz tego, Xavi - oświadczam. - Nagle zostałam wyrwana ze świata, gdzie żyłam sobie spokojnie, a potem wciągnięta w totalne tornado. Niemal w jednej chwili całe moje życie zostało wyrzucone do góry nogami. Nikt nie zapytał, czy tego chcę i potrzebuję. Nie dano mi możliwości ani czasu, żebym się po prostu przyzwyczaiła.

Oby mnie zrozumiał.

- Ach, Vivi, wiem. Rhys... On nie do końca pojmuję pewne sprawy tak jak my.

Niektóre rzeczy odczuwa inaczej niż pozostali ludzie - tłumaczy.

- No co ty? Też mi nowość - mrużę.

- Wysłuchaj mnie najpierw.

Poważny ton sugeruje, by nie dyskutować, więc zgadzam się.

- Emilio miał przygotować Rhysa na bycie następcą, lecz zamiast tego stworzył maszynę do zabijania. Latami tępił w nim uczucia, kazał mu robić rzeczy, o których dzieci nie powinny nawet słyszeć. Rhys został kompletnie wyprany z emocji. Stał się bezduszny i bezlitosny. Widziałem, że wszystko dookoła było dla niego jedynie cieniem, a on dostrzegał tylko kolejny, konkretny cel, który trzeba wyeliminować. Żył, ale wydawało się, że w miejsce serca i umysłu wszczepiono mu metalowe płytki. Po tym, jak zobaczył ciebie... - Xavier prychnął i kręci głową. - To wyglądało tak, jakby nagle ktoś cofnął wskazówki zegara. Rhys z powrotem zaczął czuć. Ty obudziłaś w nim człowieka, obudziłaś uczucia. Kiedy po powrocie do domu od czasu do czasu uśmiechał się pod nosem, wiedzieliśmy, że niedawno widział ciebie, jeszcze zanim dowiedzieliśmy się o jego istnieniu. Wszystko, co robi, robi dla ciebie, żeby cię uszczęśliwić, i uczy się przy tym cholernego człowieczeństwa.

Jestem zszokowana tym, co właśnie usłyszałam.

Co ten facet mu zrobił? Dlaczego?

- Hmm... Dlaczego Rhys się nie zemścił i nadal utrzymuje z nim kontakt? - szepczę.

- To nie jest takie proste, uwierz mi.

- Nienawidzę tego człowieka. Tak bardzo go nienawidzę - łkam, a moje serce pęka. W tej chwili nienawidzę także siebie za ostatnie słowa wypowiedziane do Rhysa.

- Teraz już wiesz i masz dwa wyjścia. Musisz zdecydować. Jeżeli nic, ale naprawdę nic do niego nie czujesz, pozwolę ci odejść. Jeśli jednak jest w tobie choć odrobina miłości, błagam, wróć do niego. Daj mu szansę, naucz go wszystkiego od nowa i wybac. Vivi, on cię kocha.

Wiem o tym. Wiem i nie mam zamiaru zastanawiać się ani chwili dłużej.

Gdy wjeżdżamy do garażu, otwieram drzwi samochodu, zanim Xavier się zatrzyma. Wyskakuję z pojazdu, wbiegam do domu i przystaję w wejściu do salonu. W centrum stoi Rhys, patrząc na mnie uważnie pięknymi czarnymi oczami.

Chcę podbiec, przytulić go i scałować każdą złą chwilę przeżytą z tym potworem, każde złe wspomnienie. Chcę zabrać go do miejsca, do którego Emilio nie będzie miał wstępu. Nie mogę się jednak ruszyć. Podziwiam tego idealnego mężczyznę i upajam się jego doskonałością. Uświadamiam sobie, że należę do niego, dobrowolnie. Nieważne, co zrobił w swoim życiu ani ile grzechów popełnił – całym sercem, umysłem oraz całą duszą jestem jego Viviana.

- Skończyłaś? – pyta poważnie.

- Z czym? – Zajęta analizowaniem własnych uczuć, nie rozumiem, o co mu chodzi.

- Z uciekaniem, Viviano – odpowiada, zbliżając się powoli.

- Nie chcę już od ciebie uciekać. Nigdy. – Chowam ręce do kieszeni jeansów i kulę się w sobie. Mam wrażenie, jakbym tłumaczyła się z wagarów. – I nie nienawidzę cię. Przepraszam.

Kiedy przede mną staje, odchylam głowę, a mój wzrok przeskakuje z jego oczu do pełnych ust i z powrotem. Nie chcę dłużej myśleć, nie chcę tracić czasu na to, co nieistotne. Staję na palcach, zarzucam mu ręce na szyję, po czym łączę nasze usta. Chyba go zaskakuję, bo początkowo nie reaguje. Po chwili jednak przyciąga mnie do siebie, a jego ciepły, wilgotny język wdiera się między moje wargi i płącze z moim w namiętnym oraz zachłannym pocałunku. Dłonie błądzą po ciałach, które ocierają się o siebie, jakby pragnęły stać się jednością. Nagle Rhys mnie unosi, po czym idzie w kierunku sypialni.

Kiedy wchodzi do pomieszczenia, sadza mnie na komodzie i natychmiast zsuwa ze mnie kurtkę. Następnie błyskawicznie zdejmuje bluzkę oraz stanik.

Gorącymi ustami obejmuje lewy sutek, ssąc go i przygryzając, a jednocześnie szczypie prawy. Opieram się o ścianę, obserwując to, co robi. Bolesne, lecz przyjemne ukłucie w podbrzuszu sprawia, że czuję wilgoć między udami. Gdy Rhys zamienia miejscami wargi i palce, odszukuję klamrę paska. Szamoczę się z nią, próbując jak najszybciej rozpiąć jego spodnie. Udaje mi się dotrzeć do guzika, a następnie zamka, aż w końcu wkładam dłoń w bokserki. Wyjmując twardą męskość, zaciskam wokół niej palce, po czym wykonuję posuwiste ruchy w górę i w dół. Ciszę w pokoju przerywają jedynie nasze urywane oddechy, a wokół unosi się zapach pożądania. Nagle, jakbyśmy czytali sobie w myślach, Rhys odrywa się ode mnie, a ja zeskakuję z mebla. Zrzucamy ubrania, a kiedy jesteśmy już całkiem nadzy, Miller bierze mnie na ręce, by po chwili położyć na łóżku. Najpierw torturuje mnie swoimi palcami, doprowadzając do orgazmu i spijając z moich ust krzyk spełnienia. Potem zawisa nade mną, zatapiając członek w wilgotnej kobiecości. Oplatam go nogami, gdy porusza się energicznie. Zaciskam dłonie na bicepsach, wyginając plecy w łuk pod wpływem niewyobrażalnego podniecenia.

- To jest to, Viviano – mówi lekko zachrypniętym głosem. – Czujesz teraz, co jest

między nami?

Potwierdzam skinieniem głowy, bo nie potrafię wydobyć z siebie ani słowa.

Chwyciwszy moje udo, Rhys przyspiesza, wbijając się agresywnie coraz głębiej.

Wpłatał palce w jego włosy, przyciągając go, po czym całuję szaleńczo, wsłuchując się w zmysłowe pomruki. Ma rację, czuję to całą sobą. On na mnie, on we mnie i ze mną. Tak powinno być.

Kiedy odrywa swoje wargi od moich, między pchnięciami w kółko powtarza słowa, które już kiedyś słyszałam, lecz nadal ich nie rozumiem.

- *Il mio amore... La mia vita... Mia moglie... Mia Viviana.*

Nie wiem, czy to te słowa tak działają, ale wstrząsa mną niesamowity, niezwykle silny orgazm. Dochodzę, krzycząc jego imię. Rhys podąża za mną, po raz ostatni głęboko zatapiając pulsującą męskość.

Dyszmy ciężko, jednak uśmiechamy się zaspokojeni. Miller kładzie się obok i przyciąga mnie do siebie. Rozpływając się w jego silnym uścisku, stwierdzam, że jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa jak w tym momencie.

ROZDZIAŁ 22



VIVIANA

Choć po nocnej sesji z Rhysem poruszanie się jest trudne, dzielnie wchodzę do klubu, trzymając go za rękę. Przechodzimy przez salę, gdzie witamy się z innymi pracownikami, po czym wchodzimy do windy. Kiedy na górze chcę się pożegnać z moim przystojnym mafioso, zostaję wciągnięta do jego gabinetu. Wystarczy spojrzeć na drugie biurko, ustawione naprzeciw wejścia, aby wiedzieć, o co chodzi.

Jak mam mu wytłumaczyć, że jeśli ludzie są w związku, muszą czasem od siebie odpocząć, bo inaczej zwariują? W sumie nie wiem jak inni, ale ja bym oszalała. Zarzuciwszy Rhysowi ręce na szyję, spoglądałam w czarne oczy. Ostatnio czarny to zdecydowanie mój ulubiony kolor. Staram się jednak nie rozplątać, bo znów to wykorzysta.

- Słuchaj no, Tarzan. Ja, Jane, potrzebuję trochę przestrzeni, bo inaczej uduszę się od nadmiaru testosteronu - mówię śmiertelnie poważnie. Na koniec kiwam głową, jakby to miało podkreślić powagę sytuacji.

Nie reaguje. Bada wzrokiem moją twarz, marszcząc brwi. Wreszcie oblizuje dolną wargę i wzdycha.

- Zdecydowanie zbyt długo musiałem egzystować, przyglądając się tobie z daleka. Przez ostatnie miesiące, razem z innymi, musiałem chodzić wokół ciebie na palcach. Jeśli to, że nie mogę żyć, kiedy nie ma ciebie w pobliżu, czyni ze mnie pieprzonego Tarzana, niech tak będzie. Ucieczki i udawanie, że nie należę do mafii, kończą się w tym momencie. A teraz usiądź, kobieto, przy swoim biurku, jeśli nie chcesz, żeby twój szef Tarzan złożył ci ten rozkoszny tyłek. - Całuje mnie w czubek głowy. Odwróciwszy się, zdejmuję żakiet, po czym zajmuję wskazane miejsce. Nie ma sensu dyskutować. To oczywiste, że zaraził się mądrościami Helen. Tego nie da się wyleczyć.

Nagle rozlega się śmiech Millera i zdaję sobie sprawę, że znów głośno myślałam. Kiedy unoszę wzrok, zszokowana rozdziawiam usta, bo pierwszy raz widzę kaburę u jego boku. Do tej pory nie nosił przy mnie broni.

Cholera, dlaczego to mi się podoba? Powinna się przecież bać!
Kręcę głową na swoje dziwaczne upodobania i zabieram się za papierkową robotę.

Dzień mija w miarę szybko i całkiem dobrze, choć widok Rhysa w okularach, które zakłada do pracy, doprowadza mnie do białej gorączki. Mam ochotę się na niego rzucić.

Ech...

Godzinę przed końcem wpadam na genialny pomysł.

- Rhys? - odzywam się, nie odrywając wzroku od dokumentów.
- Mhm?
- Może wrócimy tu wieczorem? To znaczy, żeby się rozerwać - proponuję.
- Nie.

Krótką i stanowczą odpowiedź sprawia, że na niego zerkam.

- Dlaczego nie? W sumie nigdy się razem nie bawiliśmy. Chcę cię poznać z każdej strony.
- Znasz mnie już bardzo dobrze, a ja nie pozwolę ci znowu tańczyć między śliniącymi się na twój widok frajerami.

Raz! Jeden głupi raz tańczyłam w klubie i proszę! Reszta życia wypominek.

- Nie przesadzaj, to była tylko zabawa. Nie masz żadnego powodu do zazdrości - zapewniam.
- Ty byś nie była o mnie zazdrosna? - pyta, zdejmując okulary.
- Nie w takiej sytuacji. Mówiłam ci: to tylko zabawa.
- Hmm... Dobrze.
- Naprawdę? - upewniam się.
- Naprawdę.

Ponieważ mamy z Amelią niedokończony spór, udaje mi się namówić Millera, żebym pojechała z nią do klubu osobnym samochodem. Na początku żadna z nas nie wie, od czego zacząć. Wzdychamy i sapiemy, aż w końcu postanawiam być tą pierwszą.

- Nie jestem na ciebie zła. Już wiem, jaki potrafi być Rhys. Może to nierozsądne, ale... nie żałuję, że tak się stało. Nie będę też jednak dziękować, bo pod wieloma względami odebrano mi prawo wyboru - tłumaczę, na co dziewczyna przytakuje.
- Chciałam, żebyście byli szczęśliwi - szepcze.
- Wiesz? Można było to zrobić w tradycyjny sposób. Przedstawić nas sobie i takie tam. - Uśmiecham się, bo dobrze wiem, że z Millerem wcale nie jest tak łatwo. Zanim dotrzemy na miejsce, udaje nam się zawrzeć rozejm. Gdy wysiadamy przed klubem, podchodzi do nas Xavier, natomiast Rhys od razu wchodzi do środka. Zerkamy na siebie zaskoczeni, po czym kierujemy się do lokalu. Zajmujemy miejsca w łoży, a Mike przynosi nam drinki. Miller cały czas nie wraca. Zaczynam się zastanawiać, czy nie zrezygnował z zabawy i poszedł do biura. Typowy pracocholik. Kiedy się rozglądam, stojąc przy barierce, moją uwagę przykuwa grupa kobiet przy barze. Między nimi dostrzegam Rhysa. Popija drinka, uśmiechając się uprzejmie do swoich fanek, które nie mogą utrzymać łap przy sobie. Wciąż go dotykają. Krew natychmiast zaczyna wrzeć w moich żyłach, a do umysłu wkrada się chęć mordy. Przypominam sobie jednak naszą poranną rozmowę.

Ach! Czyli sprawdza mnie.

- Co on odpierdala? - pyta Xavi, stając obok mnie.

- Udowadnia mi coś.

Pomimo iż wiem, że robi to specjalnie, zazdrość rozprzestrzenia się po moim organizmie niczym trucizna.

Wróciwszy do stolika, dopijam drinka. Zamawiam następnego, którego wypijam niemal na raz, a potem kolejnego. W końcu ciągnę Amelię na parkiet. Nie mam zamiaru oglądać tego przedstawienia, przyszedłam tu w innym celu. Jak capo chce, niech się gzi, ile wlezie. Nie będę zgrywała zazdrosnej i koniec.

Tańczymy już dłuższą chwilę. Pomimo że próbuję, nie mogę zapomnieć o haremie przy barze. Nogi same niosą mnie w tamtym kierunku, lecz najpierw muszę się jakoś precyzyjnie przemieszczać przez ten tłum. Wreszcie staję przy Millerze.

Przerywa rozmowę i spogląda na mnie, unosząc brew.

Chce grać? Proszę bardzo.

- Zmieniam klub, a skoro tak świetnie się bawisz, nie będę przeszkadzać. Chciałam tylko życzyć ci dobrej nocy.

Zmierzam w kierunku wyjścia, jednak nie udaje mi się odejść za daleko, bo ktoś chwyta mnie za biodra i odwraca. To Rhys. Przyciąga mnie i zaczyna się poruszać w rytm zwalniającej muzyki. Wkurzona, chcę się wyrwać z jego objęć, ale nie daję rady.

- Widzisz, przez co muszę przechodzić za każdym razem, kiedy inny mężczyzna choćby na ciebie spojrzy? - szepcze mi do ucha.

Zbyt szybko wypity alkohol wprowadza mnie w niezwykle błogi stan. Resztkami sił ujmuję twarz Millera.

- Ja nie chcę innych. Ja chcę ciebie.

O! Powiedziałam to.

Zamiast cieszyć się ze swojej krótkiej, choć odważnej przemowy, słabnę.

Rhys natychmiast mnie unosi, a następnie lawiruje między ludźmi. Wszystko zaczyna wirować, a zawartość żołądka podchodzi do gardła, dlatego chcę krzyknąć, by się zatrzymał. Nie mam jednak tyle siły. Powieki opadają, lecz nagle czuję uderzenie chłodnego powietrza. Otworzywszy oczy, widzę, że wsiadamy na tył limuzyny. Gdy pojazd rusza, Miller trzyma mnie na kolanach, masując plecy. Przez całą drogę, mimo iż jestem w opłakanym stanie, a imprezę szlag trafił, uśmiecham się. Bliskość Rhysa wystarczy, abym poczuła, że mam wszystko. Kiedy docieramy na miejsce, niesie mnie do domu. Kładę głowę na jego ramieniu i postanawiam odważnie wyrazić swoje uczucia.

- Rhys? - bełkoczę.

- Co się dzieje, Viviano? - pyta zaniepokojony.

- Wiem, co chciałeś udowodnić. Udało ci się.

- Naprawdę? - W jego głosie słychać nutkę triumfu. Zatapia usta w moich włosach, składając pocałunek.

- Jestem o ciebie okropnie zazdrosna. Wiesz, dlaczego? Bo chyba cię kocham

- wyznaję.

Dźwięk telefonu Rhysa przerywa mój błogi sen. Wzdycham niezadowolona,

układając się wygodniej na mężczyźnie.

- Ktokolwiek ośmielił się mnie obudzić, zastrzel go, Miller. Zrób to - mruczę. Nagłe wibracje klatki piersiowej wskazują, że się śmieje. Gdyby nie budził mnie w nocy, nie byłabym aż taka wyczerpana.
- Uważaj, czego sobie życzysz, Viviano - mówi lekko zachrypniętym głosem. Porusza się nieznacznie, a ja unoszę powieki, kiedy odbiera telefon. Rozmawia chyba po włosku, więc ni cholery z tego nie rozumiem. Koniecznie muszę zrobić przyspieszony kurs online. Po chwili odkłada komórkę i zsuwa mnie z siebie, pozbawiając tym samym poczucia bezpieczeństwa.
- Jeszcze nigdy nigdzie nie byłem spóźniony. Masz na mnie zdecydowanie zły wpływ - stwierdza żartobliwie.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz.
- Jadę na spotkanie do restauracji. Chcesz się zabrać? Potem możemy jechać prosto do klubu.
- Nigdzie nie jadę - mruczę.
- A właśnie, że tak. Zjemy tam śniadanie, bo teraz nie mamy na to czasu. - Wstaje i na siłę wyciąga mnie z łóżka.
- Nie lubię cię teraz - marudzę.
- Tak? Ja słyszałem coś innego.

Pfff!

Gdy wchodzimy do restauracji, Rhys od razu idzie do zamkniętej dla innych części, a ja siadam przy stoliku i składam zamówienie. Obracam na palcu pierścień, który dał mi Miller.

Myślę o wszystkim, co się dzieje między nami, i... *Jasna cholera, on ostatnio nie używał gumek!* Zapisuję sobie w głowie, żeby po powrocie do domu umówić się na wizytę u ginekologa.

Obserwuję kelnera niosącego tacę, który wchodzi na salę, przeciskając się między osiłkami z ochrony, gdy na stoliku wibruje telefon. Marszczę brwi, widząc nieznaną numer, po czym odbieram.

- Słucham? - mówię niepewnie.
- Moje pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Jeśli chcesz przeżyć, natychmiast wstań i uciekaj tylnym wyjściem. - Mój puls automatycznie przyspiesza. Rozglądam się, oddychając płytko.
- Kto mówi? - pytam drżącym głosem.
- Antonio Valenti. - Telefon wypada mi z dłoni.

Od strony wejścia słychać strzały oraz krzyki. Jeden z ochroniarzy rusza do drzwi, ale bardzo szybko upada. Plama krwi na jego klatce piersiowej staje się coraz większa. Gdy podnoszę się gwałtownie, do pomieszczenia wpada kilku uzbrojonych mężczyzn. Nie wiem, czy w ułamku sekundy można się pogodzić z tym, że to koniec. Kiedy zaczynam po cichu odmawiać modlitwę, drzwi od sali spotkań z impetem uderzają o ścianę. Dookoła rozlegają się strzały, a ja widzę tylko przerażone czarne tęczówki mężczyzny biegnącego w moim kierunku. Dobiega do mnie, przeprasza

i ciągnie za rękę.

Nie mam pojęcia, jak to zrobić, lecz po chwili zostaję szarpnięta, po czym czołgam się między stolikami.

Odgłosy strzelaniny zamiast cichnąć lub ustać, przybierają na sile. Odwróciwszy się nieznacznie, w luce między meblami dostrzegam, co się dzieje.

Wszystkich nas zabijają.

ROZDZIAŁ 23



VIVIANA

Szklana witryna restauracji sypie się na podłogę w postaci drobinek. Pod lokal podjeżdża kilka czarnych samochodów, przez okna których wystają lufy karabinów. Rozpętuje się prawdziwe piekło.

Co robić?

Obok stolika, przy którym siedziałam, zauważam roztrzaskany telefon. Nie wiem, czy powinnam dzwonić na policję, ale mam to teraz w dupie. Muszę ratować Rhysa. Na czworakach lawiruję między stolikami, rozglądając się. Gdy znajduję się u celu, zbieram części telefonu i staram się je poskładać, lecz wypadają z trzęsących się dłoni. Próbuję jeszcze raz, kiedy słyszę krzyk Rhysa. Zanim jednak go zlokalizuję, zostaję przez kogoś przygnieciona. To ochroniarz. Niemal natychmiast wydaje zduszony jęk i coś wstrząsa jego, już po chwili bezwładnym, ciałem.

Otwieram usta, ale nie wydostaje się z nich żaden dźwięk, bo uświadamiam sobie, że zginęłabym, gdyby mężczyzna mnie nie osłonił.

O cholera!

Przyciśnięta do podłogi, próbuję się uwolnić. Kiedy rozlega się odgłos syren, wszystko zamiera, poza pojazdami, które odjeżdżają z piskiem opon.

Nagle ciężar mężczyzny znika. Spoglądam w górę i dostrzegam twarz Rhysa, która nie wyraża żadnych emocji. Pomaga mi wstać, po czym błądzi dłońmi po moim ciele, podczas gdy jestem zbyt zszokowana, aby się poruszyć.

– Nic mi nie jest – oznajmiam dziwnie spokojnie.

Wpatruje się we mnie, jakbyśmy się nie znali, i cofa o krok.

– Mike, zabierz ją stąd. Szybko! – rozkazuje, po czym odchodzi.

Ochroniarz bierze mnie pod ramię, a następnie prowadzi na tył budynku. Zaznacza, żebym się nie rozglądała, lecz ciekawość wygrywa i zerkam w stronę głównego wejścia do lokalu, gdzie leżą ciała zabitych ludzi, w tym osiłka, który uratował mi życie. Kogo lub co czyni ze mnie fakt, że się tym nie przejmuję?

Dlaczego mnie to nie rusza?

Wychodzimy przez zaplecze, po czym Mike pomaga mi wsiąść do samochodu. Po chwili siada za kierownicą i ruszamy.

– Nie przejmuj się – mówi cicho. – Szef zawsze tak się zachowuje w tego typu sytuacjach. Po prostu wyłącza emocje. Tak jest chyba najłatwiej.

Słucham jego wyjaśnień, wyglądając przez okno, a jednocześnie nie skupiając się na niczym konkretnym. Nie czuję ani nie myślę. Tylko gdzieś w głębi umysłu przelatuje jedno pytanie.

Czy staję się taka jak on?

Wjeżdżamy do garażu, gdzie czeka ekipa mięśniaków.

Kiedy wchodzimy do domu, Mike proponuje, żebym poszła wziąć prysznic. Po raz kolejny się nie sprzeciwiam. Wkraczam do łazienki i podchodzę do lustra. Dopiero teraz to widzę – plamy krwi na moim ubraniu. W tym momencie czuję się tak, jakbym oberwała w głowę i się przebudziła.

Zrzuciwszy pospiesznie ciuchy, wchodzę do kabiny i ustawiam dość wysoką temperaturę wody, która spływając po ciele, parzy moją skórę. Mocno szoruję się myjką, zużywając dużą ilość żelu, jakbym mogła zmyć z siebie dzisiejsze wydarzenia.

Wracam do salonu, przeczesując palcami jeszcze wilgotne włosy, a następnie podchodzę do stolika z alkoholem. Nalewam sobie trochę Jacka Daniel'sa i wypijam na raz, ignorując pieczenie w gardle. Odstawiam szklankę na blat, mrugając kilkakrotnie, żeby odgonić napływające do oczu łzy.

Trzaśnięcie drzwiami oraz krzyk Amelii słychać chyba w całym domu. Odwracam się w stronę przerażonej dziewczyny.

Przyjaciółka podbiega do mnie, po czym przytula z całej siły. Odwzajemniam uścisk.

– Rhys – dyszę, a moje ciało zaczyna drżeć.

– Nic mu nie jest. Zaraz tu będzie – uspokaja, gładząc mnie po plecach.

Dzięki Bogu. Gdyby coś mu się stało...

Nagle w pomieszczeniu pojawia się Xavier. Stoi z rękami w kieszeniach jeansów, przyglądając się nam.

– Antonio. – To imię jakoś samo wyływa z moich ust.

Szatyn marszczy brwi i znów patrzy na mnie jak na wariatkę. Uwalniam się z objęć Amelii, zaciskam szczękę, po czym obchodzę ławę.

– To był Antonio! – krzyczę, dźgając go palcem wskazującym w klatkę piersiową.

– Vivi – mówi ostrzegawczo – Antonio nie żyje. Nie jest, do jasnej cholery, możliwe, żeby przeżył taką eksplozję!

A więc to tak? Przez cały czas mi nie wierzył i nawet nie sprawdził, czy wtedy w kawiarni to był on?

– Dzwonił do mnie! Sekundy przed... – Urywam, bo kątem oka wyłapuję jakiś ruch. Spoglądam w tym kierunku i cofam się o krok.

Wygląda na zmęczonego. Ale, co gorsze, jego twarz wyraża również... złość. Błysk w oczach jedynie to potwierdza. Jego marynarka po raz pierwszy jest pomięta, a włosy ma w nieładzie, ale i tak wygląda idealnie. Zawsze idealnie. To jednak nie pora na zachwyty nad jego doskonałością. Właśnie się dowiedział, że ukrywałam przed nim prawdę. Mam tylko cichą nadzieję, że to nie liczy się jako kłamstwo.

– Kontynuuj, Viviano – przemawia z powagą.

– Rhys, pamiętasz ten mój wypadek w kawiarni? – pytam potulnie.

Potwierdza skinieniem głowy.

Nie wiem, jak mu to powiedzieć. A jeśli Xavi miał rację i Rhys z powrotem zamknie

się w sobie? Zakładam włosy za uszy i gładzę koszulkę, dokładnie tak samo, jak robi Helen, kiedy coś przeszkobie.

- Mów - ponagla oschle, co sprawia mi przykrość, jednak wiem, że zasłużyłam.

- Wtedy przysiadł się do mnie mężczyzna i przedstawił jako Antonio Valenti - mówię bardzo szybko, żeby mieć to już za sobą. Teraz zostało najgorsze. - Dzisiaj zadzwonił, aby mnie ostrzec. Powiedział, że muszę opuścić lokal, jeśli chcę przeżyć.

- Nerwowo przełykam ślinę i czekam na jego reakcję. Rhys jednak stoi jak posąg, wpatrując się w moją twarz. - Chciałam ci powiedzieć, ale...

- Ja jej nie pozwoliłem - wtrąca Xavi. - Wolałem najpierw sprawdzić, czy to mógł być on, ale stwierdziłem, że to nie jest możliwe.

Miller, nie reagując w żaden sposób na wyjaśnienia szatyna, nadal nie spuszcza ze mnie wzroku.

Nagle rozsuwają się drzwi tarasowe. Chłodne, jesienne powietrze niemal od razu uderza mnie w plecy, lecz nie odwracam się, żeby zobaczyć, kogo znowu przywiało. Nawet nie mam odwagi.

Rhys w końcu rusza z miejsca i powoli podchodzi. Pochyla się tak, że czubki naszych nosów prawie się stykają. Wstrzymuję oddech.

- Prosiłem, żebyś nigdy, przenigdy mnie nie okłamywała - dyszy w moje usta.

Odsuwa się i pewnym krokiem idzie do sypialni. Odprowadzam go wzrokiem, czując się podle, że nie wyznałam mu prawdy na samym początku.

- Kłopoty w raj?

Odwróciwszy się, widzę Marię w towarzystwie jej brata. Jeszcze tych tu brakowało.

- Nie masz nic innego do roboty? - Uśmiecham się sztucznie. - Wiesz, są ciekawsze zajęcia niż plucie jadem, zwłaszcza tam, gdzie cię nie chcą.

Pomimo że dziewczyna bardzo się stara ukryć swoją reakcję, wygląda, jakby w gardle utknął jej kaktus. Chwilę później jednak uśmiecha się przebiegle.

- A wiesz co? - Unoszę brwi na jej skrzeczący głos. - Miałam nadzieję, że Rhys się opamięta i wybierze odpowiednią kobietę do życia w mafii. Zdaje się, że to nastąpi bardzo szybko, bo nieźle mu w tym pomagasz.

Normalnie puściłabym tę uwagę mimo uszu, ale nie dzisiaj.

- Idźcie już - mówię do rodzeństwa.

- Nie mam zamiaru. Pójdę pocieszyć Rhysa, a ty może pociesz się moim bratem. Lubi płacić za seks.

Dość! Ruszam w jej kierunku i, o dziwo, tym razem nie jest już taka odważna, bo cofa się szybko o kilka kroków. Rzucam się na nią, a następnie wypadamy na zewnątrz. Mam gdzieś to, że zaraz wylądujemy w basenie.

Pierwsze zderzenie z wodą powoduje, że zasysam powietrze, drżąc z zimna. Nie dbam jednak o to. Muszę zabić tę żmiję. Przez jakiś czas szarpiemy się, będąc pod powierzchnią. Wynurzywszy się, łapię Marię za głowę i zanurzam ją, lecz jakimś cudem udaje się jej uwolnić. Kiedy ponownie chcę ją zaatakować, ktoś łapie mnie od tyłu, a za Marią pojawia się Luca w garniturze.

- Wystarczy - oznajmia stanowczo Xavier.

Próbuję mu się wyrwać, bo chcę kontynuować pojedynek. Dopiero kiedy chłodne powietrze owiewa mokre ciało, wraca mi zdrowy rozsądek. Wreszcie zdaje sobie

sprawę z tego, co się dzieje.

No nieźle, Viviano Anne Thomson, byle tak dalej.

Po rozgrzewającej kąpieli wskakuję do łóżka.

Leżąc na boku, zastanawiam się, co robi Rhys. Może powinnam do niego pójść? Nie, to pewnie nie jest najlepszy pomysł.

Mijają sekundy, minuty, a może nawet godziny, podczas których wyobrażam sobie jego twarz, a także przypominam zapach oraz dotyk. Gdy ktoś otwiera drzwi sypialni, spinam się, ale szybko wyczuwam, że to on. Słyszę ciche kroki, a potem czuję, jak ugina się materac. Momentalnie zostaję przyciągnięta do jego ciała i zamknięta w uścisku. W jego ramionach czuję się naprawdę bezpiecznie.

- Przepraszam - szepczę, niemal łkając.

Tak bardzo tego potrzebowałam.

Rhys nie odpowiada, lecz zatapia swoją twarz w moich włosach. Wiem, że jeszcze jest zły, czuję to. Mimo wszystko nie potrafi długo beze mnie funkcjonować, tak jak i ja bez niego. Zrobię wszystko, aby mi wybaczył.

ROZDZIAŁ 24



VIVIANA

Przewracam się na drugi bok i wtulam twarz w poduszkę. Chcę jeszcze trochę pospać, ale coś mnie męczy. Dziwne uczucia zaczynają ogarniać mój umysł, by potem spłynąć do żołądka i targać nim we wszystkie strony. I w końcu to we mnie uderza. Zdarzenia z restauracji ożywają. Obrazy z poprzedniego dnia przelatują przed oczami, klatka po klatce. Pamiętam, że wróciłam cała i zdrowa, później przyjechał Rhys, ale... Wszystko mi się miesza i już nie wiem, co było prawdą, a co nie. Jestem jakaś skołowana.

Boże, co się ze mną dzieje?

Kiedy spoglądam na miejsce obok, czuję dziwny ucisk w piersi. Nie zadręczając się ani chwili dłużej, wyskakuję z łóżka, a następnie wybiegam na korytarz.

Rhys. Potrzebuję Rhysa.

Docieram do salonu i staję jak wryta na widok kilku mężczyzn w garniturach.

Obejmuję się ramionami, po czym cofam o kilka kroków. Nagle wszyscy po kolei się odwracają, jednak nikogo nie rozpoznaję. Widzę tylko jego.

Stoi zszokowany, lecz po chwili rusza w moim kierunku, zdejmując pośpiesznie marynarkę. Dopiero gdy zarzuca mi ją na ramiona, uświadamiam sobie, że opuściłam pokój jedynie w koszulce z cienkiego materiału oraz krótkich spodniach, ale nie dbam o to. Muszę wiedzieć, że mi wybaczył.

- Co... - zaczyna, ale szybko urywa. Marszczy brwi, spoglądając z niepokojem w moją stronę.

- Cholera, ona jest chyba w jakimś szoku czy coś. - Gdzieś z boku dochodzi głos Xaviego.

- Wyjść! Wszyscy! - warczy Miller, przyciskając mnie do swojego drgającego ciała. Rozlegający się szmer oznajmia, że zebrani posłusznie wychodzą.

Rhys ujmuję moją twarz. Błądzi po niej wzrokiem, jakby czegoś szukał, po czym bierze mnie za rękę i prowadzi w kierunku sypialni; jego sypialni, do której została przyłączona prywatna łazienka. Wchodzimy do przestronnego pomieszczenia z olbrzymią wanną w centrum. Miller nalewa do niej wody, a następnie dodaje dużo płynu do kąpieli. Zbliżywszy się, zsuwa z moich ramion marynarkę, po czym odkłada ją na szafkę. Żadne z nas nic nie mówi.

Zakręciwszy kurek, Rhys chwyta cienki materiał mojej koszulki. Unoszę ręce, kiedy ją zdejmuję. Potem ściąga mi spodni, podaje dłoń i pomaga wejść do wanny.

Zanurzając się w pianie, obserwuję, jak mój mężczyzna się rozbiera.

Przesuwam się tak, by zrobić za sobą miejsce. Gdy wchodzi, od razu mnie przyciąga

i całuje w skroń, oplatając ramionami, w których czuję się tak bezpiecznie. Zamykam oczy, rozkoszując się tą chwilą. Chciałabym zatrzymać czas, zatrzasnąć drzwi i mieć Rhysa Millera wyłącznie dla siebie. Kocham go, wielbię go. Jest mój, tylko mój.

Rhys Miller zawładnął moim ciałem, umysłem i...

Cholera!

...sercem.

- Już lepiej? - szepcze, przerywając ciszę.

- Mhm - mruczę, przywierając do niego mocniej. - Jesteś jeszcze na mnie zły?

Wzdycha, kładzie dłoń na moim brzuchu, po czym powoli przesuwając kciukiem po skórze.

- Viviano Anne Thomson. Nie byłem, nie jestem i nigdy nie będę na ciebie zły. Nie mógłbym być. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale Rhys Miller wie wszystko i zawsze jest o krok przed przeciwnikiem. Właściwie tak było, aż do tej pory. To mnie frustruje. Mogłem cię wczoraj stracić...

- Przykro mi - mówię, mając na myśli też jego brata.

- Niepotrzebnie, zajmę się tym - zapewnia.

Wiem, że to zrobi.

- Gdybym tylko...

- Nie mogę ci obiecać, że taka sytuacja się nie powtórzy. Najwyraźniej nie potrafię przewidzieć każdego ruchu wroga, ale nie mogę również pozwolić ci odejść.

- Nie chcę, żebyś to robił.

- Ale powinienem. - Splata i unosi nasze dłonie.

Obserwuję dwa identyczne pierścienie, ciesząc się, że Rhys Miller powoli się przede mną otwiera. Zmienia się.

Pamiętam, jak Xavi opowiadał, że Emilio wyprał go z wszelkich emocji. Uśmiecham się lekko na myśl o porażce tego człowieka. Jednak mu się nie udało - Rhys ma uczucia, a ja zamierzam dopilnować, żeby Emilio nigdy więcej nie majstrował przy jego umyśle.

- Już się mnie nie pozbędziesz - oznajmiam.

- Więc, Viviano Anne Thomson?

- Mhm?

- Wyjdź za mnie.

- Nie.

Ponieważ już kilka razy wspomniałam, że tęsknię za babunią, Rhys wprosił nas dzisiaj do niej na kolację. Otworzywszy drzwi mojego starego, kochanego domu, od razu słyszę krzyk Helen, dochodzący z góry.

- Uciekaj! Uciekaj, do cholery, bo cię zabiją!

Żołądek podchodzi mi do gardła i mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy z piersi. Przeżrana spoglądam na Rhysa, który się uśmiecha.

- Co w tym śmiesznego? - pytam cicho, ale nie czekam na jego odpowiedź. Idę na górę, co jest nie lada wyzwaniem, bo kolana się pode mną uginają.

- Zabij go! Teraz! - warczy Helen.

Słodki Jezusieńku. Co się tam dzieje?

Wparowuję do pokoju i zamieram. Nie wierzę własnym oczom.

Ja, kuźwa, nie wierzę!

Drobniutka Helen z ogromnymi słuchawkami na uszach siedzi przy nowym biurku, na którym ustawiono monitor. Maltretując klawiaturę oraz myszkę, wygina się we wszystkie strony, zaciskając zęby. W końcu podskakuje, a ja odruchowo razem z nią. - No i przegraliśmy! Joe, ty łamago! - Zrywa słuchawki z głowy i rzuca je na blat. Nadal nie mogę się ruszyć. Otwieram usta, żeby zapytać, co się tu, do cholery, dzieje, ale w sumie po co? Już wiem. Rhys Miller się dzieje.

Na komputer go naciągnęła?!

Odwracam się z zamiarem zejścia na parter i zbesztania sprawcy tego zamieszania, lecz on już stoi w drzwiach. Chowając dłonie w kieszeniach kolejnych skrojonych idealnie spodni, uśmiecha się niewinnie.

- Rhys! - woła babcia. Przebiega obok, potrącając mnie, po czym tuli się do swojego nowego wnuka.

Scena przede mną wygląda nieco komicznie: drobna babulinka tuląca się do wysokiego, postawnego mężczyzny. Mam jednak do pogadania z tą dwójką. Nie omamią mnie lukrową otoczką.

Helen, z rozmarzonym wyrazem twarzy, dziękuje Rhysowi za jakże cudowny prezent. Przewracam oczami, po czym spoglądam na Millera, który wydaje się jeszcze bardziej rozbawiony. Wzdycham i postanawiam nie podnosić wielkiego larum. Przynajmniej nie teraz. Najważniejsze, że Helen jest szczęśliwa.

Kiedy staruszka odkleja się wreszcie od mojego mężczyzny, patrzy na mnie, a jej uśmiech nieco gaśnie.

- O! Vivi! Nie zauważyłam cię. - No... Ja tu się o małpę zamartwiam, a ona tak się odwdzięcza? Prawie zesłam na zawał, podczas gdy jej się żarty trzymają.

Już chcę się bronić, lecz moją uwagę przykuwa jej ubiór. Biała, idealnie wyprasowana koszula z postawionym koronkowym kołnierzem oraz spódnica, która ostatnio była znacznie dłuższa.

- Skróciłaś spódnicę? - Krzywię się.

Helen natychmiast morduje mnie wzrokiem.

- Nie. Twoja pseudomatka próbowała bawić się w dom, więcej szkody niż pożytku. Poza tym, jak się ma figurę, to we wszystkim się dobrze wygląda - Wiem, do czego pije.

- Rhys nie narzeka na mój tyłek i moje piersi - odparowuję i patrzę na niego, szczerząc się jak idiotka. - Prawda, kochanie?

Unosi brwi, a ja zadaję sobie pytanie:

Czy na serio właśnie zaczęłam rywalizować z własną babcią?

- Dobra, nie stójmy tak - stwierdza Helen, biorąc Rhysa pod ramię. - Pomóż, kochany, zejść staruszce po schodach. Tak mnie nogi bołą.

Szczęka opada mi niemal na podłogę.

A dupa ją nie boli od podskakiwania na fotelu?

Po chwili ruszam za nimi. Uśmiecham się pod nosem, słysząc, jak Rhys broni przed Helen mojego honoru, wychwalając moje cudowne ciało. Ta... akurat. Najlepiej niech opowie jej wszystko ze szczegółami, wyśpiewa, że należy do mafii. Ciekawe, czy wtedy także będzie taka skora, żeby prowadzić się z nim pod rękę.

Gdy jesteśmy na dole, Miller wyjmuje telefon, po czym informuje, że musi pilnie zadzwonić, natomiast ja idę z babcią do kuchni. Kiedy Helen otwiera piekarnik, znowu doznaję szoku. Upiekła indyka. Wielkiego, napakowanego ogromną ilością farszu indyka.

Odchrząkuję, nie wiedząc, jak mam ją o to zapytać. Nie chcę ponownie wyjść na wnuczkę jędzę.

- Babciu - mówię łagodnie, przeciągając słowo. - Wiesz, że Święto Dziękczynienia będzie dopiero za miesiąc, prawda?

Patrzy na mnie urażona.

- Jak nie pasuje ci moje popisowe danie, to do budki za rogiem na przeterminowanego hamburgera możesz iść.

Wiedziałam, cholera!

Kiedy kolacja jest już gotowa, Rhys wraca, ale w gorszym humorze. Nie chcę pytać przy babci, skąd ta zmiana nastroju, więc odciągam go na bok.

- Co się stało? - Błagam w myślach, aby nie chodziło o jakiś kolejny atak.

- Muszę wyjechać na trzy dni. - Tylko tyle mi zdradza. Po jego minie widzę, że więcej się nie dowiem.

Nie naciskam, zwłaszcza że w tym domu ściany mają uszy. Później to z niego wyciągnę. Teraz jedynie kiwam głową i kieruję się do kuchni, lecz nagle zostaje złapana za biodra i przyciśnięta do jego ciała.

- Wyjdź za mnie, Viviano - szepcze, muskając ustami płatek mojego ucha.

- Nie.

Chciałabym wykrzyknąć tradycyjne „tak!”, jednak nie zapomniałam o swoich postanowieniach. Kocham go, ale chyba nigdy za niego nie wyjdę. Po prostu nie mogę. Małżeństwo babci nie skończyło się dobrze, mimo iż dziadek był jej wielką miłością. Co, jeśli mnie spotka to samo? Lepiej żyć ze świadomością, że nic nie jest na zawsze...

A to wystarczająco mnie przeraża.

ROZDZIAŁ 25



VIVIANA

Siedzę w fotelu, gapię się w ekran telewizora i popijam cholerny koniaczek, który babcia zaserwowała po kolacji. Oczywiście usiadła na sofie obok swojego wnusia i opowiada mu najbardziej żenujące historie z mojego dzieciństwa.

Wiedźma.

Zerkam co chwilę w ich stronę, paląc się ze wstydu. Miller spogląda na mnie z błyskiem rozbawienia w oczach, uśmiechając się cwaniacko.

- Och, Rhys! - wykrzykuje Helen, podskakując. - Jak niestosownie się zachowałam. Powinnam była zapytać, pewnie palisz i nie chciałeś robić kłopotu, ale nie krępuj się - świergocze, poklepując Millera po udzie.

Co ona wygaduje? Znowu coś wymyśliła.

- Zdarza mi się palić cygaro, ale musi być ku temu okazja. Nie robię tego zbyt często - odpowiada grzecznie wnuczek roku.

No proszę. O tym nie wiedziałam.

- Oj, nie bądź taki skromny. Gdzieś tu powinnam mieć cygara. - Wyznanie babuni nawet u niego wywołuje lekki szok, nie mówiąc o mnie.

Wstaje i z werwą rusza do kuchni. Przez chwilę gapimy się na siebie z Rhysem, jednak w końcu postanawiam się dowiedzieć, co ta kobiecina kombinuje.

Przepraszam Millera, po czym idę do Helen.

Wkraczam do kuchni, kiedy babcia z całym zaopatrzeniem chce już wracać do swojego ulubieńca.

- Skąd masz cholerne kubańskie cygara i co ty knujesz? - pytam na tyle spokojnie, na ile potrafię w tej sytuacji.

- Cicho bądź. Jestem gościnną i tyle - stwierdza, udając niewiniątko.

- Helen - mówię ostrzegawczo. - Śpiewaj mi tu, bo inaczej zgłoszę, że masz jakieś zaniki pamięci i inne pierdoły, a potem zamknę cię w domu starców.

Odłożywszy pudełko na stół, krzyżuje ręce na piersiach.

- Żmiję wychowałam - syczy, mrużąc oczy, na co kręcę głową.

- Kochasz tę żmiję, ty knujo. A teraz gadaj, o co chodzi - nalegam, naśladując jej gest.

- No dobra. Poznałam kogoś - wyznaje.

- I?

- Przyjdzie jeszcze dzisiaj wieczorem. Chciałam sprawdzić, czy będzie zazdrosny.

- Dlatego wciskasz Rhysowi cygara? Oszalałaś? - pytam z niedowierzaniem.

- Ma przyjść też Ruth. Zawsze chwali się tymi amantami z koziej dupy wyciągniętymi, to niech poczuje, jak pachnie prawdziwy mężczyzna.
- Mhm. Ta, na pewno cygarami - mruczę.

Jak to było? Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej?

Wtulona w Rhysa, kładę dłoń na twardej kłacie. Zamykam oczy, wsłuchując się w bicie jego serca. Czuję się bezpiecznie.

Gdy wróciliśmy od babci, od razu zaciągnął mnie do łóżka. Po kilkugodzinnej sesji zastanawiam się, czy przypadkiem nie tyknął viagry. Wydaje mi się, że przez tydzień nie będę mogła siedzieć, ale to nieistotne, bo Rhys jeszcze tej nocy wyjeżdża.

Boże, już za nim tęsknię.

Nagle uderza we mnie żal oraz poczucie straty. To zbyt bolesne. Wtulam się bardziej, chcąc zapamiętać ten moment na trzy dni.

Unoszę powieki i przygryzam dolną wargę. Zastanawiam się nad paroma rzeczami jednocześnie.

- Gdzie jedziesz? - pytam.

Zamiast odpowiedzieć, wzdycha, a następnie przyciąga mnie bliżej. Odchylam głowę, żeby spojrzeć na jego twarz, i unoszę brwi, dając do zrozumienia, że czekam na odpowiedź.

- Nie mogę ci powiedzieć, nie teraz. - Przygląda mi się uważnie.

- Mhm - mruczę, wracając do poprzedniej pozycji.

- Obiecuj, że będziesz grzeczna - mówi tym swoim lekko zachrypniętym głosem.

- Obiecuj, że nie będziesz kupował babci żadnych pierdótek.

Prycha, wplata palce w moje włosy, po czym składa pocałunek na czubku głowy.

- Zabrałem jej ukochaną wnuczkę. Mimo że nic na świecie jej ciebie nie zastąpi, chciałem zrobić coś, co umili jej czas bez ciebie.

- Nie zasłużyła na to. Ciągle się śmieje z mojego biustu i tyłka - skarżę się, dziecinnie wydymając wargę.

- Viviano Anne Thomson, ja, Rhys Miller, wielbię twój biust i tyłek - oświadcza. - Sądzę nawet, że powinny zostać opatentowane.

Chichoczę. Rhys jednak potrafi być też słodki.

- Nie można opatentować części ciała.

- Chcesz się założyć? - mruczy.

- Lepiej nie. - Znając moje szczęście, przegrałabym.

- Obiecuj, że będziesz grzeczna - powtarza.

- Postaram się. Dopóki Maria będzie trzymała się ode mnie z daleka, nie zrobię jej krzywdy.

- Jeśli jeszcze raz w jakikolwiek sposób cię obrazi, nie będziesz musiała. - Ton, jakim wypowiada te słowa, wywołuje dreszcze, dlatego postanawiam nie drążyć tematu.

Nie ma sensu zawracać sobie głowy tą żmiją.

Uzgadniamy, że na czas nieobecności Rhysa zamieszkać w domku i zostanie mi przydzielona ochrona. Nie chcę przebywać w rezydencji, jeśli jest tam Maria. Miller upiera się, żebym przez te kilka dni nie chodziła do pracy. Jego zdaniem będzie

lepiej, jeśli w ogóle pozostanę w zamknięciu, aż do jego powrotu. Nie zgadzam się. Nie mam zamiaru oszaleć z tęsknoty, spędzając czas samotnie.

Rano wychodzę z pokoju, po czym idę na parter. Oczywiście w domu jest już pełno mięśniaków, którzy mają mnie pilnować.

Wchodzę do kuchni, gdzie zastaję Mike'a, który popija kawę i czyta gazetę. Witam się z nim, a następnie nalewam sobie czarnego napoju i siadam obok.

- Hej, Mike? Rhys dotarł już na miejsce? - zaczepiam go podstępnie.

Kiedy na mnie zerka, dosłownie słyszę trybiki napierdzielające w jego tyłej głowie.

- Nie - odpowiada i wraca do czytania.

Przydupas pana.

- Kurde, wiesz co? Rano jestem trochę nieogarnięta. Rozmawialiśmy z Rhysem na szybko i nie wszystko pamiętam. Gdzie tym razem pojechał?

Znowu na mnie spogląda, pewnie przetwarzając moje słowa, po czym wyjmuję z kieszeni komórkę. Piszę coś, jednocześnie przesuwając po blacie jakąś przesyłkę. Otwieram zaciekawiona. Okazuje się, że w środku jest telefon. Mój smartfon został w restauracji, więc Miller kupił mi nowy.

Wyciągam urządzenie dokładnie w tym momencie, w którym przychodzi SMS.

Ups...

Rhys: Moja droga Viviano, czy nie prosiłem, żebyś była grzeczna? Bądź, proszę, cierpliwa, wszystkiego dowiesz się we właściwym czasie.

Spoglądam znad komórki, na wpół zażenowana, na wpół wkurzona, na tę umięśnioną paplę. Wielkolud wydaje się bardzo zainteresowany artykułem, jednak wiem, że obserwuje mnie kątem oka.

- Zawieź mnie do pracy - mówię urażona.

Siedzę w biurze Rhysa. Zajęta rozliczeniami, ignoruję Mike'a, który przez cały dzień mnie pilnuje. Amelia i Xavier znów nie dają znaku życia, więc podejrzewam, że są z Millerem.

Zaczyna mi burczeć w brzuchu, a skoro nie skorzystałam z przerwy na lunch, postanawiam teraz coś zjeść. Odkładam dokumenty i wstaję, gdy do biura wchodzi ostatnia osoba, którą mam ochotę widzieć - Emilio.

Rozgląda się po pomieszczeniu, zawieszając wzrok na ochroniarzu, który właśnie podchodzi.

Po chwili wuj Millera spogląda na mnie.

- Gdzie on jest? - pyta mrożącym krew w żyłach tonem.

- Kto? - Staram się brzmieć odważnie, choć od środka się trzęsę.

- Mój bratanek, głupia dziewucho.

Chwileczkę! Czyli Emilio też nie wie, gdzie jest Miller? Hmm...

Ponieważ żywię do tego człowieka wielką odrazę z powodu tego, co zrobił Rhysowi, nie mam zamiaru dłużej pozwalać sobie na strach. W dodatku słyszałam już dość obelg jego córki pod swoim adresem. Więcej nie zdzierzę.

- Rhys nie spowiada mi się z tego, gdzie jest. To dorosły mężczyzna, nie dziecko,

którym można manipulować, robiąc mu przy okazji pranie mózgu.

O! Powiedziałam to.

Sądząc po morderczym spojrzeniu, popełniłam błąd.

- Cholerna dziwka! Myślisz, że jesteś wyjątkowa? Przed tobą były dziesiątki, a po tobie będzie jeszcze więcej! Teraz pewnie pieprzy kolejną podobną do ciebie! - wykrzykuje rozwścieczony.

Natychmiast tracę pewność siebie, którą zyskałam przed chwilą. Słowa mężczyzny tną moje serce na kawałki, lecz mimo to przyklejam uśmiech.

- Boli, prawda? - pryham. - Jeśli włożyło się tyle pracy, żeby kogoś zniszczyć, a ta osoba jednak się podniosła i teraz jest ponad tobą?

Gdy wuj Rhysa sięga pod marynarkę, Mike szybko wyjmuję pistolet. Szarpie mnie za ramię, po czym chowa za sobą.

- Wyjdź, Emilio - rozkazuje.

- Pieprzony kawałku gówna, wiesz, kim jestem?!

- Wiem - warczy Mike. - Wiem też, że Rhys stoi ponad tobą, to mój szef. Moim zadaniem jest zabić każdego, kto w jakikolwiek sposób próbuje jej zaszkodzić.

Następuje długa cisza, podczas której wlepiam wzrok w czarny materiał koszulki ochroniarza. Trzaśnięcie drzwiami sprawia, że Mike wyraźnie się rozluźnia.

Rozumiem więc, że Emilio wyszedł.

- Kobiety i te ich niewyparzone języki - mruczy wielkolud.

Oczywiście teraz to wszystko moja wina, ale mniejsza z tym. Zastanawiam się nad słowami Emilio.

Czy jestem jedną z wielu? Czy Rhys w tej chwili jest z inną?

ROZDZIAŁ 26



VIVIANA

Rhys Miller, człowiek, który nie trawi kłamstwa i ceni sobie szczerość, powiedział sześć dni temu, że wyjeżdża na trzy.

Ha! Ha! Ha!

Oczywiście kontaktuje się ze mną, najczęściej SMS-owo. Między innymi prosi, żebym była grzeczna i nie zdręczała ochroniarzy pytaniami, albo... pyta, czy za niego wyjdę. Moja odpowiedź na to drugie wciąż brzmi: NIE!

Nie zaprzeczam, że za nim tęsknię, ale z jednej strony może to dobrze, że wyjechał. Dzięki temu mam dużo czasu, by poukładać sobie wszystko w głowie.

Przeanalizować na przykład sprawę z Emilio. Miller od razu dowiedział się o całym zajściu, co mnie wcale nie zaskoczyło. Nie minęło dużo czasu, a przysłał wiadomość z ostrzeżeniem, że jeśli uwierzę w choć jedno słowo jego wuja, kupi Helen ciężarówkę, wieżowiec w Dubaju, a także opłaci jej tygodniowy pobyt na Bahamach. Czasami zastanawiam się też nad tym, czy to życie nie jest taką trochę bajką, w której nie będę umiała się odnaleźć. Ostatecznie dochodzę do wniosku, że na myślenie już za późno, bo moje serce oszalało na punkcie pewnego Włocha i już nic tego nie zmieni. Z poukładanej kobiety, żyjącej z dnia na dzień, stałam się dziewczyną szefa mafii. To chyba najbardziej szalona rzecz, jaką zrobiłam w życiu.

Poprawka, to jedyna szalona rzecz, jaką zrobiłam w życiu.

- Co? - Tubalny głos wyrывa mnie z krainy złotych myśli Viviany. Podskakuję, a razem ze mną miska popcornu, której zawartość się rozsypuje.

Super.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że przez swoje wielkie rozważania przegapiłam maraton „Trawki^[2]”.

- Co „co”? - zwracam się do Mike'a, który kolejny raz robi za moją niańkę.

- Znowu głośno myślałaś - wyjaśnia, przejeżdżając dłonią po łysinie. - Jaka jest najbardziej zwariowana rzecz, którą zrobiłaś?

Phi! Taki duży, a takie głupie pytania zadaje.

- To! - Śmieję się i wymachuję rękami, wskazując otoczenie. - A twoja?

- Nie chcesz wiedzieć - prycha.

- Ej, no weź! Spędzam z tobą więcej czasu niż z Rhysem. Staliśmy się praktycznie przyjaciółmi - oznajmiam, szczerząc się.

Przez moment się nad czymś zastanawia. Jestem pewna, że za chwilę usłyszę jakieś opowieści, przez które nie zmruję oka.

- Przejechałem kotka w lesie.

Serio? Parskam śmiechem. Takie bajki to Marii mógłby wcisnąć, ale nie mnie.

Stawiam miskę na stoliku i naganiam żartownisia do pomocy w sprzątaniu. I tak nic z niego nie wyciągnę. Zero zabawy z tym facetem.

Kiedy wszystko jest ogarnięte, idę się wykąpać i wskakuję do łóżka. Nie mogę zasnąć, więc znowu zaczynam analizować to, co się dzieje. Moje myśli ponownie wędrują do spraw związanych z Antonio Valentim. Zastanawiam się, dlaczego tak bardzo nienawidzi Rhysa i z jakiego powodu ostrzegał mnie wtedy w restauracji. Coraz więcej pytań i żadnej logicznej odpowiedzi.

Następny dzień bez niego. Już nie mogę wysiedzieć w tym domku. Oszaleć można. Dzisiaj rolę superniani odgrywa Jared. Nie ma aż takiej ochoty na pogawędkę jak Mike, o ile tego drugiego można uznać za rozmownego. Piszę do Rhysa SMS-a, w którym pytam, czy mogę odwiedzić babcię. Zaznaczam, że umrę z nudów i liczę na to, że się zgodzi. Dwie cholerne godziny czekam na, o dziwo, pozytywną odpowiedź.

Oczywiście przy wyjeździe z posesji okazuje się, że za mną i Jaredem ruszają dwa pojazdy napakowane mięśniakami. Ot, taka codzienna wizyta u babuni.

Kiedy podjeżdżamy pod dom, zapraszam moją niańkę do środka, ale odmawia.

Nie? To nie.

Wchodzę, przygotowana na to, że Helen będzie się wydzierać przy swojej nowej zabawce, lecz tym razem panuje cisza. Babcia siedzi przy stole w kuchni, popijając herbatę. Kiedy mnie zauważa, wzdycha, a ja od razu się spinam. No tak, gdyby to wnusio przyjechał, już by wokół niego fruwała.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz? - pytam urażona.
- Cieszę się, tylko wybrałaś zły moment. - Krzywi się.
- Co się dzieje? - Opadam na krzesło naprzeciwko i przyglądam się jej uważnie.
- Kobieta demon wróciła.

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, co ona plecie, jednak gdy słyszę kroki na schodach, już rozumiem.

- Proszę, proszę! Któż to nas zaszczycił swoją obecnością? Księżniczka mafii we własnej osobie!

Słowa mamy odbijają się echem w mojej głowie i dosłownie wbijają mnie w siedzenie. Spoglądam na Helen. Teraz kobiecina już na pewno zejdzie na zawał. A jednak, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, reakcja jest zupełnie inna. Żadnych oznak szoku czy strachu. Babcia jest po prostu wkurzona, nawet bardzo wkurzona, na moją matkę.

Nadal nie mogę się ruszyć, natomiast Helen powoli wstaje i podchodzi do swojej córki, zaciskając dłonie w pięści.

- Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, odetnę twoją parodię cycków, precysem przez maszynkę do mielenia mięsa, a potem wepchnę ci do gardła. - Moja szczęka opada na blat. Niech mi ktoś wytłumaczy, co tu się dzieje.

Jezu! Helen!

- Mam dość siedzenia cicho! - wydziera się Emilia, po czym spogląda na mnie kpiąco. - Myślisz, że tobie się uda, co? Obudź się, ten świat zniszczy cię prędzej czy

później! Co zrobisz, kiedy babcia umrze, a on wyrzuci cię na zbity pysk?! Ja cię do domu nie przyjmę.

- Oj, proszę cię, ty niewdzięczna lafiryndo spod przepalanej lampy - fuka babcia. - Myślałaś, że tobie przepiszę dobytek swojego życia? Jeszcze by mnie nie pochowali, a już byś wszystko przepuściła!

Mina matki jest bezcenna. Jakby właśnie ktoś jej powiedział, że wycofali błyszczący ze sprzedaży. Serio! To poważna sprawa.

- Tak?! - wybucha Emilia. - To chętnie podzielę się...

- Wystarczy! - Krzyk od strony wejścia sprawia, że w końcu jestem w stanie się podnieść.

Do kuchni wchodzi Jared. Szarpiąc matkę za ramię, wyprowadza ją, a następnie prowadzi schodami na górę. Przerażona odprowadzam tych dwoje wzrokiem. Nadal nie mogę przetrwać tego, co się wydarzyło.

- No! Skoro problem został rozwiązany... Kawy czy herbaty, wnusiu? - świergocze Helen, jak gdyby nigdy nic.

Odwrociwszy się, otwieram szeroko oczy. Przysięgam, że za chwilę to ja wybuchnę.

- Babciu... - zaczynam schrypniętym głosem, właściwie nie wiedząc, co chcę powiedzieć.

- Oj, otrząśnij się z tego, Vivi. Od kiedy przejmujesz się gadaniem swojej szurniętej matki? - Gładzi różowy fartuszek.

Kolejna seria kroków na schodach przerywa naszą rozmowę. Tym razem to Jared ma taką minę, jakby nic wielkiego się nie stało.

- Musimy już jechać. Szef wraca. - Zapewne ma na myśli Rhysa.

Żegnam się z Helen, upewniając kilka razy, czy na pewno dobrze się czuje, po czym wychodzę. Gdy idziemy do samochodu, Jared zapewnia, że wszystko będzie dobrze i matka nie tknie babci.

Podczas jazdy na okrągło analizuję słowa matki i za każdym razem wyciągam inne wnioski. Czy babcia też miała kiedyś cokolwiek wspólnego z tym światem? Może moja mama również? A może była to po prostu gadka pijanej kobiety.

- Viviana!

Myślę o tym wszystkim, nie przejmując się, że nasz pojazd zaczyna wykonywać jakieś dziwne wiraże. Właściwie to w ogóle nie interesuje mnie, co się dzieje dookoła.

- Cholera, Viviana! Ocknij się! - Spoglądam na Jareda, który wyjmując ze schowka pistolet, a jednocześnie wykonuje dziwne ruchy kierownicą. Dopiero ostre szarpnięcie sprawia, że wracam do rzeczywistości.

Rozglądam się i z przerażeniem zauważam, że ktoś próbuje nas zepchnąć z drogi. Ale to jeszcze nic! W bocznym lusterku widzę, jak zbliżają się kolejne samochody. SUV z ochroniarzami, który jedzie za nami, próbuje zablokować im drogę.

- Teraz przejdiesz przyspieszony kurs obsługi broni, a kiedy się zatrzymam, wyskoczysz z samochodu i schowasz się na poboczu. Strzelisz do każdego, kto po

ciebie przyjdzie, a nie będzie mną, rozumiesz?!

Patrzę na niego zszokowana.

- Jared...

- Nie ma czasu na pierdoły, Vivi - warczy. Tłumaczy, co mam robić, starając się utrzymać panowanie nad pojazdem.

Wręcza mi pistolet, a po chwili zatrzymuje się, wykonując gwałtowny manewr.

Prędko wysiadam, biegnę w dół pobocza, po czym siadam, opierając się o ścianę piachu. Słyszę pisk opon oraz zgrzyt metalu. Czekam z przygotowaną do użycia bronią.

Podskakuję, gdy następuje jakiś wybuch. Ponieważ trzęsą mi się ręce, mocniej zaciskam dłonie wokół pistoletu, w obawie, że go upuszczę.

Nie wiem, ile już tu siedzę, ale kiedy tylko słyszę kroki, umieram ze strachu. Na szczęście okazuje się, że to Jared. Upuszczam broń, wstaję i rzucam mu się na szyję.

- Wszystko w porządku, Vivi. Wiejemy stąd.

Po wejściu do domu od razu pytam czekającego na nas Mike'a, czy wrócił Rhys. Odpowiada, że jeszcze nie, więc biorę prysznic, aby zmyć z siebie wrażenia tego dnia. Kiedy stoję przed lustrem i rozczesuję wilgotne włosy, dostrzegam w odbiciu stojącą za mną Amelię.

Natychmiast się do niej odwracam.

- Rhys wrócił? - pytam bez przywitania.

- Tak, ale... Ma jeden z tych, no wiesz, głupich momentów.

- Ach... - Ten moment, w którym trzeba się trzymać z dala od niego, bo cholera wie co?

Nie interesują mnie już te głupie tłumaczenia. Jak człowiek, który prosi mnie o rękę, może się tak separować?

Wkurzona, odkładam z hukiem szczotkę na blat. Ignorując Amelię, opuszczam łazienkę, przechodzę przez pokój, a następnie kieruję się korytarzem w stronę jego sypialni. Naturalnie przed wejściem spotykam Xaviera, który ani myśli mnie wpuścić.

- Xavi! Pamiętasz, co powiedziałaś, gdy uciekłam? Sam chciałeś, żebym wróciła i zrozumiała, więc mi tego, do cholery, nie utrudniaj!

- Nic nie rozumiesz. Jego zachowanie... Mógłby cię skrzywdzić - wyjaśnia ze szczerą troską. - On nie myśli, kiedy znajduje się w tym stanie. Raz o mały włos nie odstrzelił mi głowy.

- Pozwól, że sama się o tym przekonam. Chcę mu pomóc. Nie każ mi stać tutaj bezczynnie, gdy on cierpi - błagam. Toczymy walkę na spojrzenia, aż w końcu Xavi z ciężkim westchnieniem się odsuwa.

- Uważaj - ostrzega.

Wchodzę do pokoju i od razu go widzę.

- Rhys?

Stoi z zaciśniętą szczęką, wpatrzony w jakiś punkt.

Co mu jest? Czy rzeczywiście mógłby mnie skrzywdzić?

Powoli podchodzę i staję przed nim. Wtedy jego nieobecny wzrok pada prosto na mnie.

To wzrok potwora. Wzrok maszyny do zabijania stworzonej przez Emilio.

ROZDZIAŁ 27



VIVIANA

Rhys Miller. Piękny, tajemniczy i niebezpieczny mężczyzna. Anioł. Anioł ciemności, ale mój, do diabła, więc nie pozwolę, aby trawiło go jakieś cholerstwo.

Obserwuję, jak z każdą sekundą grymas zmieniający rysy twarzy nadaje mu coraz groźniejszy wygląd. Chcę zapytać, gdzie teraz jest, i błagać, żeby wrócił. Nie mam jednak szansy, bo właśnie w tym momencie szybko unosi rękę, a następnie zaciska palce wokół mojej szyi, niemal całkowicie odcinając dopływ tlenu.

- Kurwa, Viviana! - krzyczy od drzwi Xavi.

- Wyjdź - charczę.

Kładę dłonie na twarzy Millera, aż w końcu ujmuję ją zdecydowanie i zatapiam się w głębi jego pięknych oczu.

- Rhys, to ja... Twoja Viviana - mówię mocno schrypniętym głosem.

Wzmacnia uścisk, ale nie poddaję się, tylko przyglądam mu się uważnie. W moim umyśle kiełkuje strach i z ogromnym trudem przetykam ślinę. Wiem, że Miller jest zamknięty gdzieś, gdzie nie docierają sygnały z otoczenia.

- Rhys - powtarzam, czując, że coraz bardziej słabnę.

Nagle się wzdryga, a ucisk znika. Podtrzymuję się przez chwilę mebla za sobą, by nie upaść.

- Viviana. - Brzmi na totalnie zaskoczonego, co potwierdza, że właśnie obudził się z jakiegoś letargu.

- Tak. - Uśmiecham się niepewnie.

- Wyjdź - rozkazuje, jakby nadal nieobecny.

- Ani myślę - stwierdzam odważnie. Wiem, że chce mnie ochronić przed samym sobą.

- Nie boisz się mnie?

- Nie skrzywdzisz mnie, Rhys. Wiesz, dlaczego?

RHYS

Czerń i szarość. Bezdźwięk. Odrętwienie. Świat, w którym żadna istota ludzka nie jest w stanie przetrwać. Ale ja tak.

Nie pamiętam życia w jasnych kolorach. Wszelkie skrawki wspomnień dawno temu zostały wymazane lub skażone brzydotą mojej duszy. Funkcjonuję tylko z jednym założeniem, zakodowanym w moim chorym umyśle. Zemstą.

Co się dzieje, kiedy w ciemność bezczelnie wdziera się światłość? Oślepia cię, stawiając pod znakiem zapytania wszelkie zasady czy odgórnie ustalone reguły.

Przedostaje się do najciemniejszych zakamarków twojej duszy, ogrzewając ją nachalnie swoim blaskiem.

Czy ta światłość wie, że ze złej, potępionej istoty nie da się stworzyć nic, co będzie miało choć krztę dobroci? Ja jestem ciemnością, ona światłem.

Viviana, moja słodka Viviana.

- Bo jestem twoim życiem... Twoją miłością... Twoją żoną... Twoją Vivianą. - Każde słowo wypowiada bardzo dobitnie, co sprawia, że w pełni wracam do rzeczywistości. To słowa, które powtarzałem jej kilka razy. Byłem pewny, że wreszcie odszyfruje ich znaczenie.

Moja dłoń puszcza jej szyję i bezwiednie opada, żeby po chwili wrócić do pięknej twarzy. Viviana staje na palcach, po czym odważnie łączy nasze usta, prosząc tym samym o to, na co zdecydowanie zasługuje.

Może dla niej momenty, w których jej dotykam i ją całuję, są zwykłym aktem, lecz dla mnie za każdym razem to coś znacznie więcej. Za pomocą dotyku oddaję cześć każdemu fragmentowi jej idealnego ciała. Upijam się doskonałością ust, przejmując każdy oddech, jakby był moją szansą na przeżycie.

Obejmuję Vivianę, smakuje jej wargi, a następnie spijam ciepło z języka. Ubrania po kolei opadają na podłogę, odsłaniając jej perfekcyjną sylwetkę.

Biorę tę cudowną kobietę na ręce i kładę tam, gdzie jej miejsce. Na moim łóżku.

Pozwalam na chwilową ucieczkę, kiedy sięga po prezerwatywę.

W końcu zawisam nad nią, rozchylam jej uda i wchodzę. Seks? Kochanie się? Nie.

Z każdym ruchem wielbię wspaniałe ciało Viviany, gloryfikuję jej jestestwo, wynosząc ją na piedestał tego świata. Unoszę ją, przyciągając do siebie tak, jakbyśmy mieli stać się jednością. Wbijając się powoli coraz głębiej, poznaję od nowa to niesamowite ciało, zapamiętując każdy jego fragment. Z największą przyjemnością słucham jęków wydobywających się z cudownych ust. Tak długo, jak żyję, nie będę w stanie nasycić się jej wspaniałością. Gdyby tylko wiedziała, kim jest, jak bardzo jest ważna.

Moja Viviana, moja królowa.

Już niedługo.

VIVIANA

Budzę się, leżąc na brzuchu, i od razu napotykam jego spojrzenie. Przez długi czas po prostu wpatrujemy się w siebie. Nie wiem, czy to się działo naprawdę czy był to jedynie sen, ale mogłabym przysiąc, że w nocy gdzieś wychodził. Gdy wrócił, poszedł prosto pod prysznic.

Hmm. Nie chce mi się dzisiaj myśleć. Chociaż...

- Rozumiem, że nie leniłaś się pod moją nieobecność - mówi z oskarżycielską nutką w głosie.

Wiem, do czego pije. Uśmiecham się, nieco zawstydzona, na wspomnienie szybkiego kursu języka włoskiego u wujka Google.

- A ty? Co robiłaś? - pytam, zmieniając temat.

- Sprawdzałem, czy został jeszcze ktokolwiek, kto nie zdradziłby mnie za worek złota. - Mierzwi moje włosy, na co marszczę nos.

- Tak bardzo go nienawidzę - wypalam.
- Kogo?
- Emilio. Za wszystko, co ci zrobił - odpowiadam z żalem.
Może jestem dziwadłem, bo nie zamierzam wyjść za mężczyznę, którego kocham, jednak myśl, że ktoś może chcieć go skrzywdzić, tnie moje serce na milion kawałków.
- Powinienem odciąć Xaviemu język. - Przyciąga mnie do siebie.
- Przestań bredzić. - Kreślę palcami kółka na jego torsie.
- Nie zrobię tego, jeśli za mnie wyjdiesz.
Wzdycham ciężko i kręcę głową.
- Będę tęskniła za rozmowami z nim. - Uśmiecham się przebiegle, jednak znowu czuję ucisk w żołądku. - Rhys?
- Mhm? - mruczy wyraźnie zaalarmowany.
- Próbowaleś odnaleźć Antonio? Porozmawiać z nim, dowiedzieć się, czego chce?
Na moje pytanie cały się spina.

Aha!

- Nie ma już o czym rozmawiać. Chciał mnie zabić. Dlaczego miałbym się interesować bezsensownymi tłumaczeniami? Teraz to kwestia tego, kto pierwszy zginie.

O Matko kochana!

Oczywiście Rhys ma kolejne sprawy do załatwienia, więc znika na resztę dnia. Zostawia mnie pod opieką Mike'a i podsyła... Helen.
Widzę, jak ochroniarz oddycha z ulgą. Nic dziwnego. Wydaje się biedakowi, że będę zamęczała babunię, a jemu dam spokój.

Oj, nawet nie wie, jak się myli.

Kiedy Helen wypakowuje ciasteczka, siadamy przy blacie kuchennym, pijemy kawę i rozmawiamy. Dowiaduję się, że mama podobno przeprosiła i znowu zamknęła się w pokoju.

Wariatkowo.

- Za dużo myślisz. Jak tak dalej pójdzie, nabawisz się zmarszczek i siwych włosów. Wszyscy będą pytać Rhysa, dlaczego urzęduje ze swoją babcią - duka Helen, jedząc ciastko.

Stojący przy drzwiach Mike prychnął. Natychmiast morduję go wzrokiem, po czym odwracam się do staruszki.

- Mam po prostu wrażenie... Nie! Jestem pewna, że wszyscy, łącznie z tobą, coś wiedzą i nikt mi nic nie mówi.

- Ubzdurałaś sobie coś - mruczy, po czym robi słodkie oczka do ochroniarza. - Chodź tu, młody człowieku, zagramy w „Państwa, miasta”, żeby rozruszać jej mózgowicę, bo się zamuliła.

Mike nie wygląda już na takiego szczęśliwego jak jeszcze przed chwilą. Dobrze mu tak. Przez następną godzinę bazgrolimy na kartkach swoje odpowiedzi. Oczywiście babunia wygrywa i wciska kit, że marka samochodu na „A” to ambulans, a na „E” -

erka. No nic. Helen ma zawsze rację.

Przez cały dzień myślałam o pewnej rzeczy, a mianowicie o moim starym telefonie, który znalazłam w szufladzie, kiedy wyjmowałam prezerwatywę. Gdy wszyscy wychodzą, idę do sypialni Rhysa. Może on nie interesuje się tym, co kieruje Antonio, ale ja mam zamiar się dowiedzieć. Skoro facet ostrzegał przed niebezpieczeństwem, to chyba mnie od razu nie zamorduje. Sięgam po komórkę, która dzięki Bogu jest naładowana, i spisuję odpowiedni numer. Miller się wścieknie, lecz wolę wyjaśnić tę sprawę, zanim bracia się pozabijają.

ROZDZIAŁ 28



VIVIANA

Stoję przy przeszklonej ścianie, mocno zaciskając palce wokół kubka z kawą, i wpatruję się w teren za domkiem. Zagubiona po raz kolejny w swoich zwariowanych myślach, przeskakuję wzrokiem po źdźbłach trawy.

Obudziłam się z dziwnym przeczuciem; wrażeniem, że w każdej chwili może stać się coś strasznego, wręcz przerażającego. Może boję się, jak zareaguje Rhys, kiedy wyjdzie na jaw, że schowałam do torebki kartkę z numerem Antonio. Wciąż katuję swój, i tak przegrzany, umysł setkami pytań. Żyję, jakby w zawieszeniu między dwoma światami, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje dookoła.

Zauważam, że po szybie zaczyna się przesuwac jakiś cień. W tym samym momencie czuję, że do salonu wszedł Rhys. Gdy chwyta mnie od tyłu za biodra, przyciągając do siebie, po moich plecach rozchodzi się przyjemne ciepło.

- Dzień dobry, moja Viviano - mówi lekko zachrypniętym głosem, po czym opiera podbródek na czubku mojej głowy.

Wzdycham i oblizuję wargi. Zamykam oczy, aby bardziej wczuć się w tę chwilę. Chwilę, kiedy jesteśmy tylko my dwoje, a dookoła panuje cisza i spokój. To się zdarza bardzo rzadko.

- Dzień dobry - odpowiadam cicho.

- Co się dzieje?

Uśmiecham się gorzko na to głupie pytanie.

- Wszystko się dzieje - oznajmiam. - Tajemnice, sekrety, niedopowiedzenia. Emilio, Maria.

Teraz on wzdycha, sunąc dłońmi wzdłuż mojej talii.

- Wszystko w swoim czasie, Viviano. Jeśli o czymś nie wiesz, to tylko dla własnego bezpieczeństwa. - Unoszę powieki, koncentrując się na tafli wody w basenie.

- Ktoś chciał mnie zabić w drodze do twojego domu. Czy dlatego, że za dużo wiedziałam? Chyba nie, bo nie wiem nic. Czasami czuję się głupia i bezużyteczna. - Rhys się napina, a po chwili niemal wrywa mi kubek.

Słyszę dźwięk odstawianego naczynia, po czym ciepło jego ciała powraca.

- Żaden z nich już cię nie sięgnie - oświadcza z desperacją, obejmując mnie mocniej. - Obiecuję.

Odwróciwszy się, kładę dłonie na jego pięknej twarzy i opuszkami palców śledzę jej rysy, gładząc delikatny zarost. Przesuwam kciukami po pełnych ustach, jakbym podświadomie chciała go zapamiętać. Z zachwytem przyglądam się ciemnym tęczęwkom, które nie przestają mnie fascynować.

- Szefie. - Głos ochroniarza może zwiastować tylko jedno.

- Nie wychodź dzisiaj - proszę zboliałym głosem.
- To jedynie kilka godzin. Mam do załatwienia bardzo ważne sprawy - tłumaczy. Całuje mnie w skroń, po czym się odsuwa.
- No i wybucha. Mam dość.
- Wiesz, Miller? Ludzie poświęcają więcej czasu zwierzętom domowym niż ty mnie! Nikt mi nic mi nie mówi, zamykasz mnie w tym domu i po prostu zostawiasz samej sobie!
- Szeffie...
- Zamknij się! - wrzeszczę na Bogu ducha winnego ochroniarza, a następnie znów skupiam się na Rhysie. - Albo zacznij traktować mnie z należyтым szacunkiem, jak człowieka, albo oddaj mi moje życie! - Oczywiście tego ostatniego wcale bym nie chciała, jednak uciekam się do szantażu.
- Wyjeżdżamy za pięć minut - informuje pan i władca.

W klubie okazuje się, że nie ma dla mnie nic do roboty. Siedzę więc, stukając ołówkiem o biurko i zastanawiam, kiedy doprowadzę Rhysa do szału. Od czasu do czasu zerka na mnie ostrzegawczo znad okularów, ale to ignoruję. W końcu chęć wyprowadzenia go z równowagi, co graniczyłoby z cudem, mija i po prostu kręcę się na krześle obrotowym.

Kiedy zaczynam się bawić pierścieniem, który od niego dostałam, o czymś sobie przypominam.

- Rhys?
- Mhm? - mruczy, patrząc w ekran laptopa.
- „V” to Valenti, a „M”?

Zdejmuje okulary, a następnie opuszkami palców pociera powieki. Spogląda na mnie i widzę, że chce coś powiedzieć, lecz w tym momencie do gabinetu jak torpeda wpada Amelia. Za nią wkracza Xavi, zamykając za sobą drzwi.

Kuzynka Rhysa, najwyraźniej czymś podekscytowana, podchodzi do mojego biurka, po czym siada na brzegu.

- Hej! - wita się radośnie.
- Hej - odpowiadam oschle, co zdaje się umknąć jej uwadze.
- Tak sobie pomyślałam, że skoro masz dzianego faceta, a niedługo będzie Święto Dziękczynienia, weźmiesz od niego kartę i zabierzesz przyjaciółkę na zakupy - świergocze, gładząc lśniące, czarne włosy.

A! Teraz jest moją przyjaciółką? Teraz?!

Pfff! Ja jej zaraz pokażę przyjaciółkę.

- A wiesz co? Masz rację - stwierdzam ze sztucznym uśmiechem.
- Super! - wykrzykuje, klaszcząc w dłonie.
- Mike! - wołam stojącego za drzwiami ochroniarza. Po chwili wchodzi, rozglądając się z dezorientacją. - Mike, chciałabym cię zabrać na zakupy - oświadczam, szczerząc się.

Patrzy na mnie z przerażeniem, jakbym zaproponowała skok do wrzątku.

No dzięki.

- Po pierwsze, nie będzie żadnych zakupów. Xavier przywiezie wam to, czego potrzebujecie. Po drugie, Amelia robi wszystko to, co ja jej każę - oznajmia Rhys, który załapał, o co chodzi.

- Czyli nigdy nie była moją przyjaciółką? Miała mnie tylko zwabić do jaskini lwa? Super! - psioczę urażona.

- To nie tak...

- Poza tym - przerywam Amelii - Święto Dziękczynienia spędzę z babcią.

- Tak - potwierdza Miller. - W naszym domu. Czas, żebyśmy tam zamieszkali.

On chyba żartuje.

- Mam mieszkać pod jednym dachem z harpią Marią i psychicznym wujkiem? Nie wspominając, że jest tam też Luca, który mnie przeraża.

- Zjedzą z nami kolację i następnego dnia się wyprowadzą. To już ustalone - oświadcza.

- Chwileczkę. Chcesz, żeby moja babcia siedziała przy stole z ludźmi uzbrojonymi po samą szyję? - pytam z niedowierzaniem. - Moja mała, bezbronna Helen?

Rhys patrzy na mnie, jakbym spadła z księżycy, a potem unosi brew. W ślad za nim idą Amelia i Xavier.

- No co?! - wybucham.

- Daj spokój, Vivi. Twoja babcia pożre wszystkich żywcem - zapewnia Xavier.

Do Święta Dziękczynienia czas płynie bardzo wolno. Nic specjalnego się nie dzieje, ale czego można się spodziewać, żyjąc w zamknięciu jak więzień? Jedyne dziwne uczucie zagrożenia nie opuszcza mnie nawet na chwilę.

Dzień przed uroczystą kolacją oficjalnie przenosimy się z Rhysem do rezydencji. Źle się czuję w tym zamczysku. Plus w tym, że moi ulubieńcy nie wchodzą mi w drogę. W sądny dzień o piątej rano zostaję dosłownie wywleczona z łóżka przez Helen, a potem zagoniona do kuchni, żeby pomagać w przygotowaniach. Ten sam los spotyka Amelię. Przez pół dnia gotujemy, smażymy i pieczemy. Wieczorem pewnie będziemy wyglądać jak zombie, podczas gdy Maria będzie oślepiać Millera swoim blaskiem.

Kiedy wszystko jest już gotowe, idę na górę, żeby wziąć prysznic i ułożyć fryzurę.

Kończę robić makijaż, kiedy do pokoju wchodzi Rhys.

- Pomożesz mi? - zwracam się do niego, zakładając długą czarną suknię.

Odwróciwszy się, odgarniam włosy na ramię. Miller powoli zapina zamek, dysząc na moją szyję, a tym samym wywołując u mnie przyjemne dreszcze.

Odwdzięczam się, wiążąc starannie jego krawat.

- Gotowa? - pyta mój mafioso, przyciskając swoje czoło do mojego.

- Gotowa - odpowiadam cicho.

Chcę się odsunąć, ale obejmuje mnie mocno, przyglądając mi się uważnie.

- Chciałbym, żebyś w końcu to powiedziała. - Nie bardzo wiem, co chce usłyszeć, więc marszczę brwi. Kąciki jego ust unoszą się nieznacznie. - Chyba będę musiał cię upić, żeby to usłyszeć. - Ujmuje moją dłoń i wychodzimy z pokoju.

O co mu chodzi?

Schodzimy na parter, po czym idziemy do salonu, gdzie czekają już moi ulubieńcy – Emilio ze swoimi wspaniałymi potomnymi. Za nami pojawiają się Amelia i Xavier, trzymający pod rękę rozanieloną Helen.

Gdy rozlega się dzwonek, wszyscy odwracamy się automatycznie w stronę korytarza prowadzącego do głównego wejścia. Po chwili przychodzi Mike, któremu towarzyszy jakiś młody mężczyzna. Kolejny urodzony do noszenia garniturów przystojniak. Jest w nim jednak coś... Przynajmniej nie wygląda jak bliźniak Valentich. Jego ni to niebieskie, ni to szare oczy z kimś mi się kojarzą, lecz nie mogę sobie przypomnieć, o kogo chodzi. Jasnobrązowe włosy zostały jakby niedbale zaczesane na bok, a jego uśmiech jest wręcz czarujący.

Omiata wzrokiem pomieszczenie i... No tak, życie w niewiedzy ma pewne plusy. Wtedy można stać się dobrym obserwatorem. Nie umykają zatem mojej uwadze krótkie, aczkolwiek porozumiewawcze spojrzenia, które wymieniają z Millerem.

– Co tu robisz? – warczy Emilio, co zdaje się tylko bardziej rozbawić gościa.

– Czyż to nie jest dobra okazja, żeby podziękować za naszą wspaniałą rodzinę? Za wierność i oddanie? – pyta chłopak z lekką wyniosłością.

Emilio, bliski samozapłonu, odchodzi w kierunku jadalni z posłusznymi dziećmi drepczącymi mu po piętach.

– Miło – mówi gość, odprowadzając rodzinę wzrokiem, po czym zerka na mnie. – Więc w końcu się spotykamy.

Słucham?

Zerkam na Rhysa, który obejmuje mnie ramieniem, i z powrotem patrzę na nieznanego.

– Viviana Thomson – przedstawiam się, podając mu dłoń.

Ujmuje ją, delikatnie przykładając do niej usta, po czym cofa się o krok.

– Leandro Mancuso.

ROZDZIAŁ 29



VIVIANA

Po przedstawieniu zrobionym przez niby niespodziewanego gościa wszyscy udają się do jadalni. Razem z babcią oraz Amelią podajemy do stołu, podczas gdy księżna Maria grzeje krzesło swoim kościstym tyłkiem.

Rhys i Emilio znowu siedzą naprzeciw siebie u szczytu stołu. Helen zajmuje miejsce po prawej stronie Millera, natomiast ja po lewej. Obok babci siada Leandro, dalej Amelia i Xavier, przy mnie zaś Mike. Uparłam się, żeby został zaproszony na kolację, skoro spędza ze mną tyle czasu, a Rhys podejrzanie szybko się zgodził. Miejsca obok Emilio okupują oczywiście jego potomni.

Zapomniałam o jednym – każdy będzie musiał powiedzieć, za co jest wdzięczny. Podejrzewam, że to będzie szopka, tym bardziej kiedy okazuje się, że do tej pory w domu Valentich nie obchodzono tego święta.

Ku mojemu zaskoczeniu, pierwszy decyduje się mówić Rhys.

– Jestem wdzięczny... Wszyscy powinniśmy być wdzięczni za rodzinę. Za szczerość, lojalność i oddanie. – Jego ton zdecydowanie nie wyraża wdzięczności. Wlepia w Emilio poważny, wręcz morderczy wzrok. – Powinniśmy być wdzięczni też za wrogów, zdrajców i tych, którzy gryzą rękę, która ich karmi – dodaje głośniej.

Słodki Jezu!

Mam wrażenie, jakbyśmy zostali zamknięci w wielkiej torbie próżniowej i z każdym słowem Rhysa była z niej wysysana coraz większa ilość powietrza. Każdy siedzi jak na szpilkach, jakby stół był pod wysokim napięciem. Jedynie Helen, dosłownie udając głupią, rozgląda się z uśmiechem.

Mój wzrok pada od niechcienia na rozpiętą marynarkę Rhysa. Dopiero teraz zauważam wystający spod niej pistolet. Zszokowana natychmiast zerkam na jego twarz. Krótkim, lecz stanowczym spojrzeniem daje do zrozumienia, abym nie panikowała, po czym chwyta pod stołem moją dłoń, ściskając ją lekko.

Gdy kończy mówić, przychodzi pora na babunię. Prostuje się dumie, jakby miała strzelić przemowę u jakiejś królowej. Poprawia kołnierzyk białej koszuli i z gracją kładzie ręce na stole.

– Ja jestem wdzięczna za moją wnuczkę, Vivianę, i mojego nowego wnuka, Rhysa... – Prychnięcie dobiegające z drugiego końca stołu zdaje się jej nie rozpraszać. – Jestem wdzięczna także za to, że zostaliśmy tu przyjęci...

– Tak, siedzieć z takimi dolinami społecznymi to sama przyjemność – warczy Maria, na co Helen tylko się uśmiecha.

– Och, nie myśl o sobie aż tak źle – świergocze, pochylając się. – Nie przeszkadza mi to, kim jesteś, wręcz przeciwnie. Uważam, że to bardzo wspaniałomyślne ze strony

Rhysa, że cię przyjął pod swój dach.

Maria wpada w szal. Zrywa się z miejsca, z mordem w oczach.

- Nie mówię o sobie, tylko o tej...

- O tak! Moja wnuczka jest piękna, prawda? - Przerywa babcia.

Od kiedy uważa mnie za piękną? Phi!

- Ja! Ja jestem piękna, jestem marzeniem każdego faceta. Niejeden dałby miliony, żeby mnie mieć! - wydziera się, wymachując rękami.

Nie wiem, czy jest na całym świecie ktoś bardziej zakochany w sobie. Nie sądzę, a ta kobieta któregoś dnia wybuchnie od samozachwytu.

Babunia przybiera współczujący wyraz twarzy i przechyla głowę. O Matko kochana! Znam to! Zawsze tak robi, kiedy chce mi dopiec.

Mhm. Uwaga! Atak lwicy Helen, akt pierwszy, scena druga.

- Ach, bidulko, już rozumiem - mówi niby smutno. - Ty prostytutką jesteś.

Jasna cholera!

Nie chcę nic więcej słyszeć. Nie mam zamiaru uczestniczyć w tej dyskusji. Staram się skupić na stole uginającym się pod olbrzymią ilością jedzenia, kiedy Rhys uderza pięścią w stół.

- Siadaj! - krzyczy w kierunku Marii.

- Nie! Nic jej nie powiesz? Ona mnie obraża! Obiecałeś mnie bronić. Mówiłeś, że zawsze mnie obronisz.

- Ach, dziecko - wtrąca babcia. Mam ochotę skopać jej tyłek za tę niewyparzoną gębę. - Mąż mojej przyjaciółki powtarzał: „Ciebie kocham, inne pierdolę”. Dopiero później dowiedziała się, jak dosłowne to miało znaczenie.

- Maria, siadaj! - odzywa się Emilio. Dziewczyna natychmiast posłusznie zajmuje miejsce. - Skończymy tę szopkę i wyjeżdżamy - dodaje.

Zachwycona babunia każdemu nakłada jedzenie na talerz.

Pomimo że uwielbiam jej indyka, z trudem przetykam każdy kęs. Choć sytuacja zdaje się opanowana, mogłabym przysiąc, że słyszę strzelające w powietrzu napięcie.

Na dźwięk przestodzonego chichotu Helen unoszę wzrok i wywracam oczami, gdy widzę, że Leandro szepcze jej coś do ucha. Zerkam też na Marię, która wpatruje się z wściekłością w jeden punkt, zaciskając dłonie w pięści po obu stronach talerza.

Oddycham z ulgą, gdy nadchodzi pora na deser. Wstaję, zbieram naczynia, po czym pędzę do kuchni, aby odsapnąć od tego zgromadzenia.

Szczęśliwa babunia zmierza w kierunku jadalni, lecz zagradzam jej drogę, opierając dłonie na biodrach.

- Co ty wyprawiasz? - pytam oskarżycielsko.

- Ja? Ciasto niosę - odpowiada niewinnie.

- Nie czaruj mnie, ty mała harpio. Co to miało znaczyć?

- Oj, Vivi! Przestań tak spinać ten swój byczy zadek. Jeśli nie wyluzujesz, zejdziesz na zawał, zanim wyplujesz z siebie moje prawniki. - Okrąża mnie i wraca do jadalni, podczas gdy stoję jak wmurowana.

Stara wiedźma Thomson.

W trakcie deseru nie spuszczam z Helen morderczego wzroku, dzięki czemu

opanowuje swoje zapędy. Widzę jednak momenty, kiedy zaczyna ją nosić. Kilka razy też przyłapuję Rhysa na tym, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Oddycham z nieopisaną ulgą, gdy całe przedstawienie dobiega końca, a Emilio, Luca i Maria opuszczają dom.

Rhys, Xavier oraz Leandro udają się do salonu na drinka, a ja sprzątam razem z gwiazdą wieczoru i Amelią.

Kiedy wszystko jest już ogarnięte, idę do łazienki na górze, żeby się odświeżyć. Wychodząc z pomieszczenia, słyszę dzwonek do drzwi, więc schodzę na parter. Serce podchodzi mi do gardła na widok sceny w holu.

Przysięgam, że któregoś dnia wywożę Helen Thomson do zoo i wrzucę do klatki z lwami. No, może jednak nie, bo aż mam ciarki, gdy pomyślę, co te biedne zwierzęta by przeżyły.

- Babciu! - krzyczę do kobiety, która właśnie spoliczkowała nowo przybyłego gościa.

Co w nią dzisiaj wstąpiło?

Wszystkie osoby stojące wokół faceta odwracają się w moją stronę. Podchodzę i gromię staruszkę wzrokiem.

- Nie bądź surowa wobec babci. Tylko wyrównała rachunki - odzywa się mężczyzna, po czym spogląda na babcię. - Prawda, Helen?

- Nie Helenuj mi tutaj! Miałaś poczekać!

- Już czas, Helen. Już czas - oznajmia gość.

W siwych włosach można doszukać się jeszcze kilku kruczoczarnych, lecz jestem pewna, że stuknęła mu piątka z przodu. Jego oczy są takiego samego koloru jak u Leandro. Zauważam jeszcze coś, co mnie... Niepokoi? Nie, to nie to.

Odwróciwszy się, ujmuje moją dłoń, którą wyciągnęłam jakoś automatycznie.

Spoglądając dziwnie w moje oczy, uśmiecha się przyjaźnie.

- W końcu się spotykamy - przemawia. - Jestem Ottavio Mancuso, ojciec Leandro. Jestem też twoim ojcem.

Wszystko ustaje. Świat się zatrzymuje, kompletnie zamiera. Jak w zwolnionym tempie patrzę na Rhysa, który przygląda mi się uważnie, marszcząc brwi. Potem przenoszę wzrok na babcię - po raz pierwszy tego wieczoru jest poważna, wręcz zaniepokojona. Xavier oraz Amelia unikają mojego spojrzenia, a Leandro, z błyskiem zaciekawienia w oczach, zdaje się czekać na moją reakcję.

Najśmieszniejsze jest to, że wiedziałam.

Wszystkie te głupie analizy i bezsensowne przemyślenia to sposób, w jaki umysł bronił się przed prawdą, która każdego dnia sama rzucała mi się w oczy. Znam stojącego przede mną mężczyznę, podobnie jak jego nazwisko. Widzę, jak porusza ustami, lecz nie dociera do mnie żaden dźwięk. Nie mam pojęcia, co on mówi.

Kiedy mama kilka lat temu ukradła pieniądze z konta babci, szperałam w jej pokoju, aby sprawdzić, czy nigdzie ich nie schowała. Wtedy znalazłam karton wypełniony po brzegi fotografiami jednego faceta, na odwrocie których było napisane jego imię i nazwisko. Znajdowały się tam również zdjęcia usg. Moje zdjęcia. Tylko głupi nie dodałby dwa do dwóch. Ja postanowiłam to zignorować, zapomnieć o tym, wymazać z pamięci mojego ojca. Wprowadzić swój umysł w pewien stan odrętwienia.

Wykluczyć wszystko, co niewygodne.

Czy to jednak było mądre?

ROZDZIAŁ 30



VIVIANA

Od kilku minut stoję otępiała i gratuluję w myślach własnej głupocie. Sześć par oczu obserwuje mnie uważnie, jakby w oczekiwaniu... Nie! Jakby w przekonaniu, że za chwilę wybuchnę i trzeba będzie mi założyć kaftan bezpieczeństwa. Wszyscy wiedzieli, co dzisiaj nastąpi. Znowu zostałam oszukana.

- Viviano...

- Zamknij się, Rhys - wypalam wściekle, mordując go wzrokiem. Gładzę sukienkę, przybierając fałszywie radosny wyraz twarzy.

Boże! Ja chyba naprawdę popadam w jakiś obłąd.

Spoglądam kolejno na każdą osobę, zatrzymując się na tej jedynej, której ufałam przez całe życie.

- Może usiądźmy i porozmawiajmy - proponuję. Odwracam się, nie czekając na odpowiedź.

Wywracam oczami na swoje wahania nastroju, wzdycham i ruszam do salonu.

Podchodzę do stolika z alkoholem, po czym nalewam z karafki pierwsze lepsze cholerstwo. Siadam w fotelu i biorę spory łyk. Czuję nagłe pieczenie w gardle, więc mrugam pośpiesznie, żeby odgonić łzy. Gwałtownie wciągam powietrze, by pozbyć się nieprzyjemnego uczucia.

Po chwili dołączają do mnie pozostali, poruszając się niemal bezszelestnie. Słychać jedynie skwierczenie drewna w kominku po mojej prawej stronie.

Fotel obok mnie zajmuje Helen, na sofie siadają Rhys, Ottavio i Leandro, natomiast po jej bokach Xavier i Amelia.

- Czego tym razem się dowiem? Co jeszcze przede mną ukrywano? - pytam.

Spoglądam na Helen, marszcząc brwi. - Ty w ogóle chorujesz na serce?

Babcia, która jeszcze przed chwilą była spokojna, oburza się i morduje mnie wzrokiem.

- Nie! Żrę te cholerne tabletki, bo mam po nich fajny odlot. - Puka się w głowę.

I po co poruszyłam ten temat?

- Viviano - odzywa się w końcu najdroższy tatuś. - Wiem, że o pewnych rzeczach już się dowiedziałas, ale jeszcze więcej spraw pozostało do odkrycia. Musisz jednak wysłuchać do końca i nie wysuwać pochopnych wniosków. Dobrze?

Łatwo powiedzieć. To mnie wciąż się oszukuje.

- Więc słucham - mówię i biorę kolejny łyk alkoholu.

Ottavio kiwa głową, opiera łokcie na kolanach, a następnie pociera dłonie.

- Ojcowie Rhysa i Amelii byli moimi przyjaciółmi. Ich rodziny przybyły przed laty do Ameryki, tak jak moja. Był też Emilio, ale o nim później. W każdym razie osiedliliśmy się w Chicago. Nie będę kłamał, wszyscy urodziliśmy się jako członkowie mafii, ale rządzenie nowymi terenami to dopiero było coś. W Chicago mieszkały dwie wpływowe, bardzo bogate rodziny: Thomson i Miller. Ponieważ nie doczekały się męskich potomków, zawarliśmy pakt, zgodnie z którym mieliśmy rządzić razem. Wspólnie pilnować porządku i dbać o równowagę między mniejszymi organizacjami. Ojciec Rhysa ożenił się z Lianne Miller, a twój dziadek, George, chciał, żebym wziął za żonę twoją matkę...

- Gówniarą jeszcze była - psioczy Helen.

Ottawio uśmiecha się lekko.

- W końcu ożeniłem się z matką Leandro, która pochodziła z mniej poważanej rodziny, aczkolwiek też z wyższych kręgów społecznych. Małżeństwo zostało skrupulatnie zaaranżowane. Nie zrozumiesz wszystkich tych szczegółów i nie są one istotne w całej historii, ale to nie było małżeństwo z miłości - tłumaczy, jakby chciał się w jakiś sposób usprawiedliwić.

Zerkam na Leandro w poszukiwaniu oznak smutku czy żalu. Kiedy jednak przyrodni brat łapie moje spojrzenie, prychna.

- Wiem o tym, siostra. Mało co na tym świecie ma coś wspólnego z miłością, także spoko - przemawia z uśmiechem.

Dla niego może spoko, dla mnie już nie bardzo, bo zaczynam się nad czymś zastanawiać. Czy Rhys chciał mnie jako Vivianę Thomson, zwykłą, prostą kobietę, czy z powodu mojego pochodzenia, żeby umocnić swoją pozycję?

- Twój dziadek, George, był jednym z nas. - kontynuuje Ottavio. - Właściwie to naszym podwładnym. Ale niestety miał wady, o których dowiedzieliśmy się za późno: był uzależniony od alkoholu i hazardu. Dobrze się z tym krył, bo wszystko wyszło na jaw, dopiero kiedy przegrał całą fortunę. Oczywiście jako rodzina zrobiliśmy co w naszej mocy, żeby pomóc twojej babci, a George został odcięty od gotówki. W międzyczasie, podczas jednej z eskapad twojego dziadka, w jednym z naszych barów sam za dużo wypłem i dałem się omamić sporo młodszej kobiecie, twojej mamie. Helen o mało co mnie wtedy nie zabiła, jednak, nie oszukujmy się, twoja matka to...

- Samolubna zdzira - wtrąca Helen. - Nazywajmy rzeczy po imieniu.

- Babciu!

- Taka prawda! - wykrzykuje staruszka. - Jak trzeba było zrobić coś w domu, to dwie lewe ręce miała, za to od razu wiedziała, do czego ma dupę.

Panie, miej tę kobietę i nas wszystkich w swojej opiece.

- Już dobrze, kontynuujmy - mówi dawca spermy. - Niedługo potem okazało się, że twoja matka zaszła w ciążę. Chciałem zrobić wszystko, jak należy, być ojcem. Nie mogłem jedynie zostawić żony. Niestety ani ja, ani inni członkowie rodziny nie spodziewaliśmy się tego, co nastąpiło później. Twój dziadek, pozbawiony dostępu do wszelkich środków, udał się tam, gdzie uzyskał je bez problemu. Do rodziny Santini. Myny zebranych wyjaśniają, że wdepnął w gówno, lecz muszą wiedzieć więcej.

- Co to za rodzina? - pytam.

- Kartel narkotykowy. Handel narkotykami, bronią i ludźmi. Kiedy twój dziadek wyczerpał limit, postanowił dać coś w zastaw... A raczej kogoś. Ciebie - oświadcza Ottavio ze złością.

Z gardła Rhysa wydobywa się dziwny odgłos. Nie spoglądam na niego, jedynie kątem oka zauważam, jak bacznie mnie obserwuje.

Gdy uświadamiam sobie znaczenie tego, co właśnie usłyszałam, nie mogę złapać oddechu. Mam wrażenie, że ziemia pochłonie mnie za chwilę razem z fotelem, w którym siedzę. Mój dziadek. Osoba, którą miałam nadzieję kiedyś poznać. Mężczyzna, o którym babcia mimo wszystko opowiadała tyle wspaniałych historii. Walczę z cisnącymi się do oczu łzami, lecz uparte zaczynają płynąć po twarzy. Cały mój spokój szlag trafia.

Odstawiam szklankę na stolik oddzielający mnie i Helen od pozostałych, po czym ścieram wilgoć z policzków.

- Chciał mnie sprzedać? - pytam łamiącym się głosem.

- Bardziej podać wrogowi na złotej tacy całą naszą organizację. Planował cię oddać zaraz po urodzeniu. Miałaś być wychowana w rodzinie Santini, a później wydana za Vito. Wtedy kartel upomniałby się o część władzy, skoro córka jednego z najpotężniejszych ludzi mafii została żoną jednego z ich członków.

Wzdrygam się na myśl, że miałabym zostać żoną jakiegoś obcego faceta.

- Ten Vito...

- Nie jest już problemem - zapewnia Rhys.

Nagle coś jeszcze we mnie uderza.

Boże!

- Dziadek nie wyjechał, prawda? - Spoglądam na babcię, czekając na odpowiedź.

- Oczywiście, że nie! Osobiście odstrzeliłam mu ten pusty łeb. Potem spakowałam siebie i twoją matkę. Kiedy zamieszkałyśmy w Phoenix, zerwałam ze wszystkimi kontakt. Tak jakby.

- Ale co z tym, że Amelia mieszkała obok?

- Czysty zbieg okoliczności - wyjaśnia Helen.

- Te pieniądze, które moja mama dostawała niby na mnie i przepuszczała...

Wiedziałaś o tym? - zwracam się do Ottavio.

- Wiedziałem. Kilka razy zamierzałem interweniować, jednak Helen mi zabroniła. -

Wzdycha, zerkając na staruszkę.

- Chciałam, żebyś miała normalne życie - oznajmia babcia.

- Normalne życie?! - wybucham. - To było normalne życie? Odkładanie każdego centa, żebyśmy miały co jeść, żeby... Chwileczkę, a twoja emerytura?

- Dostawałam też przelewy, jednak nie mogliśmy wzbudzać podejrzeń. Zachowałam także nazwisko, czego w życiu by się nie spodziewali.

- Jak przeżyłeś? - pytam nagle ojca.

- George nie żył, a Helen i Emilia zaginęły, więc Santini zaczęli upominać się o to, co im obiecano. Jako że sprawowaliśmy władzę, szybko pokazaliśmy im, gdzie ich miejsce, odsyłając ich do Włoch. Nie minęło jednak wiele czasu, a coraz częściej dochodziło do zamieszek w mniejszych ugrupowaniach. Wyszło na to, że my, wielka rodzina starająca się utrzymać ład i porządek, nie dotrzymujemy słowa. W tym

samym czasie zaczęliśmy mieć podejrzenia wobec Emilio. Oczywiście miał podstawy, aby chcieć zemsty, skoro jako najstarszy syn został wydziedziczony przez ojca. To wszystko sprowadza nas do wieczoru, kiedy rodziny zostały zaatakowane.

- Amelia, może powinnaś wyjść - szepcze Rhys.

- Nie! - warczy dziewczyna. Coś mi podpowiada, że też słyszy tę historię po raz pierwszy.

- Tego wieczoru Emilio zadzwonił i poinformował, że musi jechać do jednego

z klubów. Ojciec Rhysa miał jakieś wątpliwości i poprosił mnie, żebym to sprawdził.

Jak tylko przyjechałem na miejsce, dowiedziałem się z radia o masakrze, więc

szybko zawróciłem. Kiedy dojechałem, nie było już nic. Jak wariat zacząłem szukać

dzieciaków w odpowiednich kryjówkach, ale ich nie znalazłem. Dopiero po kilkunastu

latach ukrywania się i poszukiwań odkryłem prawdę. Emilio, żeby uzyskać władzę,

współpracował z Santini.

- A powodem ataku byłem ja.

ROZDZIAŁ 31



VIVIANA

Gdy wypowiadam te słowa, Amelia chowa twarz w dłoniach i zanosi się płaczem. Jest mi... No właśnie, wstyd? Czuję się winna!

Xavier obchodzi kanapę, obejmuje dziewczynę, po czym ją wyprowadza. Czuję bolesny ucisk w sercu, kiedy pomyślę, że w jakikolwiek sposób przyczyniłam się do śmierci ich bliskich.

- To nie była twoja wina - mówi Ottavio. - Nie chodziło tylko o to, że twój dziadek niemal wymienił cię za długi. To była świetna okazja, aby Santini i inne kanalie znalazły się u władzy, więc ją wykorzystali.

- Dlaczego pojawiliście się właśnie teraz? - Przenoszę wzrok z Leandro na Ottavio.

- Bo nadszedł czas na zemstę - wyjaśnia ojciec. - Wróciłem pomścić moich przyjaciół, ich rodziny, mojego syna. Emilio przez wiele lat robił Rhysowi pranie mózgu, katował Leandro i innych. Zdradził rodzinę.

- I ty pozwoliłeś mu tutaj mieszkać? - pytam Rhysa z niedowierzaniem.

Spogląda na mnie nieobecny wzrokiem.

- Trzymaj przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej - oznajmia.

- I Emilio nie domyślił się, kim jestem? - zwracam się do niego nerwowym tonem.

- Och, ależ w pewnym momencie się domyślił - odpowiada kpiąco. - To właśnie doprowadza go do szału, bo nie wie, co się dzieje. Nie powinienem przecież wiedzieć, kim jesteś, prawda? A jednak jakimś cudem cię odnalazłem.

Wpatruję się w czarną głębię oczu, z której znów nie da się niczego wyczytać. Och, ile bym dała, żeby odnaleźć choć odrobinę emocji, dowiedzieć się, co myśli i czuje Rhys.

Pozostaje mi zadać pytanie, na które nie wiem, czy chcę poznać odpowiedź.

Z trudem przełykam ślinę i postanawiam mieć to już za sobą.

- Czy... Czy to, że chciałeś ze mną być, miało coś wspólnego z tym, kim jestem? Marszczy brwi, jakby nie był zaskoczony tą sugestią, lecz jednocześnie poczuł się urażony.

Czyżby?

- To, co powiedziała ci kiedyś Amelia, jest prawdą. Chciała sprawdzić, co u ciebie. Pojechałem z nią. Wtedy zobaczyłem cię po raz pierwszy - przemawia w końcu. - Musiałem jednak dowiedzieć się czegoś o twojej przeszłości, więc skontaktowałem się z Ottavio...

- Czyli od początku wiedziałeś, że jestem córką przyjaciela twojego ojca, że mój dziadek to pijaczyna, a babcia to mafioso w spódnicy. Pytam więc: chciałeś mnie jako mnie czy jako córkę Ottavio?

Moje słowa odbijają się echem w pomieszczeniu. Wszyscy zamierają. Rhys spuszcza wzrok na stolik między nami.

Czekam na odpowiedź.

I czekam.

I czekam...

...aż moje serce pęka.

Szybko wstaję i opuszczam salon. Idę przed siebie, ledwo widząc cokolwiek przez łzy napływające do oczu. Wszystko się zamazuje, tworząc dziwne bohomyzy. Kiedy wspinam się po schodach, podejmuję decyzję.

Wchodzę do sypialni, wyjmuję z szafy walizkę, a następnie rzucam ją na łóżko.

Pakuje tylko swoje stare rzeczy, nie bawiąc się w staranne układanie ubrań.

Zmierzam do łazienki, by zgarnąć kosmetyki, a kiedy wracam do pokoju, zastaję w nim babcię.

Choć chciałabym urządzić jej teraz awanturę, nie potrafię. Bez względu na wszystko wychowała mnie oraz chroniła. Jest moją zwariowaną, wkurzającą do szpiku kości Helen i kocham ją bezgranicznie.

- Dlaczego nigdy nic mi nie powiedziałaś? - pytam, wkładając kosmetyczkę do walizki.

- Och - wzdycha. - Robiłam wszystko, żebyś miała normalne życie i pomimo że czasami serce mi pękało, bo bywało ciężko, dałaś radę.

- I uznałaś, że teraz nadszedł czas, żeby zorganizować coś w rodzaju zlotu rodzinki Addamsów? - Wymachuję rękami. - Rzucić mi w twarz, że mam ojca i brata? Nie potrzebuję ich. Niech wracają, skąd przybyli, i trzymają się ode mnie z daleka! - wydzieram się, tracąc nad sobą panowanie.

- Vivi...

- A Rhys? - Przerywam. - Skoro wiedziałaś, kim jest, dlaczego nie miałaś nic przeciwko niemu? Sama przecież powiedziałaś, że chciałaś mnie przed tym chronić. Babcia przechyla głowę i wzdycha, robiąc dziwną minę.

- Vivi, dziecinko! Nadszedł taki moment, kiedy zdałam sobie sprawę, iż nigdy nie ułożysz sobie życia ze zwykłym chłopakiem z sąsiedztwa. To nie dla ciebie - przekonuje. - Podeptałabyś każdego biedaka, bo nie zauważyłabyś go, nawet gdyby padł przed tobą na kolana. Kiedy pojawił się Rhys, od razu wiedziałam, kim jest. Bardziej podobny do swojego ojca nie mógłby być. Przy nim po raz pierwszy stałaś się szczęśliwa, widziałam to. Poza tym, jeśli Emilio go śledził, mógł się już dowiedzieć, gdzie przebywasz. Gdy Rhys zapytał, czy może się z tobą spotykać, zgodziłam się. Oczywiście powiedziałam mu, że jeśli cię skrzywdzi, czeka go ten sam los, co Georga. Wiem jednak, że walczyłby o ciebie do ostatniego tchu. Może Helen Thomson jest zwariowana na milion różnych sposobów, ale wiem, że w tym momencie mówi poważnie.

- Kocham go, babciu. - Słowa wypadają z moich ust, a łzy wypływają z oczu.

Cholerna beksa, no!

- Wiem - odpowiada cicho. Siada na łóżku i poklepuje miejsce obok.

Podchodzę, po czym tulę się do kobiety, która oszukiwała mnie przez całe życie. Nie zamieniłabym na nic ani jednej spędzonej z nią chwili, jednak muszę oczyścić umysł.

Pomyśleć, wypłakać się.

- Ciebie kocham najbardziej na świecie - dodaję w końcu.

- Wiem, Vivi, wiem.

- Ale...

- Wiem. Chodź, znajdziemy ci jakieś bezpieczne miejsce, żebyś mogła odpocząć od tej bandy mafijnych świrów.

Pomaga mi się spakować, a następnie schodzi ze mną do holu, gdzie stoją Rhys, Ottavio i Leandro.

- Nigdzie nie pójdziesz - ożywia się małomówny do tej pory Miller.

- Rhys - mówi ostrzegawczo Ottavio. Mój ojciec, a jednocześnie człowiek, którego praktycznie nie znam.

- Powiedziałem, kurwa, że nie! - ryk mojego, już byłego, chłopaka roznosi się chyba po całym domu.

Za późno.

Ja, Viviana Anne Thomson, wnuczka Helen i Georga Thomsonów, córka Emilii Thomson i Ottavio Mancuso, przyrodnia siostra Leandro Mancuso i była dziewczyna Rhysa Millera vel Ricardo Valenti, myślałam, że uda mi się opanować zwariowaną naturę babci. Liczyłam też, że zdołam wyleczyć nadszarpnięty umysł Rhysa. Kto jednak naprawi mnie? Kto pokocha mnie czystą, nieskażoną kłamstwami, tajemnicami oraz intrygami miłością? Zdaje się, jakbym jeszcze wczoraj biegła z pracy do domu i z powrotem, przemieszczając się jedynie autobusem; jakbym była nic nieznaczącą dla otoczenia kobietą. A dzisiaj? Jestem córką jednego z najpotężniejszych niegdyś ludzi mafii. Przykładam dłoń do szklanej powłoki i opieram czoło o szybę oddzielającą mnie od świata zewnętrznego. Obserwując nocne życie Phoenix toczące się kilkanaście pięter niżej, staram się utrzymać na nogach. Przez pierwszy tydzień po prostu leżałam w łóżku. Nie myślałam, nie wspominałam, nie płakałam. Jedynie ochroniarze zakłócali mój spokój, zmuszając do jedzenia. Wtedy też dostałam okres. I dobrze, w tych okolicznościach niepotrzebne mi było rozmyślanie nad tym, co dalej. Pod koniec drugiego tygodnia poszłam do ginekologa i w końcu zaczęłam brać tabletki antykoncepcyjne. W trzecim tygodniu chciałam wrócić do pracy, ale obawiałam się spotkania z Rhysem.

Zaczęłam więc pić coraz więcej alkoholu. Od miesiąca nie widziałam Rhysa, babci i pozostałych. Nic o nich nie słyszałam. Gdy tylko tęsknota zaczyna od nowa rozrywać moje serce, sięgam po lekarstwo. Butelka wina albo dwie pomagają aż do następnego, gigantycznego kaca. Wtedy powtarzam cały proces.

- Jared! - wołam stojącą na korytarzu moją dzisiejszą niańkę. Taki był warunek Rhysa. Mogę tu zostać, ile chcę, jeśli hotel będzie obstawiony przez bandę mięśniaków. - Jared! - krzyczę ponownie. W końcu drzwi się otwierają. - Zamów mi coś mocniejszego - mówię, nie odwracając się.

- Nie mogę. Zabronione.

- Tak? - pytam kpiąco. - Przez kogo?

- Przeze mnie - odpowiada osoba, której z pewnością się tutaj nie spodziewałam.

ROZDZIAŁ 32



VIVIANA

Założył skórzaną kurtkę, znoszone jeansy oraz glany, co mnie trochę dziwi. Podchodzi do stolika niedaleko drzwi i kładzie na nim kask. Zerka na mnie, nieco rozbawiony, a następnie staje przy przeszklonej ścianie, obserwując ulicę Phoenix.

- Nie cierpię garniturów - oznajmia, jakby wiedział, o czym myślę.
- Czego chcesz, Leandro? - pytam. - Umawialiśmy się, że wrócę, kiedy będę gotowa. Wszyscy przystali na moją propozycję.

Zauważam, że drgają mu kąciki ust.

- No, może nie wszyscy. - *Ach, no tak, Rhys.* - Nie przyjechałaś na święta - oświadcza, unikając odpowiedzi.

To prawda. Było mi cholernie ciężko, jednak przerażała mnie już sama myśl o spędzeniu świąt w gronie rodziny, która nie do końca była moja. Poza tym, wtedy nie uniknęłabym spotkania z Rhysem, który nie potrafił nawet zadeklarować, kim dla niego jestem. Nie wróciłam z jeszcze jednego powodu - cholernego poczucia winy, które zjada mnie od środka.

Och, tak bardzo tęsknię za spędzaniem czasu z Helen.

- Jesteś Mancuso, a Mancuso nie uciekają. - Słowa mojego braciszka przebijają się do alei wspomnień w moim umyśle.

- Jestem Thomson. - Mam świadomość, że noszę nazwisko człowieka, który chciał mnie sprzedać, a to naprawdę boli. Ale właściwie to nazwisko babci i tego będę się trzymać.

- Hmm... Nie wiem, czy to nie gorzej - żartuje Leandro.

- Czego tak naprawdę chcesz?

Wzdycha, po czym siada na jednym z dwóch krzesel ustawionych przy stoliku w centrum salonu.

- Rodzinna interwencja - odpowiada śpiewnie, tworząc w powietrzu cudzysłów, na co wywracam oczami. - Rhys nie ma pojęcia, co wyprawia jego kobieta. Gdyby wiedział, do reszty powyrywałby sobie włosy z głowy. Teraz planuje przejście. Przygotowuje się do wojny i to zaprzęta jego umysł, ale rzuciłby to w cholerę, wiedząc, że upijasz się do nieprzytomności.

Coś dziwnego dzieje się z moim żołądkiem. Skręca się, jakby za chwilę miał zawiązać się w supeł i zrobić fikołka.

- Nie jego sprawa - stwierdzam, obejmując się ramionami.

- Mhm, tak sobie tłumacz. - Bierze jabłko ze stolika i przerzuca je z ręki do ręki. - Idź wziąć prysznic, bo wali od ciebie Daniels'em na kilometr. Potem coś zjemy, wyśpisz

się i pogadamy.

- Nie masz prawa mi rozkazywać. Poza tym nie jestem głodna.
- Jako starszy brat mam takie prawo. Mogę też sam wrzucić cię do kabiny, jeśli chcesz. Ale to by było dziwne, widzieć swoją siostrę... - Marszczy brwi, myśląc nad czymś, po czym się otrząsa.
- Spadaj - warczę.

Rozsuwam podwójne drzwi do sypialni, gdzie naprzeciwko wejścia znajduje się ogromne łóżko. Przechodzę przez pomieszczenie, skręcam w prawo, a następnie wchodzę do łazienki. Rozbieram się, biorę długi prysznic, po czym szoruję zęby. Nie chce mi się suszyć włosów, więc jedynie delikatnie wycieram je ręcznikiem i leniwie rozczesuję. Kładę się spać, zdając sobie sprawę, że kiedy się obudzę, będą wyglądać jak ptasie gniazdo.

Gdy otwieram oczy, widzę skrzyżowane nogi na pościeli po drugiej stronie. Unoszę wzrok na twarz mojego brata. Z rękami założonymi za głowę, szczerzy się jak wariat.

- Weź te buty z mojego łóżka! Najlepiej cały się weź i wracaj do... czegokolwiek, co zwykle robisz - psioczę zaspana.
- Och, daj spokój. Dopiero co się poznaliśmy, musimy nadrobić te wszystkie lata. Wiesz, takie rzeczy jak wkurzanie się nawzajem. Ja będę cię ciągnął za warkocze, a ty będziesz odstraszać moje dziewczyny.
- Masz dziewczynę? - pytam zaciekawiona.
- Hmm... Właściwie to żadnej konkretnej tak na poważnie. Kilka na telefon jednak się znajdzie - chwali się, jakby było czym.
- Super. Trafił mi się braciszek, który jest męską mafioso dziwką. Właśnie o tym marzą kobiety.
- Hej! To ja jestem starszy i mam prawo narzekać. - Kiedy spoglądam na niego ostrzegawczo, unosi ręce w obronnym geście. - Nie zamierzam jednak tego robić. Myśl o Helen biegnącej za mną z maczetą sprawia, że jesteś idealna. W środku i na zewnątrz, droga siostrzyczko.
- Dziękuję bardzo. - Robię skwaszoną minę.
- Jestem głodny - oznajmia. - Pójdę zamówić śniadanie, a ty w tym czasie się ubierz.

Po wyjściu najedzonego Leandro postanawiam zadzwonić do babci. Odbiera już po pierwszym sygnale, witając się radośnie.

- Przepraszam, że nie wróciłam na święta - mówię od razu.
- Nic się nie stało. Rozumiem, kochana, ja rozumiem. Chociaż żałuj, bo ominęła cię szopka stulecia. - Chichocze.
- Co się stało?
- Ottavio zaproponował, żebym przyjechała razem z twoją matką. Wyobrażasz to sobie? Ta z kolei jest nabuzowana, bo już nie dostaje pieniędzy, więc jak tylko wpadła do rezydencji, zaczęła chlipać, jaka to ona biedna. Potem poskarżyła się twojemu ojcu, że Rhys jej groził i nóż do gardła przystawiał, na co Ottavio stwierdził,

że szkoda, iż nie podciął jej tego gardła, bo wyświadczyłby światu przysługę.

- Rhys groził mamie?! - wybucham, robiąc wielkie oczy.
- Oj, tylko tyle wyłapałaś? W każdym razie, kiedy zauważyła, że twój ojciec nie stanie po jej stronie, zaczęła się do niego przymilać, aż mało nie udusiła biedaka swoim sztucznym biustem. W końcu Ottavio poprosił grzecznie, żeby się odsunęła, bo nie chciałby, żeby jej silikonowe podróbki pękły i zapaskudziły jego drogi garnitur. Dobrze, prawda? - rechocze Helen. *O Matko kochana, jaki wstyd. I z czego ona się cieszy?* Po chwili jednak wyobrażam sobie, jaką minę mogła mieć moja mama, i sama parskam śmiechem.
- Więc, kiedy przyjedziesz? - wypala babunia.
- Muszę wreszcie wrócić do pracy, jeśli mnie jeszcze nie zwolnili. Powinnam też pogadać z Amelią. Może jutro przeniosę się do naszego domu.

Wieczorem pakuję swoje rzeczy, zostawiając tylko to, czego będę potrzebowała rano. Mam zamiar wrócić do domu. Domu mojego i babci. Nagle drzwi do sypialni się rozsuwają, po czym staje w nich Leandro.

- Ubieraj się, zabieram cię na imprezę. - Klaszcze w dłonie.

Krzyżuję ręce na klatce piersiowej i przechylam głowę.

- Tak, właśnie tego najbardziej mi teraz potrzeba. Powiedz jeszcze, że idziemy do klubu Rhysa, a będę skakać z radości.
- Rhys ma kilka klubów, więc nie wiem, o który ci chodzi - udaje głupiego.
- Tak czy siak nigdzie się nie wybieram - oświadczam.
- Ale z ciebie nudziara.
- Nikt cię nie zmusza do przebywania w moim nudnym towarzystwie.
- No weź, siostra! Chcę spędzić z tobą trochę czasu, żeby cię lepiej poznać - tłumaczy.
- Możemy to zrobić tutaj. Zdradzę ci na przykład, jaki jest mój ulubiony kolor lakieru do paznokci - mówię ze sztucznym uśmiechem. - A! Możemy nawet wzajemnie je sobie pomalować.
- Wiesz, że jeśli w końcu się nie pokażesz, on tu przyjedzie? Ojciec jest już zmęczony trzymaniem go z daleka.

Jego słowa dają mi do myślenia. Jeżeli Miller ma wtargnąć do tego pokoju, to wolę iść na imprezę.

- Dobra - wzdycham.

Wchodząc do klubu, od razu czuję na sobie jego wzrok. Tego się nie da wytłumaczyć, ale po prostu wiem, że stoi dwa piętra wyżej, obserwując mnie. Leandro ciągnie mnie w stronę baru, choć wolałabym pójść do prywatnej łoży i schować się za kotarą, aby uciec przed spojrzeniem Millera. Gdy zajmujemy miejsca, brat zamawia dla siebie piwo, natomiast dla mnie... soczek pomarańczowy! Gromię go wzrokiem, na co zaczyna się śmiać.

- Ostatnio wlałaś w siebie wystarczająco dużo promili. Jeszcze przez miesiąc będzie z ciebie parował alkohol. - Oczywiście kapusie ochroniarze musieli zdać mu całą relację.

Niech mój cudowny braciszek sam spróbuje przetrwać na trzeźwo w tej komorze wypełnionej testosteronem bijącym od Millera. Zresztą to facet, więc nie zrozumie tego.

Obrażona sączę sok przez słomkę i mam zamiar za chwilę opuścić ten lokal. Nagle muzyka przestaje dudnić i zwalnia, na co wywracam oczami.

Świetnie, potrzeba mi jeszcze ckliwych piosenek, o niczym innym nie marzę.
Leandro, który zarzekał się, że chce spędzić ze mną czas, zagaduje dziewczynę siedzącą po jego lewej stronie. W końcu bierze ją za rękę i prowadzi w kierunku toalet.

Męska dziwka.

Zostaję w towarzystwie Mike'a, ale już po chwili czuję za plecami znajome ciepło. Moje nozdrza atakuje zapach, który mnie uspokaja, a jednocześnie doprowadza do szału. Powietrze gęstnieje w zastraszająco szybkim tempie.

Pocącymi się z nerwów dłońmi pocieram o czarne spodnie, gdy oddech Rhysa owiewa mój kark. W mojej głowie zaczyna wyc syrena, bo nie jest dobrze. Wręcz przeciwnie – sytuacja wygląda bardzo źle. Znaleźć się blisko niego po miesiącu to tak, jakby po długiej diecie dostać Big Maca.

O cholera.

Muska ustami płatek mojego ucha, wywołując przyjemne, choć niechciane dreszcze.
– Chodź ze mną – bardziej rozkazuje niż prosi.

Niewiele myśląc, zsuwam się z hokera. W pierwszej chwili mam ochotę wiać, jednak Rhys jest szybszy. Obejmuje mnie w pasie, a następnie prowadzi w kierunku pomieszczeń biurowych.

Gdy znajdujemy się na korytarzu, od razu zostaję przyciśnięta do ściany. Miller zaciska dłoń na moich biodrach i się nachyla.

– Liczysz się dla mnie ty jako ty. Nigdy nie zważałem na twoją przeszłość – mówię zdeterminowany, abym uwierzyła. Jednak nie ze mną te numery.

– Miesiąc nad tym myślałeś? Takie rzeczy się po prostu wie, nie potrzeba do tego głębszych przemyśleń – dyszę i staram się odgonić brudne myśli.

– To nie tak. Byłem wkurwiony. – Rhys Miller nigdy, przenigdy nie przeklinał w moim towarzystwie.

– Na co? Na kogo? – dopytuję.

– Nie powinnaś była się dowiedzieć, co robił Emilio, a już tym bardziej, co zrobił twój dziadek.

– Zastługuję, żeby to wiedzieć!

– Nie, moja słodka Viviano – mówi lekko zachrypniętym głosem, po czym muska kciukiem moją szyję. – Nie zasługujesz, żeby zaśmiecano twój umysł informacjami o ludziach, którzy cię nie szanują i z całą pewnością nie powinnaś myśleć, że ktokolwiek z wydarzeń było twoją winą. Nie zasługujesz, by żyć z poczuciem, że ktokolwiek chciałby cię skrzywdzić. Odpowiadając jeszcze raz na twoje pytanie, nie obchodzi mnie, kim jest twój ojciec, dziadek czy twoja babcia. Zawsze liczyłaś się tylko ty. Powiedziałem już, że jesteś moja. Mam dość ucieczek i niedomówień.

Przyjmij to w końcu do wiadomości, pogódź się z tym, bo ja cię nikomu nie oddam. Bądź jutro w pracy.

Odsuwa się i idzie w kierunku windy, zostawiając mnie samą.
Nie wierzę!

ROZDZIAŁ 33



VIVIANA

- Cześć, rodzinko! - wołam, wchodząc do domu.

W przedpokoju natychmiast pojawia się babcia, która obserwuje, jak Mike stawia moją walizkę.

- Coś nie tak? - pytam lekko urażona, bo nie wygląda, jakby się cieszyła.

- Nie, nie - wzdycha. - Tylko nie rozumiem tej całej przeprowadzki tutaj. Rhys w ciągu tygodnia i tak porwie cię do tego swojego zamczyska. - Wchodzi do kuchni.

- Chodź, napijemy się kawy, zanim pojedziesz do pracy!

Mike, jak zawsze, idzie na zewnątrz, a ja podążam za Helen. Przy stole na miejscu babci siedzi mama i błędzi ołówkiem nad rozłożoną gazetą. Zauważam, że przegląda oferty pracy.

Przysięgam, że za moment oczy wyskoczą mi z orbit, a szczęka roztrzaska się o płytki. Zerkam na Helen, która nastawia wodę i zaciska usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Wieszam torebkę na oparciu krzesła, a następnie siadam i jeszcze przez chwilę obserwuję Emilię kreślącą kółka wokół ogłoszeń. Mam wrażenie, że zaraz zrobi dziury w papierze.

- Szukasz pracy, mamó? - wyduszam w końcu.

Spogląda na mnie groźnie, zaciskając palce na ołówku.

- Tak! - wykrzykuje z udawaną radością. - Twój tatuś nie będzie mi już dawał pieniędzy. Sknera.

- No, w sumie to nie jest jego obowiązek - odpowiadam ostrożnie.

- Nie? Nie?! Wychowałam jego córkę! - wypala.

Helen wybucha śmiechem. Trzymając się blatu, wygina swoje ciało, niemal się dławiąc. Widzę, że matka aż poczerwieniała na twarzy. Trzaska ołówkiem o stół.

Tak, jestem w domu.

- Ty ją wychowałeś? Ty? - pyta babcia. - Wykończyłabyś nawet umarłego, a co dopiero dziecko. - Dolewa oliwy do ognia.

- Dziewięć miesięcy ją nosiłam. Ottavio ją zrobił, więc powinien się odwdzięczyć.

- A tobie nóżki to się pewnie same rozjechały? - parska Helen.

O Matko kochana!

Jadąc windą na górę, zastanawiam się, co powiem Millerowi. Jak mam się zachować? Jak w ogóle będzie wyglądała teraz praca z nim?

Na czwartym piętrze wysiadam, a następnie w towarzystwie Mike'a kieruję się do drzwi gabinetu Rhysa. Wchodzę bez pukania i stoję jak wryta.

Siedząca przy moim biurku kobieta natychmiast unosi wzrok znad dokumentów i patrzy na mnie, zaciekawiona, dużymi jasnozielonymi oczami. Blond włosy związała w koński ogon, który przełożyła przez ramię. Jest ładna, nawet bardzo.

Za bardzo!

Jednak, co gorsza, Rhys pochyla się nad nią i trzyma rękę na oparciu jej... Nie! Mojego krzesła. Spogląda na mnie, po czym powoli się prostuje.

- Viviano - wita się skinieniem głowy.

- Dzień dobry - mówię, starając się nie eksplodować.

- To jest Kate - przedstawia swoją koleżankę. - Przyjęliśmy ją pod twoją nieobecność, więc teraz to ona zajmuje się księgowością. Możesz pójść do biura obok, będziesz pracować z Xavierem - oświadcza.

Nigdy nie byłam wkurwiona tak jak w tym momencie. Nawet moja matka nie wyprowadziła mnie z równowagi do tego stopnia.

W co on gra?

Wymuszając uśmiech, odwracam się, po czym idę do sąsiedniego gabinetu z ochroniarzem drepczącym mi po piętach. Kiedy przekraczam próg, nie zważając na obecność Xaviera, rzucam torebkę na stół i opadam na krzesło, ciężko dysząc.

- Vivi... - odzywa się Xavi.

- Ani słowa - syczę, wlepiając wzrok w blat.

- Mikey! - woła radośnie.

Ochroniarz podchodzi do niego, po czym wyjmując z kieszeni spodni portfel. Wyciąga pięćdziesiąt dolarów, które wręcza zadowolonemu Xaviemu.

Chwileczkę, aż taka głupia to ja nie jestem.

- Czy wy właśnie...

- Tak - potwierdza Xavi, nie czekając, aż dokończę pytanie. - Mike obstawiał, że przyjmiesz to ze spokojem.

Zanim będę w stanie cokolwiek powiedzieć, ochroniarz znika za drzwiami.

- Vivi...

- Nie chcę z tobą rozmawiać, Xavier - warczę.

- Wiesz, że musisz się w końcu określić...

- Nic nie muszę. - Przerywam mu po raz kolejny.

Po co Rhys urządził tę szopkę z moim powrotem do pracy? Żeby rzucić mi w twarz swoją nową „mi amore pierdolę”? Cham jeden! Jestem tak nabuzowana, że mój mózg za chwilę chyba eksploduje i zapaćka cały sufit w tym jego mafijnym pierdolniku.

- Dobra - mówi cicho Xavi. - W takim razie do roboty.

Biorę dokumenty, które przede mną kładzie, i zerkam na przypięte do nich zdjęcie młodego mężczyzny.

- Kto to jest? - pytam już spokojniejsza.

- Nasz nowy dostawca. Dziedzic jakiejś destylarni - wyjaśnia. - Złożył ciekawą ofertę na dostawę alkoholi. Będziesz z nim negocjować.

- Mhm - mruczę, a w mojej głowie pojawia się pewien pomysł. Zupełnie jakby diabełek nasłany przez Helen majstrował przy moich wrażliwych szarych komórkach.

Przed zakończeniem pracy muszę jeszcze sprawdzić towar na zapleczu, więc opuszczam gabinet Xaviera. W tym samym czasie z biura obok wychodzi Miller wraz ze swoją śliczną księgową. Ponownie przyklejam uśmiech i wchodzę do windy razem z gołąbeczkami.

Jazda na parter w ich towarzystwie trwa dziwnie długo, jakbyśmy mieli minąć dwadzieścia pięter. Kątem oka widzę, że Miller stoi z rękami w kieszeniach i mnie obserwuje.

Niech sobie patrzy na swoją nową vita, moglie, czy jak to było.

Kiedy drzwi tej puszkii w końcu się rozsuwają, wybiegam z niej jak strzała. Po chwili przechodzę przez salę, witając kelnerów przygotowujących wszystko na wieczorną imprezę.

- Viviano, może pojechałybyś z nami na kolację? - proponuje nowy nabytek Millera zza moich pleców.

Zaciskam powieki i zgrzytam zębami.

Jeszcze czego!

Odwracam się do pary, która wygląda, jakby została wyjęta z okładki „Vogue’a”, i uśmiecham się bardzo słodko. Kate spogląda na mnie tak przyjaźnie, że przez ułamek sekundy mam wyrzuty sumienia, bo w tym momencie chcę ją skrzywdzić. Mam ochotę przeciągnąć ją za włosy po parkiecie, a potem przerobić jej idealnie dopasowaną bielutką garsonkę na zasłonki do pomieszczenia socjalnego.

- Nie, dziękuję - wyduszam.

- Jesteś pewna? - pyta Miller. Błysk w jego oczach mało nie doprowadza mnie do furii.

- Tak! - wykrzykuję, wymachując ręką. - Idźcie sami. Miłej kopulacji. Hmm... kolacji. Zażenowana wpadką stulecia, udaję się na zaplecze.

Po powrocie do domu jem zapiekanekę z serem, a właściwie zmuszam się, żeby coś przełknąć, po czym idę do salonu, aby obejrzeć wiadomości. Próbuję się skupić, lecz nic z nich nie rozumiem. Zastanawiam się, co robi Miller. Najpierw pieprzy jakieś farmazony, że niby liczę się dla niego ja jako ja i zawsze tak było, a potem zabiera inną do restauracji.

- Jeszcze się nie pogodziliście? - Babcia siada obok mnie na kanapie.

- Nie chcę o nim rozmawiać - mówię ostrzegawczym tonem.

- Ach, czyli jednak, no trudno. - Wzdycha.

Niby wychodzi z pokoju, ale co chwilę przystaje. Marszczę brwi, przyglądając się jej uważnie.

- Ty coś wiesz, Helen - stwierdzam oskarżycielsko.

Natychmiast się ożywia i odwraca ze szczęściem wymalowanym na twarzy.

- Chcesz wiedzieć to, co ja? - pyta.

- Śpiewaj mi tu!

- Ta księgową jeszcze do wczoraj pomagała Xavierowi, a dla Rhysa nie istniała.

Dzisiaj rano poprosił nagle, żeby pracowała w jego biurze - opowiada tak szybko, że

ledwo łapię, o co chodzi. Mrużąc oczy, zastanawiam się, po co ten cały cyrk. – Oj, Vivi, nie rozumiesz? Rhys się obraził, że zostawiłaś go na miesiąc. Musisz mu w końcu powiedzieć, że go kochasz.

– On się mści, a do tego mnie sprawdza? – upewniam się, na co babunia kiwa głową.

– A co ze mną? I skąd ty w ogóle masz informacje o tym, co się dzieje w klubie?

– Ja, Helen Thomson, wiem wszystko – odpowiada. – A jeśli chcesz postawić na swoim, to mam pomysł.

Hmm...

Pomysły i Helen w jednym zdaniu to bardzo złe połączenie, ale co mi tam.

– Gadaj – mówię.

Gdy staruszka przechodzi do konkretów, nie wierzę własnym uszom.

ROZDZIAŁ 34



VIVIANA

Po wyciągnięciu od Mike'a i Xaviera kilku istotnych informacji, pod groźbą powiedzenia Millerowi o ich zakładzie, wcielamy z Helen w życie jej diabelski plan. Mam nadzieję, że wyrobię się ze wszystkim do Sylwestra, który będzie już za trzy dni.

Nie mam wyjścia, muszę zdążyć.

Wchodzę do klubu z wypiętym biustem i uniesioną głową, a następnie dzielnie przemierzam drogę do pomieszczeń biurowych. Gdy wjeżdżam na czwarte piętro, podchodzę do drzwi wesołego gniazdka Rhysa i Kate. Pukam, po czym otwieram je, nie czekając na zaproszenie. O dziwo, gołąbki siedzą przy swoich biurkach, zajęte pracą.

- Dzień dobry - witam się radośnie.

Kate uśmiecha się ciepło, natomiast pan i władca tego, że tak to określe, imperium mafijnej rozpusty, marszczy brwi.

Węszy podstęp? Czyżby?

- Szefie - zwracam się uprzejmie do mości pana. - Potrzebuję firmowej karty. Skoro mam godnie reprezentować ten klub, to muszę elegancko wyglądać, nieprawdaż? Sama nie wierzę, co ja pitolę, ale przypominam sobie, żeby myśleć o efektach tej, jakże ciężkiej, wytężającej umysł i ciało, pracy.

Rhys gapi się jak sroka w gnat, a ja niewinnie trzepoczę rzęsami.

- Ach, tak - przemawia w końcu. - Spotkanie z Willsem.

- Tak, jestem już umówiona z Danielem - oświadczam.

- Z Danielem - powtarza głosem wypranym z emocji i unosi lewą brew.

- Tak. Żeby współpraca była udana, trzeba nawiązać z klientem bardzo bliską więź - tłumaczę śpiewnym głosem. - To przecież tak, jakby się wstępowało w związek małżeński, prawda? Dlatego chcę w odpowiedni sposób przedstawić mu naszą ofertę.

Pobij to, Miller!

- Mhm - mruczy, myśląc nad czymś przez chwilę, po czym uśmiecha się cwaniacko.

- W ofertę wchodzi dodatki czy personel też? - Przygląda mi się uważnie.

O nie! Nie będzie zmiękczał mojego zranionego serducha wspomnieniem naszego pierwszego spotkania. I jeszcze ten cholernie seksowny pomruk, który właśnie wydał... Mam ochotę wyprosić jego cudowną Kate i rzucić się na niego. Ale nie! Nie dam mu tej satysfakcji.

Gdy Rhys wreszcie wyjmuje z szuflady kartę, odbieram ją szybko, a następnie

wypadam z gabinetu, aby uniknąć odpowiedzi na kolejne pytania.

Wołam Xaviera oraz zdradzieckiego ochroniarza i wspólnie ruszamy do centrum handlowego. Oczywiście po drodze zabieramy Helen, która nagle ma ważną sprawę do załatwienia. Wymuszam na niej obietnicę, że nie będzie wtrącała się w moje zakupy. Niby się zgadza, ale to przecież Helen.

Idę z Xavierem do sklepu z bielizną, gdzie ekspedientki chyba go już znają, bo natychmiast do nas podchodzą, aby się przywitać. Kiedy nadchodzi pora, żebym powiedziała, czego szukam, moje policzki płoną, ale jakoś daję radę. Przypominam sobie, po co tu jestem i jaki chcę osiągnąć cel.

Wybieram kilka kompletów bielizny, łącznie z gorsetami, pasami do pończoch oraz innymi pierdólkami, po czym ruszam w kierunku przymierzalni.

Wchodzę do ogromnego pomieszczenia, w którym zmieściłyby się chyba wszystkie kobiety mieszkające na moim osiedlu. Najpierw postanawiam sprawdzić, jak będę wyglądać w czerwonym zestawie. Nie mam tyle odwagi, by nosić go na co dzień czy zakładać na specjalne okazje, ale przymierzyć przecież mogę. Przechodząc drogę przez mękę, wciągam kolejno części garderoby, po czym wkładam szpilki i przeglądam się w lustrze. Kiwam głową jak wariatka, na znak, że jest dobrze, a następnie odwracam się, żeby wybrać kolejny zestaw. W tym momencie otwierają się drzwi, w których staje Helen Thomson, mierząc mnie wzrokiem. Z tyłu dostrzegam jedną ze sprzedawczyń z przepaszającym wyrazem twarzy. Babunia patrzy uważnie na mój biust, robiąc niezadowoloną minę, więc automatycznie sama na niego zerkam.

Nagle ręce Helen pojawiają się pod moimi piersiami, unosząc je tak energicznie, że o mało co nie wyskakują.

- Co ty robisz, zgłupiałaś?! - psioczę i klepię ją po dłoniach, a ona mi oddaje. Dwie wariatki okładające się po rękach w sklepie z najdroższą bielizną. Cyrk na kółkach.
- Nie słyszałaś, że nie bije się starszych? Uschną ci te łapy - beszta mnie, po czym odwraca się do sprzedawczynie. - Nie macie takich modeli, które bardziej eksponują te wzgórza rozpusty?

Do tej pory niewzruszona dziewczyna zaczyna się rumienić, a ja chciałabym zapaść się pod ziemię.

- Nie, dziękuję. Ten rozmiar jest idealny - mówię do sprzedawczynie, po czym wkurzona patrzę na Helen. - A ty wynoś się stąd, już!

Staruszka wywraca oczami, odwraca się i zmierza do wyjścia. Zanim jednak opuści przymierzalnię, zatrzymuje się przy ekspedientce.

- Niech mnie pani nie żałuje, ona nie zawsze taka jest. W dniu, w którym otrzymuję emeryturę, pozwala mi posmarować chleb masłem, a jak ma bardzo dobry humor, to nawet herbatę pozwala wypić.

Odchodzi, a dziewczyna otwiera i zamyka buzię jak ryba. W końcu uśmiecha się sztucznie, a następnie zostawia mnie samą w przymierzalni.

I co ja mam zrobić z tą moją starą wredotą?

Wreszcie decyduję się na kilka konkretnych modeli, za które płacę oczywiście firmową kartą. Odwiedzamy jeszcze parę innych sklepów, po czym jedziemy do domu.

- Myślisz, że sprawdził już wyciągi z rachunku? – pytam Xaviera w drodze.
- Do rana będzie wiedział – zapewnia.

Rhys: Moja słodka Viviano, przeglądając wyciągi z kont, odkryłem coś bardzo interesującego. Mam nadzieję, że zakupione wczoraj rzeczy zostały wybrane z myślą o naszych prywatnych spotkaniach. To, co znajduje się pod nimi, jest przeznaczone wyłącznie dla moich oczu.

Dolewam sobie kawy, bo jeden kubek chyba nie pobudził wystarczająco moich szarych komórek, a następnie czytam wiadomość jeszcze dwa razy.

- A nie mówiłam? Już trzęsie tym seksownym tyłeczkiem ze strachu – śmieje się Helen, zerkając na ekran telefonu zza moich pleców.
- To chyba nie był dobry pomysł – jęczę.
- Oj tam. Zobaczysz, odechce mu się tej dziecinady.

No proszę, proszę. Helen knuje przeciwko wnusiowi.

- A może ten związek po prostu nie ma przyszłości? – żalę się.
- Gówno prawda!
- A co z tym facetem, którego poznałaś? – Zmieniam temat, bo mam wrażenie, że za chwilę pęknie mi serce.
- Ech... – wzdycha. – Jego maszt nie był wystarczający na te dzikie, nieposkromione wody.
- Biedny człowiek – mówię zamyślona. – Ludzie w twoim wieku w ogóle to jeszcze robią?
- Nie! Rozbieramy się do naga, żeby rozwiązywać sudoku!

Wysiadam z pojazdu w tym samym czasie, gdy pod klub podjeżdża Rhys... i Kate.

Super!

Gdyby nie to, że mam na sobie nowe zdobycze warte chyba więcej niż samochód, już bym uciekała. Muszę jednak trzymać się scenariusza, żeby wszystko przebiegło zgodnie z planem. Kieruję się więc do budynku z uniesioną głową i przy samym wejściu witam z gołąbeczkami. No dobra, nie robią nic, co mogłoby wzbudzić we mnie zazdrość, ale i tak żołądek mi się skręca.

Razem przemierzamy drogę do windy, a potem jedziemy na górę. Cały czas panuje absolutna cisza. Po wejściu do biura zdejmuję cholerny biały płaszcz, który wybrał Xavier, i siadam nad dokumentami.

Kiedy pojawia się mój współpracownik, ogarniamy zamówienia oraz dostawy na Sylwestra. Gdy jakąś godzinę później otwierają się drzwi, włoski na karku stają mi dęba. Zerkam na Xaviera, który przez moment robi dziwne miny do naszego szefa, po czym wychodzi z gabinetu. Biorę głęboki oddech i przysmykam powieki, słysząc zbliżające się powoli kroki. Opanowując w miarę emocje, otwieram oczy i przeglądam warunki nowej umowy. Dłonie Rhysa lądują na moich ramionach, a po chwili jego usta znajdują się przy moim uchu.

- Zjedz ze mną dzisiaj kolację.

Ha! Teraz?

- Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale jestem już umówiona z nowym dostawcą. -

Uścisk na ramionach staje się mocniejszy.

- Hmm... Rozumiem. To może lunch?

Mowy nie ma.

- Przykro mi, nie zdążę. Muszę się przygotować na wieczór - odpowiadam spokojnie.

- W takim razie jutro - proponuje.

- Hmm... Nie mogę. Muszę ugotować babci zupę.

Co za durnota! Lepszego pomysłu ta moja makówka nie miała?

- Ugotować zupę - powtarza z nutką rozbawienia w głosie.

- Tak. I upiec sernik - dodaję, pogrążając się.

- I upiec sernik - znów powtarza.

- Tak, właśnie tak.

- Mhm, rozumiem. Bądź gotowa jutro o siódmej. Żadnych więcej wymówek - mówi stanowczo, po czym opuszcza biuro.

Po wcześniejszym wyjściu z pracy wracam do domu i szykuję się na spotkanie z Danielem. Mój strój niewiele ma wspólnego z profesjonalizmem, lecz postanawiam się poświęcić dla dobra sprawy oraz kobiecej godności.

Kiedy jednak stoję przed lustrem, stwierdzam, że słowo „godność” jest pierwszym, które mogę skreślić z listy.

Co prawda założyłam garsonkę, ale wydaje mi się, że mój biust za chwilę eksploduje spod białego gorsetu, a gdy usiądę, z pewnością będzie widać koronkę pończoch.

Mike zawozi mnie do wyremontowanej restauracji i odprowadza aż na salę. Wystrój jest podobny jak w starym lokalu, lecz dostrzegam kilka drobnych różnic.

Daniel Wills siedzi przy stoliku pod oknem.

- Witam, panie Wills. - Podchodzę do stolika i wyciągam rękę.

Przystojny blondyn o niesamowicie niebieskich oczach natychmiast wstaje.

- Daniel - przedstawia się, całując mnie w dłoń.

- Viviana. Viviana Thomson.

Jak na gentlemana przystało, odsuwa dla mnie krzesło. Nie prowadziłam wcześniej negocjacji, dlatego pomimo przygotowania nie bardzo wiem, jak się zachować.

Między przystawkami a daniem głównym, i z pomocą wina, jednak znacznie się rozluźniam.

Prawie doszliśmy do porozumienia, gdy do restauracji wchodzi Rhys. Towarzyszą mu Xavier, Leandro, czyli mój wiecznie głodny braciszek, i... Kate.

Jej nie miało tu być! Zabiję Xaviera.

Zajmują stolik niedaleko, a Miller oczywiście siada w taki sposób, aby mnie widzieć.

No to zaczynamy.

Nigdy, przenigdy nie zarywałam faceta, a teraz czaruję Daniela i śmieję się jak idiotka z jego żartów. *Helen i te jej pomysły...* Założywszy nogę na nogę, kątem oka dostrzegam, jak szary materiał spódnicy unosi się, odkrywając fragment pończoch.

Natychmiast czuję na sobie wzrok Millera. Kiedy zerkam w jego stronę, zauważam, że jest w totalnym szoku. Bardzo dobrze, teraz może sobie jedynie popatrzeć i powoli przetykać tę cholernie gorzką pigułkę.

Czas przejść do kolejnego etapu części pierwszej. Proponuję klientowi, żebyśmy udali się do innego lokalu na drinka, a on bez wahania się zgadza. Przed wyjściem postanawiam jednak skorzystać z toalety. Kiedy myję ręce po załatwieniu potrzeby, tak, jak oczekiwałam, wchodzi on.

ROZDZIAŁ 35



VIVIANA

Przybiera poważny wyraz twarzy, wpatrując się czarnymi oczami w moje odbicie. Minął ponad miesiąc, odkąd byliśmy razem, a teraz wino wzmaga potrzebę, którą tak usilnie starałam się stłamsić.

Miller rusza w moim kierunku i nie zatrzymuje się, dopóki jego nabrzmiała męskość nie wbija się w moje plecy. Zatapia twarz w moich włosach, wdychając ich zapach. Z trudem przełykam ślinę, uświadamiając sobie, że to jednak nie był dobry pomysł.

W co my gramy?

Och, tak bardzo mi go brakuje.

- Rhys...

Zanim dokończę, zostaję gwałtownie odwrócona, a następnie posadzona na brzegu umywalki. Spódnica podejżdża do góry, a wzrok Rhysa wędruje w dół.

- *Meravigliosa*^[3] - mruczy, przesuwając dłonie w górę, aż do zakończenia pończoch. Kiedy jego kciuki dotykają moich ud, wymiękam. Czuję ucisk w podbrzuszu, serce wali jak oszalałe, a oddech przyspiesza. Palce Rhysa wędrują powoli ku górze, dręcząc moje ciało i umysł.

Cholera.

Diabełek nastany przez Helen przypomina mi jednak, po co tu jestem. Natychmiast rozlega się waginalny alarm, oznajmiający, że intruz znajduje się zbyt blisko.

O bezwzględni, okrutni bogowie seksu, moja kobiecość za chwilę zejdzie na zawoł. Dłonie Millera docierają do moich bioder i kierują się wyżej. Rhys gładzi materiał żakietu, po czym odpina dwa guziki, dostrzegając tym samym biały koronkowy gorset. Wtedy kładzie ręce pod biustem, ściskając, jak to nazwała Helen, wzgórze rozpusty.

- Są moje! - warczy, pochylając się.

Podświadomość wysyła sygnał, że czas zakończyć to przedstawienie, więc odpycham Millera, zsuwam się z umywalki, a następnie zapinam żakiet. Rhys nadal patrzy z pożądaniem na mój biust.

- Viviano - dyszy jak wygłodniałe zwierzę, które w każdej chwili może rzucić się na swoją ofiarę.

Spoglądam w kierunku drzwi, zastanawiając się, jak stąd wyjść, gdy te nagle się otwierają. Do pomieszczenia wkracza moja następczyni.

- Kate! - witam ją entuzjastycznie, a dziewczyna również nie kryje radości.

- Daj nam chwilę - mówi lekko zachrypniętym głosem Miller, zerkając w jej stronę.

- Och! - wyduszam. - Nie trzeba, muszę wracać do Daniela. Jestem blisko dobiecia

targu, podpisania umowy, nawiązania stosunków, także... - Urywam i szybko wychodzę.

Przechodząc przez salę, napotykam spojrzenie zadowolonego braciszka. Pokazuję mu środkowy palec, upewniając się wcześniej, że mój gość nie patrzy w tę stronę. Dopiero głośny śmiech Leandro przykuwa jego uwagę.

Daniel wstaje, zostawia pieniądze na stoliku, po czym podchodzi do mnie.

Opuszczamy restaurację, a następnie kierujemy się do jego samochodu, którym jedziemy do baru znajdującego się kilka przecznic dalej. Zamawiamy drinki i uzgadniamy, że umowę podpiszemy jutro w klubie.

Zgodnie z planem, który omówiłam wcześniej z moim najdroższym braciszkiem, proszę klienta, aby podwiózł mnie do hotelu, w którym się zatrzymał.

- Dziękuję za miły wieczór - mówię, kiedy jesteśmy już przed wejściem do lobby.

- Cała przyjemność po mojej stronie - mruży nieco zbyt zmysłowo, a ja chichoczę jak idiotka. - Hmm... Zostałem zaproszony do klubu na imprezę sylwestrową. Czy masz już jakieś plany?

Jest! Baza druga, zaliczona.

- Nie - odpowiadam.

Wygląda na zadowolonego.

- Chciałabyś mi towarzyszyć, Viviano?

Serio! Albo mam takie wrażenie, bo nie mogę wyrzucić Rhysa z głowy, albo ten facet naprawdę ma podobne maniere. Gdzie są ci mężczyźni, którzy zaczepiają kobiety, mówiąc: „Ej, laska! Poszwendamy się?”. Wymarli pewnie jak dinozaury. No nic, trzeba grać dalej, chociaż przy tym przystojniaku to żaden problem.

- Tak, Danielu, chciałabym. - Uśmiecham się.

Po wejściu do apartamentu Leandro od razu uderzam brata kopertówką w ramię.

- O mały włos nie zepsułeś mojego planu, głupku! Z czego się tak cieszyłeś?

- Wyluzuj, siostra. - Śmieje się. - Rhys prawie z kapci wyskoczył.

- Mhm, a Kate co tam robiła? - pytam.

- To był zupełny przypadek, że z nami przyjechała, serio. Akurat kończyli pracę i sam jej zaproponowałem, żeby do nas dołączyła.

Wzdycham. Nie chcę wdawać się w dalszą dyskusję, więc idę do jednej z dwóch sypialni, w której mam zamiar spędzić noc. Zdejmuję szpilki, po czym rzuca je w kąt. Zmęczone nogi aż pulsują, ale na szczęście mogą już odpocząć.

Po prysznicu wskakuję do łóżka i włączam telefon. Okazuje się, że mam mnóstwo nieodebranych połączeń od Rhysa. Nie zamierzam jednak oddzwaniać. Niech sobie myśli, co chce. Wybieram natomiast numer Helen.

- Vivi - szepcze babcia.

- Coś się stało? - pytam zaniepokojona.

- Rhys tu jest, czeka na ciebie - odpowiada cicho.

- Po co przyjechał? Kate już mu się znudziła? - żartuję.

- Oj tam, przecież wiesz, że ją tylko wykorzystał. Zaraz mi tu z nerwów pogryzie

tapicerkę.

- Helen, czy ty wymiękasz?
- Ja? W życiu! - zapewnia. - Tylko powiedz mi, co mam teraz z nim zrobić.
- Nie wiem. Może napijcie się koniaczku albo poczęstuj go cygarem?
- Pomiziam go po pleckach, nakarmię ciasteczkami i upiję koniaczkiem.
- Moja wariatka! - Śmieję się - Dobranoc, knujo.

Następnego dnia Leandro podwozi mnie do klubu, gdzie czeka już Daniel, z którym ostatecznie dobijam targu. Uciekam na resztę dnia, zanim wkurzony Miller zdoła mnie złapać w swoje sidła.

Zachciało mu się paradować przede mną z Kate? To niech cierpi.

Dzisiaj Sylwester. Zgodnie z planem zakładam dres i pakuję do torby ciuchy na zmianę, po czym jadę do pracy. Kiedy tylko wchodzę do klubu, wraz z całą ekipą zajmuję się sprawami organizacyjnymi.

Istny zapiernicz.

Rhys zapewne siedzi w swoim biurze, bo przez pół dnia go nie widać, natomiast Kate pomaga w przygotowaniach. Nawet przynosi mi kawę, uśmiechając się ciepło. Dlaczego nie może być wstrętna jak Maria? Wtedy byłoby mi łatwiej ją znienawidzić. Amelii nie ma w klubie. Po tym, czego się ostatnio dowiedziała, postanowiła odwiedzić rodziców adopcyjnych. Mam nadzieję, że niedługo wróci i będziemy mogły zacząć od nowa. Kiedy wszystko jest już gotowe, odpoczywam przez chwilę w biurze Xaviera, a godzinę przed imprezą upewniam się, że wszyscy wtajemniczeni zajęli swoje miejsca. Potem idę do łazienki, gdzie biorę prysznic i zakładam kolejny, tym razem czarny, komplet koronkowej bielizny, która zdecydowanie więcej odkrywa, niż zasłania.

Helen i te jej cholerne pomysły...

Jeśli facet jest zainteresowany kobietą, to poleci na nią, nawet jak ta nosi babcine reformy. Zarzucam na chwilę szlafrok, układam włosy, po czym robię makijaż. Gdy kończę się szykować, rozlega się natarczywe pukanie do drzwi. Podchodzę do nich i otwieram je, lekko uchylając.

Na korytarzu stoi Rhys Miller.

- Rhys? Coś się stało? - pytam
- Przyszedłem zapytać, kiedy będziesz gotowa - oznajmia, zatapiając dłonie w kieszeniach spodni.
- Hmm... Nie wiem, ale powinnam zdążyć przed przybyciem Daniela.
- Daniela? - Patrzy na mnie tak, jakbym powiedziała, że za chwilę nastąpi koniec świata.
- Tak. Jako jedyny poprosił mnie, żebym była dzisiaj jego osobą towarzyszącą. Miller przeciska się, aby wejść do łazienki.
- Dość tych gier, Viviano - mówi szorstko.
- Nie wiem, o czym mówisz - kłamię.
- Jesteś moja i to ze mną pójdziesz na dół - informuje pan i władca.

- Nie należę do nikogo. Do. Nikogo. - odpowiadam wkurzona.
Ujmuję moją dłoń, wskazując pierścień, który widnieje na palcu serdecznym. Nie zdjęłam go, nie byłam w stanie tego zrobić.
- A to? - pyta, a następnie pochyla się i szepcze to, co zawsze: - Moja.
Potem wychodzi.

Ech...

Wciskam się w czarną sukienkę, zakładam srebrne sandałki na szpilce, po czym zjeżdżam na parter i kieruję się na salę. Widzę, że przy barze gromadzą się pierwsi goście, wśród których jest też Daniel. Podchodzi do mnie i prowadzi do łoży, w której siedzą już Leandro, Xavier oraz Ottavio. Z tym ostatnim nie miałam jeszcze okazji porozmawiać od czasu pamiętnej dyskusji w rezydencji Rhysa. Może dzisiaj się uda.

Jakiś czas później pojawia się Kate, a potem Rhys, którego wzrok niemal wypala dziury w ciele niczego nieświadomego klienta. Zaczynam mieć wyrzuty sumienia.

Cholera.

Rhys idzie porozmawiać z grupką facetów w łoży obok, natomiast Daniel prosi mnie, żebym z nim zatańczyła. Gdy schodzimy na parkiet, muzyka zwalnia.

Super.

Pomimo że staram się utrzymywać między nami dystans, Wills przyciąga mnie bliżej. Idylla nie trwa jednak długo, bo nagle zostaje odepchnięty przez Millera.

- Co ty...

- Dość tego. - Przerywa mi rozwścieczony Rhys. - Teraz sobie porozmawiamy. - Nie dając mi dojść do słowa, obejmuje mnie stanowczo i prowadzi w kierunku korytarza, gdzie udaje mi się wyrwać z jego uścisku.

- Co ty robisz, Rhys?! - wybucham.

- Mam dość tych gier!

Jeszcze nigdy nie widziałam u niego tylu emocji jednocześnie. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek był aż taki wkurzony. Teraz stoi przede mną furiat.

- Ty? Ty masz dość?! Nie ja to wszystko zaczęłam! - wrzeszczę.

- Nie? Zmuszasz mnie, żebym przy świadkach wyrwał serce pieprzonemu dostawcy!

- A ty znalazłeś sobie Kate! - odbijam piłeczkę.

- Uciekłaś ode mnie na miesiąc!

- A ty jeszcze dłużej mnie okłamywałaś!

- Bo cię...

- Wiesz co? - Przerywam mu. - Idź do swojej kobiety. Ja wracam do domu.

Odchodzę i wciskam przycisk przywołujący windę, aby pojechać na górę po torbę z rzeczami.

Rhys przylega do moich pleców i pochyla się tak, że czuję na twarzy jego oddech.

- Jestem ze swoją kobietą - warczy.

- Idź do Kate - rozkazuję.

- Jestem w stanie postawić ten klub i inne moje nieruchomości na to, że Kate wolałaby twoje towarzystwo - oświadcza, a ja prychem.

Co on...? Że co?

Odwracam się do niego powoli.

- O czym ty mówisz? - pytam, a jemu drgają kąciki ust. - Ty dupku! - Wchodzę do windy, a on za mną. - Wyjdź stąd, Rhys, niedługo będzie dwunasta. Nie chcę przez cały następny rok chodzić przez ciebie wkurzona.

- Możesz... Możemy go spędzać inaczej - przekonuje.

Gdy drzwi się zasuwają i ruszamy na górę, naciska jakiś guzik.

Świetnie, teraz utknęłam z nim w metalowej puszcze.

Kiedy do mnie podchodzi, wiem, że to koniec. Ujmuje moją twarz i zderza nasze usta, od razu przechodząc do agresywnego pocałunku. Wpijając się w moje wargi, łączy nasze języki, które płaczą się zachłannie i niecierpliwie, spragnione siebie po długiej rozłące. Jego drżące dłonie wędrują do materiału mojej sukienki, a między nami wybucha pożądanie. Tak bardzo potrzebujemy swojej bliskości, że jest ono wręcz namacalne. Minął przecież miesiąc bez niego, miesiąc bez nas.

Kiedy w końcu przerywamy pocałunek, wciągam głęboko powietrze, natomiast Rhys sunie wargami po mojej twarzy i szyi.

- *Mi manchi*^[4] - szepcze między pocałunkami. - *Mi manchi cosi tanto, Viviana*^[5].

Nie mam pojęcia, o co chodzi. Nie wiem, co on mówi, ale niech nie przestaje. Proszę, niech tylko nie przestaje.

Gdy dociera do dekoltu, wydaje pomruk zadowolenia, lecz po chwili wędruje z powrotem do góry, aż do ust. Składa na nich finalny, krótki pocałunek, po czym przyciska swoje czoło do mojego, nie odrywając wzroku od moich oczu.

- *Tu, Viviana. Tu sei tutto per me*^[6] - przemawia drżącym od emocji głosem. - *Tutto*^[7].

Za cholerę nic nie rozumiem, za to moja wagina chyba nauczyła się włoskiego, bo cieszy się jak walnięta. Rhys powoli opada na kolana i unosi sukienkę, przyglądając mi się uważnie.

- Czy ty, Rhys Miller, właśnie padłeś na kolana, żeby mnie przeprosić? - pytam z triumfalnym uśmieszkiem, który zostaje odwzajemniony.

- Jeśli tego sobie życzysz, droga Viviano, to tak.

Rozszerza moje nogi, zrywa koronkowe majtki i, nie czekając dłużej, wpija się ustami w moją kobiecość. Jęczę, gdy muska językiem łechtaczkę i muszę się przytrzymać relingu, by nie upaść. Jestem już na granicy orgazmu, więc zaczynam się wiercić. Wtedy Rhys chwyta mnie za biodro, unieruchamiając, a palce drugiej ręki zagłębia w moim wnętrzu, całkowicie przejmując kontrolę. Kiedy wydaje mi się, że już dłużej nie dam rady, moje myśli biegną jednak w zupełnie innym kierunku.

Cholera, no!

Przypominam sobie, że jestem tu dzięki diabelskiemu planowi Helen. Gdyby nie ona, język i palce włoskiego mafioso nie wyczyniałyby teraz cudów między moimi udami. Staram się o tym jak najszybciej zapomnieć i rozkazuję namolnemu babsku, żeby wylazło z mojej głowy. Niestety bezskutecznie.

- Heleeeen! - krzyczę, odrzucając głowę, gdy uderza we mnie spełnienie.

Wszystko zamiera oprócz pulsowania wilgotnej kobiecości.

Jasna cholera! Kto podczas orgazmu wykrzykuje imię własnej, ześwirowanej babci?

O, wiem! Ja! Jej równie ześwirowana wnuczka. Ale przypał.

Powoli opuszczam głowę, aby spojrzeć na zszokowanego Rhysa, ale ten wstaje z uśmiechem.

- Wiedziałem - mówi.

Rozpina pasek i spodnie, unosi mnie, po czym wbija swoją męskość w rozgrzane wnętrze. Przyciska mnie do chłodnej metalowej ściany, zsuwając dłonie na pośladki, a następnie porusza się tak szybko, że niemal od razu znajduję się na skraju szaleństwa. Z każdym ruchem chcę... potrzebuję więcej. Dyszę, oplatając go mocniej rękami i nogami, jakby nie był wystarczająco blisko, i jęczę, kiedy wchodzi coraz głębiej. Zaczynam drżeć, zaciskając się na nim, podczas gdy on prowadzi mnie na sam szczyt. Tym razem krzyczę jego imię, które odbija się echem o ściany, kiedy mierzwię jego nienaganną fryzurę. Niemał natychmiast Rhys podąża za mną z gardłowym pomrukiem. Przez chwilę dochodzimy do siebie, uśmiechając się triumfalnie, aż Rhys poważnieje. Podtrzymując mnie, sprawdza godzinę na zegarku zdobiącym jego nadgarstek, po czym z błyskiem w oku spogląda na mnie.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Viviano.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Rhys.

Jeśli cały rok taki będzie, nie będę miała nic przeciwko temu.

ROZDZIAŁ 36



VIVIANA

Z zaćmionym jeszcze umysłem, biorę Rhysa pod ramię. Opuszczamy komorę testosterono-feromonalną i idziemy do jego biura. Po wejściu do pomieszczenia Miller zdejmuję marynarkę, a ja podchodzę do przeszklonej ściany, aby zobaczyć, co dzieje się na dole. Wśród wielu zupełnie obcych mi ludzi odnajduję wzrokiem mojego braciszka, który stojąc przy barze, wpija się w szyję rozochoczonej kobiety. Kawalek dalej mój ojciec rozmawia z jakimś mężczyzną, natomiast z łoży, w której niedawno siedzieliśmy, wychodzi Kate. Zmierza w kierunku toalet, trzymając za rękę piękną brunetkę.

Czy one idą...? Tak, to prawda! Jednak lubię tę dziewczynę.

Jeszcze przez chwilę obserwuję tłum, aż dostrzegam Daniela, który błądzi między gośćmi, popijając szampana i rozglądając się nerwowo.

Nagle za moimi plecami pojawia się Rhys. Sunie dłońmi po moich biodrach w kierunku brzucha, po czym przyciąga mnie do siebie. Pochyliwszy się, składa na moim policzku delikatny pocałunek.

- Szuka cię - mówi cicho, jakby wiedział, o czym myślę.

Dziwne poczucie winy rozlewa się falami po moim organizmie. Zaczynam się zastanawiać nad jedną rzeczą.

- Nie przeszkadzało ci, że wtedy po kolacji pojechałam z nim? - Przygryzam dolną wargę, ciekawa jego odpowiedzi.

Usta Rhysa wędrują powoli do mojego ucha, cudownie drażniąc skórę i wywołując dreszcze, które natychmiast spływają do chciwej, bezwstydnej kobiecości.

- Viviano Thomson - przemawia. - Gdyby Wills ośmielił się położyć na tobie swoje łapy, a nie ulega wątpliwości, że chciałby to zrobić, nie przebywałby teraz w tym klubie i nie pił mojego szampana. Wiesz, dlaczego?

Och, wiem i to bardzo dobrze! Dlaczego więc schowana do tej pory głęboko zła część mnie chce to usłyszeć?

- Dlaczego? - pytam.

- Bo rozrywałbym jego ciało kawałek po kawałku, wrywałbym mu serce.

Zapewniam cię, że po wszystkim nikt by go nie rozpoznał - oznajmia Miller.

- Straciłbyś dostawcę - żartuję.

Głupia! Co się ze mną dzieje?

- Ach! Moja słodka, słodka Viviano. - Wzdycha, przyciągając mnie bliżej. - Mógłbym stracić wszystko, ale nigdy nie pozwolę, żeby ktoś odebrał mi ciebie.

Od naszej przygody w windzie minęły dwa dni. Bardzo... produktywne dni. Właśnie dochodzę do siebie po kolejnym orgazmie – ciało pomału przestaje drżeć, a wzrok powoli się wyostrza. Miller opiera się o zagłówek łóżka, a następnie przyciąga mnie tak, że siedzę między jego nogami.

- Wyjdź za mnie, Viviano.

I znowu to.

- Rhys... Nie psuj tego. Nie możemy przez jakiś czas po prostu się poznawać? Być jak każda normalna para?

- Ja nigdy nie będę normalny. - Wzdycha. - My nigdy nie będziemy normalni. Oczywiście, że nie będziemy. Jak można wprowadzić kogoś, kto żył w świecie wiecznego mroku, do świata barw i żądać, by natychmiast wszystkie rozróżniał?

- Spróbujmy - proponuję. - Wiesz? Może powinnam pobyć trochę z babcią.

Moglibyśmy umawiać się na randki, a ty od czasu do czasu mógłbyś kupić mi kwiaty.

- Kwiaty - mówi. - To da się zrobić. Ale mieszkanie osobno? Mowy nie ma.

- Rhys - upominam go. - I tak będziemy widywać się w pracy, a fajnie będzie się poznawać jakby od nowa, bez tajemnic.

- Fajnie - znów powtarza.

Co on ma z tym papugowaniem?

- Tak - potwierdzam. - Chociaż przez kilka dni.

Zapada cisza. Mogłabym przysiąc, że słyszę jego myśli. Spina się i rozluźnia na zmianę. Czekaając na odpowiedź, układam usta w dzióbek, a mój wzrok wędruje na przemian w lewo i prawo.

- Tylko kilka dni - odpowiada w końcu.

Po porannym prysznicu ubieramy się i idziemy zjeść śniadanie. Wykończona po łóżkowych wyczynach, idę na ławiznę i przygotowuję tosty. Kiedy siadamy przy kuchennej wyspie, słyszymy nadającą Helen, która musiała właśnie wejść do domu, oraz mruczącego coś pod nosem Mike'a.

- Cześć, kochani - wita się radośnie, wpadając do kuchni. Robi głupią minę, po czym obwąchuje powietrze, jakby była psem gończym. Przestaję przeżuwać i przyglądam się uważnie zwariowanej staruszce. *Hmm... ciekawe, o co jej chodzi.* - Powiew seksu i biznesu - wzdycha rozanielona. - To, co kocham najbardziej.

Szybko przełykam jedzenie, a następnie pijam kawę. Dlaczego ona nie może zachowywać się jak inne babcie? Mogłaby na przykład robić sweterki na drutach i takie tam.

- Witaj, Heleeeen - odpowiada nagle Rhys.

Wypluwam napój z głośnym parsknięciem, mało się nie dławiąc. Sięgam po serwetkę, przyciskam ją do ust i z dudniącym w uszach tętnem zerkam na Millera. No proszę, proszę. Panu sztywniakowi w garniturku poczucie humoru się włączyło. Kiedy to taki luzak się z niego zrobił?

Zupełnie jakby słyszał moje myśli, uśmiecha się cwaniacko.

- Coś nie tak, moja Viviano? - *No, jeszcze się pyta.* Przybierając pewną siebie pozę, patrzy na staruszkę. - Helen, jestem ci winien podziękowania za tak dobrze ułożony

plan zemsty, skoro ostatecznie Viviana znalazła się w moim łóżku. No i proszę, znowu to samo. Zachowują się tak, jakby mnie tu nie było. Podczas następnych zakupów poszukam jaskrawych ciuchów, które będę zakładać na spotkania z nimi, albo owinę się migoczącymi lampkami choinkowymi, żeby mnie widzieli.

Helen macha ręką, po czym przysiada się do nas.

- Daj spokój. Teraz tylko ślub, prawnuki i mogę umierać.

- Wypłuj to! - krzyczę.

Myśl, że ta stara wariatka kiedykolwiek zniknie z mojego życia, sprawia, że żołądek mi się skręca. Mimo wszystko nie potrafiłabym bez niej żyć.

- No dobra, dobra - stwierdza. - Może znajdę sobie jeszcze jakiegoś młodego, sprawnego samca, który podoła mojej dzikiej naturze.

Co za bezwstydnica.

Rhys się śmieje, a ja niemal płonę ze wstydu. Przeczuwając, że na tym nie koniec mądrości Helen Thomson, jedną ręką łapię ją za brodę, a w drugą biorę tosta, którego wciskam jej do ust.

Tak, jak się umówiliśmy z Rhysem, zamieszkuję w babińcu. Od tygodnia widzimy się tylko w pracy.

Do klubu często przychodzi Ottavio, z którym nie odważyłam się jeszcze pogadać w cztery oczy. Kilkakrotnie próbował rozpocząć rozmowę, jednak za każdym razem miałam wymówkę, by ją przełożyć. Swoją drogą, zaczynam wymyślać coraz dziwniejsze powody, serio.

Ostatnio złamałam swoją zasadę „zero seksu w pracy”. Poza tym Rhys znika często razem z moim ojcem, Leandro oraz Xavierem w pomieszczeniach mieszczących się w dalszej części budynku. Wiem, co się dzieje: przygotowują się do ostatecznej walki z gangami i zdradzieckim Emilio. Zastanawiam się tylko, co z Antonio. Mam dziwne przeczucie, że powinnam spróbować pogodzić braci. Skoro starszy Valenti ostrzegł mnie przed niebezpieczeństwem, nie może być aż taki zły, prawda?

W domu jak zawsze ubaw po pachy. Jakiś zdesperowany biedak potrzebował pracownicy do swojego sklepiku i zatrudnił moją mamę. Ha! No, co się mogło stać? Matka narobiła podobno więcej manka, niż towar był wart. Nie wiem, jak tego dokonała! W każdym razie Helen ma kolejną pożywkę dla swoich żarcików. Wszystko wraca do normy.

Kiedy jednak jest za dobrze, to...

ROZDZIAŁ 37



VIVIANA

Rano piję kawę w towarzystwie Helen, obserwując, jak dzieciaki z sąsiedztwa wyruszają do szkoły.

- Patrz teraz - mówi podekscytowana, wskazując biały domek po drugiej stronie ulicy.

Dom jak dom, więc nie wiem, o co jej biega, do czasu, kiedy podjeżdża znajomy hydraulik. Wsiada z czerwonego vana i pędzi do drzwi budynku, które zostają otwarte, jeszcze zanim do nich dotrze. Przez ułamek sekundy widać sąsiadkę ubraną w różowy, kusy szlafrok.

- No, hydraulik przyjechał do pracy. To naprawdę bardzo dobry temat do ploteczek, babciu. - Popijam kawę.

Patrzy na mnie jak na wariatkę.

- A gdzie miał skrzynkę z narzędziami?

- Może tylko odpływ się zatkał i musi go udroźnić. - Wzruszam ramionami.

Serio, ta kobieta ze wszystkiego potrafi zrobić sensację.

- Mhm, chciwy ten odpływ, skoro musi go przepychać niemal codziennie.

O mamo!

- Może sąsiadka rzeczywiście potrzebuje fachowej ręki. - Wmawiam sobie, że nie chodzi o to, co sugeruje Helen.

- Ona potrzebuje księdza! - wykrzykuje oburzona, ale mnie nie oszuka. Lubi, jak się dzieją takie ekscesy, bo wtedy ma o czym plotkować z przyjaciółkami przy herbatce.

- To nie nasza sprawa - oznajmiam stanowczo, dając do zrozumienia, że ta rozmowa dobiegła końca.

- To pogadajmy o naszych sprawach. - *Mhm. Dlaczego nie zwiatał do pracy, kiedy ona jeszcze spała?* - Przyjąłś oświadczyzny Rhysa?

Wzdycham i na chwilę przymykam powieki. Ona przecież zna moje poglądy w kwestii związków.

- Nie. Powiedziałam już: tobie nie wyszło, mamie też nie wyszło. Nie chcę, boję się, że małżeństwo wszystko popsuje.

- Czy myślisz, że Rhys sprzedałby wasze dziecko albo waszego wnuka jakimś szumowinom?

- Nie - fukam.

- Czy uważasz, że zwieje, jak tylko się dowie, że w ciąży jesteś?

- Nie!

- Widzisz? Nie jesteś mną ani swoją matką. Rhys nie jest twoim dziadkiem ani ojcem. Jeśli będziesz tak w nieskończoność odmawiać, kopnie cię w dupsko

i znajdzie sobie żonę. Może nawet na ślub cię zaprosi. – Wstaje, bierze kubek i idzie do salonu. – Nie martw się! – krzyczy z korytarza. – Zawsze po hydraulika będziesz mogła zadzwonić!

Przebywanie z Rhysem Millerem w jednym pomieszczeniu nie jest dobrym pomysłem. Och, zdecydowanie nie. Odkąd Kate wróciła do wykonywania obowiązków w innym klubie Millera, bo, jak się okazało, była tu tylko na moje zastępstwo, znowu zaczęłam pracować przy swoim biurku.

Ponieważ nie mogę skupić się na robocie, wciąż zerkam na Rhysa, który wpatruje się w ekran, stukając w klawiaturę.

– Chciałabyś może spędzić ze mną ten weekend? – pyta nagle, przerywając ciszę, lecz nie odrywa wzroku od laptopa.

Mhm. Przytapał mnie na gapieniu się na niego.

Od naszej rozmowy minął już ponad tydzień i pomimo że nie zaprosił mnie jeszcze na randkę, nie gniewam się, ponieważ podsłuchałam, że trwają przygotowania do walki z wrogiem.

– Dobrze – odpowiadam i biorę się do roboty, żeby nie wyjść na lenia roku. W końcu na premię od szefa trzeba sobie zapracować.

– Już niedługo, Viviano, już niedługo – dodaje Miller.

Nie wiem, o co mu chodzi, jednak cały czas dźwięczą mi w uszach słowa Helen.

Po pracy dzwonię do babci, aby poinformować ją, że jadę z Rhysem do rezydencji. Gdy wchodzimy do jego twierdzy, biegnę na górę, żeby wziąć szybki prysznic i założyć luźniejsze ciuchy. Odświeżona mam zamiar udać się do kuchni, by zrobić kolację, jednak gdy docieram do holu, jestem już przekonana, że o idealnym wieczorze będę mogła jedynie pomarzyć.

Idę do salonu, skąd dobiegają zaniepokojone głosy Ottavio i Leandro, po czym przystaję w wejściu. Mężczyźni siedzą na sofie razem z Rhysem oraz Xavierem. Dostrzegam też Mike'a i Jareda.

– Jak widzicie, jestem dzisiaj zajęty – mówi Rhys, ewidentnie niezadowolony z niespodziewanego zlotu.

– Rhys...

– Powiedziałem, że nie dzisiaj – warczy, przerywając Leandro. Wstaje, dając gościom do zrozumienia, że pora wyjść.

– Emilio coś szykuje, zostało nam niewiele czasu – wypala Ottavio, po czym przesuwając dłońmi po twarzy.

Chłód oblewa moje ciało, jakby ktoś otworzył nagle wszystkie okna. Rhys, którego te słowa wyraźnie poruszyły, spina się i przez dłuższą chwilę stoi zamyślony. Wreszcie spogląda na mnie przepaszająco.

– Viviano...

– W porządku – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem, zanim będzie miał szansę poprosić, żebym zostawiła ich samych. – Róbcie, co musicie.

Wychodzę z salonu i ruszam do kuchni. Dopiero kiedy przeglądam zawartość

lodówki, dociera do mnie, że mogę go stracić. Mogę stracić ich wszystkich: ojca, którego do tej pory unikałam jak ognia; brata, z którym nie zdążyłam się jeszcze bliżej poznać, i jego – Rhysa.

Budzę się, czując ciepło jego ciała i cudowne usta sunące po mojej twarzy. Odchylam głowę, aby ułatwić mu dostęp do szyi, co natychmiast wykorzystuje i delikatnie drażni moją skórę. Powoli zmierza coraz niżej, aż do miejsca, gdzie zaczyna się materiał koszulki. Otworzywszy oczy, spoglądam na wspaniałe ciało mojego mężczyzny, a następnie unoszę ręce, by mógł zdjąć kawałek jedwabiu. Potem obserwuję, jak ściąga mi spodenki i, nie czekając dłużej, rozchyła uda, po czym umiejscawia się między nimi. Zamyka usta wokół sutka i drażni go językiem, a w tym samym czasie wędruje dłonią w kierunku mojej kobiecości. Gdy tylko zwinne palce Rhysa odnajdują wrażliwy wzgórek i zdecydowanymi ruchami zaczynają zataczać wokół niego kółka, mięśnie mojego brzucha się zaciskają, a serce wali jak szalone. Odchylam głowę, ciągnąc go za włosy, natomiast on sunie wargami po skórze w stronę drugiej piersi, zostawiając ślad gorącego oddechu i potęgując erotyczne napięcie, które coraz bardziej domaga się rozładowania. Kiedy dochodzę z błagalnym jękiem, świat zaczyna wirować. Nagle znajduję się nad Rhysem, który wprasza się w moją już zaciskającą się kobiecość. Krzyczę, gdy unosi mnie, chwytając za biodra, a następnie opuszcza, nadając rytm powolnymi, lecz agresywnymi ruchami. Jego dłoń ponownie odnajduje wrażliwe miejsce i...

O cholera. Widzę gwiazdy, widzę cholerne gwiazdy!

Czuję, jak na każdym skrawku skóry pojawiają się kropelki potu. Za każdym razem, kiedy wbija się we mnie jego nabrzmiąta męskość, walczę o oddech. Zamglony od uniesień wzrok pada na twarz Rhysa, który przygląda mi się z niespotykaną intensywnością, przeżywając każdy ruch. Kiedy fala spełnienia po raz kolejny uderza w rozgrzane ciało, pochylam się, aby połączyć nasze wargi, a włosy opadają kaskadami, oddzielając nas od świata. Rhys ściska moje pośladki i przyspiesza, wbijając się jeszcze mocniej oraz głębiej. Całując mnie, kradnie każdy pomruk, każdy jęk.

Nie mogę już dłużej wytrzymać tej cudownej tortury, a jednocześnie nie chcę, żeby kiedykolwiek się skończyła. Mam wrażenie, że za chwilę po prostu oszaleję.

– *Ti amo, Viviana*^[9]. *Ti amo cosi tanto*^[9] – szepcze w moje usta i dochodzi, uwalniając we mnie swoje spełnienie.

– Kocham cię, Rhys. Kocham cię – odpowiadam.

Nie wiem, czy łzy, które czuję pod powiekami, są wynikiem naszych wyznań, czy intensywności uniesień.

Przeciągam się z uśmiechem na twarzy, bo zaraz po przebudzeniu myślę o tym, że oficjalnie wyznaliśmy sobie z Rhysem Millerem miłość. Wcześniej

cholernie bałam się do tego przyznać, a teraz czuję się tak, jakbym zdobyła Mount Everest.

Silne ramiona obejmują moje nagie ciało, a następnie przyciągają do twardego torsu.

- Dzień dobry, Viviano - mruczy Rhys.

Unoszę wzrok, napotykając jego spojrzenie.

- Dzień dobry, Rhys. - Uśmiecham się.

- Powiedz mi jeszcze raz - prosi, składając pocałunek na czubku mojej głowy.

- Kocham cię - oznajmiam natychmiast.

Jego twarz się rozjaśnia. To go uszczęśliwia, ja go uszczęśliwiam. Czy źle postępowałam, wmawiając sobie, że cokolwiek nas łączy, będzie miało złe zakończenie?

- A ja kocham ciebie, moja Viviano - odpowiada, gładząc wierzchem dłoni mój policzek.

Jak się okazuje, nasze plany na wspólny weekend muszą zostać przesunięte na inny termin. Razem z całą resztą Rhys musi przygotować się do walki z Emilio. Staram się o tym nie myśleć, ale nie za bardzo mi to wychodzi. Po szybkim śniadaniu zbieram swoje rzeczy i w towarzystwie Millera kieruję się do wyjścia, lecz znowu coś nie daje mi spokoju. Odwracam się do ojca, który stoi w głębi salonu.

- Możemy porozmawiać? - pytam.

Gdy na jego twarzy maluje się ulga, rozumiem, że czekał na te słowa.

Spoglądam na Rhysa z niemą prośbą, aby zostawił nas na chwilę, po czym podchodzę do sofy i opadam na nią. Postanawiam zacząć od razu, zanim opuści mnie odwaga.

- Czy to prawda, że dałeś mamie pieniądze na aborcję?

Uśmiecha się gorzko, a następnie zatapia dłonie w kieszeniach spodni.

- Wiedziałem, że twoja matka to żmija, ale... Nie, nigdy bym tego nie zrobił.

Wierzę mu. Moja matka naprawdę jest zdolna do wszystkiego, żeby zrobić z siebie ofiarę. Czuję się źle, że zadałam to pytanie, więc przygryzam dolną wargę, rozmyślając, co dalej. Ottavio chyba wyczuwa moje zmieszanie, bo siada w fotelu i łapie mnie za dłoń.

- Po latach poszukiwań odnalazłem syna, teraz odzyskałem córkę. Zbyt późno zrozumiałem, że popełniłem ogromny błąd, zgadzając się na to, by Helen cię ode mnie zabrała. Jeśli przebrniemy przez cały ten proces powrotu do władzy, chcę być obecny w twoim życiu, ale rozumiem, jeśli twoja decyzja będzie inna.

- N... Nie, też bym chciała cię lepiej poznać, ale co z twoją żoną?

- Jak już wiesz, nie było to małżeństwo z miłości. Właściwie każde z nas miało swoje życie, ale w miarę się dogadywaliśmy dzięki temu, że pojawił się Leandro. Gdy zagał po śmierci pozostałych członków rodziny, jego matka totalnie się załamała. - Wzdycha ciężko, po czym kieruje pusty wzrok w stronę jakiegoś punktu nad moją głową. - Mówiąc w skrócie, zaczęła coraz więcej pić, aż któregoś dnia kompletnie

pijana prowadziła auto, które roztrzaskało się, uderzając w drzewo.

- Przykro mi - szepczę.

Wsiadam do samochodu, w którym czeka już Jared, i chwilę później wyjeżdżamy z posesji. Do tej pory nie zwracałam uwagi na otoczenie, lecz teraz z jakiegoś powodu postanawiam to zmienić i dostrzegam przed bramą dwa czarne SUV-y.

Emilio! Mogłabym przysiąc, że w jednym z nich widziałam Emilio.

- Jared, zawróć! - rozkazuję.

- Przykro mi, za późno.

- Co za późno? Na co jest za późno?! Zawracaj! - wydzieram się.

- Jeśli szef... Mam cię zawieźć do domu i tyle.

- Jared, posłuchaj mnie. Jeśli w tej chwili się nie zatrzymasz, każę cię zwolnić!

Prośby oraz groźby na nic się jednak nie zdają.

Gdy podjeżdżamy pod dom, wysiadam z pojazdu. Ochroniarz z drugiego samochodu natychmiast bierze mnie pod ramię i odprowadza aż do drzwi, nakazując jak dziecku, żebym weszła, a następnie zaryglowała wszystkie zamki. Robię to, czego chce ten gbur, tylko po to, by pobiec do salonu, gdzie na sofie siedzi babcia, która odwraca się z uśmiechem, gdy staję obok. Zapewne chce rzucić jakiś żart, jednak zna mnie bardzo dobrze, więc jej uśmiech gaśnie, kiedy widzi wyraz mojej twarzy.

- Babciu, pomóż - błagam.

Wydaje mi się, że od razu rozumie, o co chodzi.

- Nie, kochana - mówi przepraszająco. - Pozwólmy im to załatwić.

Ona wie! Wie, że Rhys jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Złość wzbiera we mnie z nieokreśloną siłą. Nie mam zamiaru się poddać, a tym bardziej siedzieć tutaj bezczynnie, kiedy ktoś chce skrzywdzić mężczyznę mojego życia.

- Teraz pójdę się przebrać, a ty w tym czasie odwróć jakoś uwagę ochroniarzy. Nie wiem, jak to zrobisz, kobieto, ale ja muszę tam wrócić! - Ledwo powstrzymuję się od płaczu.

Biegnę na górę, przebieram się w dres, po czym wracam na dół i staję jak wryta na widok Helen podającej mi pistolet.

- Skąd... Nieważne.

Chowam broń do sportowej torby, którą przerzucam przez ramię, a następnie kieruję się do wyjścia od strony ogrodu, lecz staruszka mnie zatrzymuje.

- Jeśli pozwolisz coś sobie zrobić, osobiście przywrócę cię do życia i złoję uparte dupsko - grozi ze łzami w oczach.

- Kocham cię, babuniu - mówię. Przytulam ją, cmokam w policzek, po czym uciekam.

Szybko mijam posesje sąsiadów i łapię taksówkę. Proszę kierowcę, aby podjechał pod domek, w którym mieszkałam na początku i dalszą drogę przez las pokonuję biegiem. Upewniając się, że z tyłu nikogo nie ma, wchodzę bocznym wejściem, a następnie gubię się, przechodząc przez pomieszczenia, w których nigdy nie byłam. Skręcam w jakiś korytarz, gdzie wpadam na jednego z ochroniarzy Rhysa.

- Kurwa - klnie wielkolud w czerni, po czym chwyta mnie za ramię i sprowadza do piwnicy, w której też nie miałam okazji być.

W jednym z pomieszczeń przed ogromnym stołem, na którym jest rozłożona broń, stoją Rhys, Ottavio, Leandro oraz kilka obcych mi osób.

- Szefie - przemawia mężczyzna.

Miller z przerażeniem spogląda w moim kierunku i natychmiast podchodzi.

Przejmuje mnie od ochroniarza, po czym prowadzi przyciemnionym labiryntem.

- Rhys... Emilio... - Nie mogę złapać tchu.

- Nie możesz tu być. Musisz uciekać - oznajmia głosem totalnie wypranym z emocji.

Próbuję wyszarpnąć swoje roztrzęsione ciało z uścisku i podjąć dyskusję, lecz bez skutku. Wchodzimy do dużej, dobrze wyposażonej siłowni, a kiedy podchodzimy do ściany pokrytej wielkimi drewnianymi panelami, Rhys odsuwa jeden z nich.

- O nie, nie, nie! - krzyczę, domyślając się, co za nim jest. - Chcę tu zostać, proszę! On, jakby w ogóle mnie nie słyszał, otwiera metalowe drzwi, za którymi widać długi oświetlony korytarz. Ujmuje moją twarz i patrzy na nią intensywnie swoimi czarnymi oczami.

- Kocham cię, Viviano Thomson - oświadcza, po czym chyba rozważa to, co się za chwilę stanie. - Kiedy zamknę za tobą te drzwi, uciekaj tak szybko, jak tylko możesz. Przepraszam.

- Nie... - Nie jest mi dane dokończyć, bo wypycha mnie w nieznaną, zatraskując drzwi.

Nie zamierzam się poddać, więc ruszam z powrotem, jednak szybko odkrywam, iż po tej stronie nie ma klamki.

- Nie, nie, nie, nie! - szlocham, uderzając w cholerny kawał metalu.

Padam na kolana, krzyżąc jego imię i błagając, żeby mnie wpuścił.

Potem następuje wybuch.

ROZDZIAŁ 38



XAVIER

Przygotowaliśmy przejęcie co do joty, a mimo to cały plan szlag trafia. Pieprzony Emilio jest tak zdesperowany, by położyć na wszystkim swoje łapy, że nawet nasz informator o niczym nie wiedział. Przyznam, że to było naprawdę zaskakujące. Chyba że...
...informator przeszedł na drugą stronę.

Kurwa!

Tak czy inaczej, jeśli najstarszy Valenti zebrał w ostatniej chwili małe wojsko, jesteśmy martwi. Nasi ludzie po prostu nie zdążą dotrzeć.

Dupa, dupa, dupa!

Kiedy ustalamy ostatnie szczegóły i obwieszamy się bronią, wraca Rhys, ewidentnie wkurwiony nalotem swojej wojowniczej kobiety. Sam nie rozumiem, co jej strzeliło do głowy. Mogła zginąć już w drodze.

Razem z Leandro i Ottavio kierujemy się na górę. W wejściu do holu spoglądamy na siebie, gdy słyszymy strzały dochodzące z zewnątrz, a potem jakiś wybuch.

Cholera!

- To chyba z ogrodu - mówi Ottavio, otwierając szeroko oczy w zamyśleniu. - Tunel!

- Viviana - warczy Rhys.

Chce zawrócić, ale jest już za późno, bo następuje kolejna seria strzałów, podczas której szyby we frontowych oknach się rozpryskują. Możemy jedynie paść na glebę i spieprzać na swoje stanowiska.

VIVIANA

Huk spowodowany wybuchem zastępuje dziwny, wręcz bolesny szum w uszach i chwilowe oszołomienie.

Nadal klęcząc, odwracam się, żeby spojrzeć na jedyną drogę ucieczki, ale widzę tylko unoszącą się siwą łunę. Mija chwila, zanim dotrze do mnie, co się stało. Ktoś wysadził dalszą część korytarza.

Cholera.

Kłęby pyłu zmierzają w moją stronę, by zaatakować. Zaciskam powieki, ale popełniam błąd, nie wstrzymując oddechu. Zamiast tego wdycham drobinki i kaszlę, gdy podrażniają drogi oddechowe.

Uduszę się tu!

Dochodzący zza metalowych drzwi szmer sygnalizuje czyjeś nadejście. Podejrzewam najgorsze, dlatego zanim się otworzą, zdejmuję torbę, z której wyławiam nieduży srebrny pistolet. Ogarnia mnie ulga, bo w końcu mogę zaczerpnąć świeżego

powietrza, jednak radość znika w chwili, w której staje przede mną Emilio. Chociaż bardzo bym chciała, żeby było inaczej, nie mam jak uciec. Pozostaje tylko jedno – pistolet, cholerny pistolet od babci.

Unoszę trzęsącą się rękę i celuję do tego zdrajcy, ale moje palce ani myślą współpracować. Zaciskając zęby, pociągam za spust i... nic. Ponawiam próbę, lecz znowu nie rozlega się strzał.

Brawo, głupia ja!

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że powinnam była to coś odbezpieczyć, jednak zanim zdążę naprawić swój błąd, mężczyzna bierze zamach i uderza mnie w twarz. Przeszywający ból rozchodzi się po kości policzkowej, a siła uderzenia powoduje, że upadam na bok.

Wściekły Emilio podnosi mnie, szarpiąc za ramię. Wykręca mi rękę, po czym więzi nadgarstki w swojej dłoni. Po chwili czuję przy skroni chłód lufy.

Może miałabym szansę mu się wyrwać i zwiać, gdyby był sam, lecz nie poradzę sobie z dwoma mężczyznami stojącymi w wejściu.

– Czas na przedstawienie – warczy najstarszy Valenti, a następnie popycha mnie do przodu.

Przechodzimy przez podziemne, szare korytarze, aż docieramy do schodów. Gdy wchodzimy do głównego holu, oddech zamiera mi w piersi.

Co się tutaj stało?

Front budynku został dosłownie zdewastowany, a kawałki szkła zgrzytają pod podeszwami butów. Gdzie nie spojrzę, widzę jakiegoś osiłka.

Kiedy przekraczamy próg salonu, w końcu go dostrzegam.

Rhys. Mój Rhys.

Stoi przy kominku, oblizując kącik ust, z którego śący się krew, i jest przytrzymywany przez napakowanego mężczyznę. Zauważam też, że Luca mierzy z broni w jego głowę. *Nie, tylko nie to.* Niewidzialny sztylet wbija się w mój mostek, gardło się zaciska, a ciało drży na samą myśl, że mogłoby mu się stać coś złego. Jeśli on...

– Nareszcie! – Ten skrzeczący głos!

Na moment zamykam oczy, a gdy je otwieram i patrzę w kierunku okna, dostrzegam zadowoloną z siebie Marię w towarzystwie jakiegoś faceta.

Kobieta rusza powoli w moim kierunku. Zatrzymuje się, po czym chwyta moją twarz, mocno ściskając obolałe po uderzeniu miejsce. Zaciskam zęby, nie przerywając kontaktu wzrokowego. Nie mam zamiaru okazać strachu. Nigdy nie dam jej tej satysfakcji.

– Maria! – warczy Luca, zanim jego siostra zdąży cokolwiek zrobić. – Nie przyjechaliśmy tu, żeby się zabawiać. Wyjźdź! – Stanowczość w jego głosie musi na nią działać, bo natychmiast opuszcza pomieszczenie.

– Wypuść ją, Emilio. To sprawa między nami – mówi Rhys, szarpiąc się z wielkoludem. Jego piękne oczy, teraz przepełnione furją, są wpatrzone w mężczyznę za mną.

Tak bym chciała, by pozostali po prostu rozpułnęli się w powietrzu, żebyśmy zostali tylko on i ja. Chcę rzucić mu się na szyję, a potem zapomnieć w jego ramionach

o wszystkim i wszystkich. Pragnę jedynie cieszyć się jego bliskością.

- Luca, zajmij się nią - rozkazuje Emilio.

Syn natychmiast się cofa. Staje za mną, lecz nie przestaje celować z pistoletu do Rhysa, który teraz patrzy na mnie.

Uśmiecham się, choć pod powiekami wzbierają cholerne łzy. Dociera do mnie, że to być może ostatnia rzecz, jaką mogę mu dać, zanim...

O mój Boże.

Zdaję sobie sprawę, że jestem przetrzymywana, dopiero kiedy Emilio podchodzi do Millera.

- Mów, synu, gdzie jest reszta.

Zdrajca.

Tak się zamartwiałam, że nie zwróciłam uwagi na nieobecność pozostałych. Skoro jednak Emilio o nich pyta, to oznacza, że żyją.

- Nie jestem twoim synem! - oznajmia stanowczo Miller. - Moi rodzice nie żyją.

Zdradziłeś całą rodzinę i wydałeś ją wrogom!

Pomimo że Emilio jest odwrócony tyłem, wiem, że na jego twarzy maluje się szok.

Napiął mięśnie, nie rusza się i mogłabym przysiąc, iż wstrzymuje oddech.

Rhys wbija w niego nienawistny wzrok, jakby oczekiwał, że mężczyzna się wytłumaczy. On jednak podchodzi do kominka, odkłada pistolet, a następnie chwyta nóż myśliwski.

- Lubisz bawić się nożami, Ricardo, prawda? - pyta z drwiną, a palcem wskazującym drugiej dłoni dotyka ostrza. - Może powinienem zabawić się z panną Thomson, żebyś wyśpiewał, gdzie chowa się reszta tchórzów.

Gdy rusza w moją stronę, na twarzy Millera po raz pierwszy pojawia się strach, który jednak szybko znika.

- Teraz wiem, dlaczego dziadek przekazał władzę mojemu ojcu! Bo ty jesteś pierdolonym psycholem! - krzyczy Rhys.

Wiem, że próbuje zwrócić na siebie jego uwagę, lecz Emilio już stoi przede mną.

Gdy staram się wyrwać, Luca mocniej mnie przytrzymuje. Mogę jedynie obserwować, jak błyszczący przedmiot zbliża się do mojej twarzy, aż czuję chłód metalu na policzku. Powoli przesuwam płaską część narzędzia w dół, by zatrzymać ją na mojej szyi.

Automatycznie odchylam głowę, jakby to miało pomóc, i oddycham płytko, aby nie przyspieszyć tego, co prawdopodobnie nieuniknione.

- Zostaw ją, Emilio! - wrzeszczy Rhys. - To sprawa między tobą a mną!

Ten jednak nie rezygnuje i przygląda mi się z uśmiechem. Doskonale wie, że teraz torturą jest dla mnie niepewność i zastanawianie się nad tym, co stanie się za chwilę.

Właśnie w tym momencie dzieje się coś dziwnego: Luca kieruje moje dłonie ku górze, by położyć je na broni za jego paskiem.

W co on gra?

Przenoszę wzrok na Rhysa, który ledwo zauważalnie kiwa głową.

O co tu chodzi?

- Wygląda na to, że twój kochaś jest w stanie poświęcić cię jako marną jednostkę dla dobrej sprawy. Nie widzę, żeby rwał się na pomoc - szydzi najstarszy Valenti.

- Chory psychopata! Oto kim jesteś, Emilio. Dlatego wszyscy wypięli na ciebie dupy! Jesteś pierdolonym nikim! - wydziera się mój mężczyzna.

To zwraca uwagę zdrajcy, który daje mi spokój, po czym podchodzi do Millera.

W tym samym czasie do pomieszczenia wchodzi kolejny przydupas Emilio, a Luca wzmacnia uścisk na moich nadgarstkach.

- Nigdzie ich nie ma - warczy facet.

- Tchórze - prycha Emilio. - Wszyscy cię zostawili, Ricardo. A myślałem, że jak szepnę kilka słów Antonio, to sami się pozabijacie i będę miał drogę wolną.

Antonio i Emilio? O co tu chodzi?

- Mów sobie, co chcesz. To bez znaczenia. Zawsze byłeś za słaby, żeby zajmować się tym interesem - drwi Rhys.

Wzdrygam się na zamieszanie, które nagle zapanowało na zewnątrz domu. Kiedy następuje kolejna seria strzałów, najstarszy Valenti wpada w panikę, a do salonu wbiega Maria.

- Musimy się pospieszyć, mamy towarzystwo. Ona jest moja - oświadcza harpia, wskazując na mnie.

- Poczekaj, siostrzyczko - odzywa się Luca. - Powiedziałem przecież, że ja mam pierwszeństwo.

Zostaję przyciśnięta do ściany i bez skutku próbuję go odepchnąć, kiedy chowa twarz w zagłębieniu mojej szyi. Gdy zaciskam powieki, słyszę bolesny jęk Rhysa, a po moich policzkach zaczynają płynąć łzy bezradności.

Jeszcze przed chwilą nie spodziewałam się jednak tego, co właśnie następuje.

- Uspokój się - rozkazuje szeptem Luca. - Jest odbezpieczony. Najpierw facet pod oknem, potem Maria. Nie waż się chybić. - Wsuwa mi w dłoń pistolet, po czym wyjmuję drugi zza pasa.

Rozpętuje się piekło.

- Kurwa, teraz! - warczy i odsuwa się ode mnie.

Przez mój umysł przebiega myśl, że od tego zależy życie tych, których kocham, więc jeśli chybię...

Nie, nie, nie. Nie chybię.

Celuję do faceta i strzelam. Kula przeszywa jego klatkę piersiową. Drugi strzał oddaję w kierunku Marii. Nie wiem jednak, w co trafiłam i mam to gdzieś, bo gdy spoglądam w stronę kominka, dostrzegam, że wielkolud, który przytrzymał Rhysa, osuwa się na podłogę, podobnie jak... mój mężczyzna.

Zszokowany Emilio patrzy na syna.

- Ty niewdzięczny zdrajco, strzelisz do ojca?!

- Nie. Ten zaszczyt powinien spotkać kogoś innego - oznajmia, a w salonie pojawia się Ottavio.

Nie obchodzi mnie jednak, co między nimi zajdzie, bo zauważam, że Rhys leży w kałuży krwi. Dopiero kiedy ruszam w tamtą stronę, widzę nóż wbity w jego brzuch. Padam na kolana obok niego i podtrzymuję mu głowę, jednocześnie sprawdzając puls. Z ust Millera wyrывa się jęk, a jego powieki nieznacznie się unoszą.

- Rhys? Rhys! Nie waż się mnie teraz zostawiać - rozkazuję.
Patrzy na mnie swoimi czarnymi oczami. Widzę, że próbuje unieść rękę, ale nie ma siły.

- Moja Viviana - chrypi słabo. - Moja. - Zamyka oczy, a jego twarz z każdą sekundą staje się coraz bardziej blada.

Nie! To nie może się tak skończyć. Nie on. Nie teraz. Nigdy.

- Rhys Miller! - warczę przez zaciśnięte gardło, walcząc ze łzami. - Jeśli przeżyjesz, wyjdę za ciebie choćby natychmiast. Urodzę ci tyle dzieci, ile będziesz chciał. Zrobię to! Tylko błagam, żyj! - Ostatnie słowa wypowiadam, płacząc, ale on nie reaguje.

Na moim sercu powstaje tak wiele rys, że po chwili roztrzaskuje się ono tuż przy Rhysie. Jeśli umrze, ja umrę razem z nim. Nigdy w całym swoim życiu nie myślałam, że w kilka miesięcy można kogoś tak bardzo pokochać. Nie przypuszczałam, że można pokochać jakąś osobę do tego stopnia, że staje się ona twoim tlenem, twoją krwią, twoim życiem, twoim być albo nie być.

- Cześć, skurwielu! Nie spodziewałeś się... Co, do chuja?!

Gdy gwałtownie unoszę głowę, widzę grupę mężczyzn w skórzanych kamizelkach. Wszyscy zszokowani wpatrują się w Rhysa.

Jeden z nich podbiega do nas, więc, przerażona, próbuję osłonić swojego mężczyznę, uważając, by nie ruszyć noża.

- Jestem lekarzem, pomogę mu - odzywa się nieznajomy, a ja już wiem, że liczy się każda sekunda.

ROZDZIAŁ 39



VIVIANA

Kiedy otwieram oczy, obraz jest jakiś zamazany. Próbuję się poruszyć, lecz moje ciało jest dziwnie odrętwiałe, a raczej... sparaliżowane. Wyteżam wzrok i z każdą sekundą widzę coraz wyraźniej, jednak po chwili ogarniają mnie mdłości. Biorę więc kilka głębokich oddechów, aby uspokoić szalejący żołądek, po czym, chwytając pękającą z bólu głowę, przyglądam się wielkim drewnianym belkom, z których zostały zbudowane ściany. Przez małe okno po prawej stronie do pomieszczenia wpadają promienie słońca, które ogrzewają moją twarz.

Podświadomość krzyczy, że coś jest nie tak, ale wszystko mi jedno. Nie wiem, jaki dzisiaj dzień, a nawet zaczynam się zastanawiać, kim jestem. Ostatecznie przestaję rozmyślać nad całą sytuacją. Teraz po prostu nie mam na to siły.

Moje spojrzenie znów mętnieje, a następnie pada na drzwi po drugiej stronie pokoju. Dochodzące zza nich tubalne głosy stają się coraz głośniejsze, wraz ze zbliżającymi się krokami. Słyszę, że ktoś puka – raz, drugi, potem trzeci – lecz nie zapraszam tej osoby do środka. Mam zamiar zamknąć oczy i spać, a coś mi podpowiada, że to dobry pomysł. Tak więc robię – odpływam w bezpieczną nieświadomość.

– Co, do chuja, Hulk? – warczy ktoś w pobliżu. – Ile jej tego gówna wstrzyknąłeś?! Colton mówił, żeby uważać!

– Pierdol się, Pax. Samemu trzeba było to zrobić.

Nie wiem, czego dotyczy ta dziwaczna wymiana zdań, i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Chcę wrócić do miejsca, z którego zostałam wyrwana, jednak czując czyjąś obecność, unoszę ociężałe powieki.

Dostrzegam dwóch napakowanych facetów w skórze. Jeden z nich ma najintensywniej ciemnozielone oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Jego ciemne włosy są w lekkim nieładzie, a na twarzy maluje się czyste niezadowolenie. Ten typ chyba tak już ma. Drugi mężczyzna, blondyn z długimi włosami związanymi na czubku głowy, patrzy na mnie z niepokojem intensywnie błękitnymi oczami.

Sekunda po sekundzie, minuta po minucie, przypominam sobie wczorajsze zdarzenia. W mojej głowie pojawiają się kolejne obrazy, zupełnie jakbym oglądała jakiś film, jednak gdy puls skacze jak szalony, dociera do mnie, że była to cholerna rzeczywistość. Pamięć wraca wraz ze świadomością wszystkiego, co się wydarzyło. Zabrali Rhysa. Zabrali go, nie wiadomo gdzie, a kiedy chciałam wezwać karetkę, wstrzyknęli mi coś w szyję.

Potem nie było już nic.

Siedzę przy stole w małej kuchni, w jakiejś chacie na totalnym odludziu, a miejsca naprzeciwko zajęto dwóch gości z jakiegoś klubu motocyklowego. Skrzyżowali ręce na klatkach piersiowych i patrzą na mnie spod byka, bo odkąd się obudziłam, magluję ich wyłącznie o jedno.

- Gdzie. Jest. Rhys? - pytam po raz setny, tracąc cierpliwość.

- Jak już mówiłem - odpowiada zmęczonym głosem brunet, który przedstawił się jako Paxton - jest w bezpiecznym miejscu, gdzie nasz doktor Colton może mu pomóc.

- Oby to zrobił - warczę. - W innym przypadku sam będzie potrzebował lekarza. Drugi mężczyzna, Hulk, marszczy brwi, po czym spogląda na kolegę i parska. Nie wiem, co w tym śmiesznego, ale jestem za bardzo załamana stanem Rhysa oraz tym, że nie mogę przy nim być, żeby przejmować się takimi pierdołami.

- Minęły dwie doby, więc najgorsze za nim. Będzie dobrze. - Te słowa uderzają we mnie niczym cholerna fala tsunami.

- Ile?! - wykrzykuję, na co Paxton wstaje, mrużąc coś o kolejnym utrapieniu.

Już ja mu dam takie utrapienie, że popamięta mnie do końca życia. Nie mogę uwierzyć, że spędziłam czterdzieści osiem godzin z tymi dwoma osiłkami, podczas gdy...

Jasna cholera!

- A co z pozostałymi? - pytam zażenowana, że do tej pory nie pomyślałam o ojcu, bracie oraz Xavierze. Helen pewnie także odchodzi od zmysłów.

- Ottavio, Leandro i Xavier... robią porządki - oświadcza blondyn.

- Chcę wrócić do domu, do babci - żądam, co skutkuje głośnym „nie” od obu mężczyzn. - Chciałabym też zlecić wam robotę - dodaję cicho.

Nie zapomniałam o słowach Emilio, odnoszących się do brata Rhysa. Miałam już przedsmak tego, jak może boleć strata mojego mężczyzny, dlatego nie pozwolę, by ktokolwiek mu zagrażał. Jeśli Antonio jest tym zagrożeniem, musi zniknąć.

- Jaką robotę? - Paxton marszczy gęste, ciemne brwi.

Co oni wszyscy mają z tym tikiem?

- Zapłacę ile trzeba, żebyście zabili Antonio Valentiego - oznajmiam.

Robią wielkie oczy, spoglądając na siebie.

- Nikki nic nie mówiła, że ma siostrę - wypala Hulk, po czym obaj wybuchają gromkim śmiechem.

Z tego wnioskuję, że nie mam co liczyć na ich pomoc.

- Kim jest Nikki? - dociekam, udając, że nie było tematu. Sama poradzę sobie z tym problemem.

- Moją kobietą - wyjaśnia Paxton. - To chodzące, mówiące tornado.

- Powinny się poznać - żartuje Hulk, zerkając na kolegę.

- Ta, równie dobrze mógłbym odkręcić kurek z gazem i zapalić zapalniczkę - prycha, a ja po raz pierwszy dzisiaj się uśmiecham. Niemal natychmiast jednak poważnieję i wstaję.

Przechadzam się po chatce, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Nigdzie nie jestem w stanie się uspokoić. Minęły aż dwie cholerne doby bez niego, bez mojego Rhysa. A co, jeśli Pax i Hulk mnie okłamują? Co, jeśli stało się coś złego?

Serce mi podpowiada, że wszystko jest w porządku, lecz nie uspokoję się, dopóki go nie zobaczę. Ostatecznie idę do jedynej sypialni w domku, gdzie wskakuję do łóżka i rozglądam się, przygryzając dolną wargę. Mogę jedynie przywołać wspomnienia, a kiedy to robię... żałuję. Żałuję każdej chwili, w której opierałam się mojemu pięknemu mężczyźnie, wynajdując głupie wymówki.

Przez cztery kolejne dni snuję się bez celu, a przy zdrowych zmysłach utrzymuje mnie tylko jedno – świadomość, że Rhys żyje. Dzisiaj rano zaczęłam wpadać w jakiś rodzaj załamania nerwowego. Paxton pozwolił mi w końcu pogadać z doktorkiem, ale to wcale nie pomogło. Gdy Colton odpowiadał na milion zadanych przeze mnie pytań, w tle usłyszałam swoje imię, a potem rozmowa została nagle zakończona.

Siedzę więc w kuchni, w chatce na tym zadupiu, i coraz bardziej wariuję. Bikerzy również nie robią niczego konkretnego, tylko co jakiś czas wyglądają na zewnątrz.

– Kurwa! – klnie Hulk, który stoi przy oknie.

– Co się... – Urywam, gdy drzwi wejściowe otwierają się z hukiem, a następnie staje w nich Rhys Miller.

Ubrany w szare spodnie dresowe oraz białą koszulkę, przyciska dłoń do miejsca, gdzie został ugodzony nożem, walcząc z grymasem bólu. Jego skóra nadal nie odzyskała swojego oliwkowego odcienia, ale i tak wygląda o niebo lepiej niż w momencie...

– Viviana, moja Viviana – mówi z wielkim trudem, niemal zginając się w pół.

Natychmiast zrywam się z miejsca, podbiegam, po czym ujmuję go pod ramię.

– Wszystko w porządku? – pytam głupio.

– Nie dałem rady dłużej go zatrzymać – oznajmia Colton, który pojawia się za Millerem.

Kiwam głową i uśmiecham się w niemym podziękowaniu.

Po kolacji, którą dostarczył nam jakiś chłopak, Rhys wziął lekarstwa i zgodził się położyć. Siedzę przy łóżku, nie mogąc nacieszyć się jego obecnością.

– Moja Viviana – powtarza na okrągło, gładząc knykciami mój policzek.

Odwdzięczam się, przeczesując palcami jego przydługie już włosy.

– Nie pozwolili mi ciebie zobaczyć – skarżę się, wzdychając.

– To dla twojego bezpieczeństwa. Niedługo będzie po wszystkim, już niedługo – zapewnia. Widzę, że z trudem przełyka ślinę.

– Przyniosę ci wody. – Próbuję wstać, ale zatrzymuje mnie, chwytając za nadgarstek.

– Viviano Anne Thomson – przemawia jakoś tak... uroczyście? – Zgadzam się.

Zostanę twoim mężem i przyjmę tyle dzieci, ile zechcesz mi dać.

Hmm... Och! Tak! Coś sobie przypominam i... O mój Boże, gdzie jest Helen, kiedy jej potrzebuję? Chociaż może lepiej, że jej nie ma, bo skakałaby teraz z radości.

Potrzebuję tylko jej tabletek na serce, które zaraz chyba wyskoczy mi z piersi i zacznę fikać koziołki na podłodze. Nie potrafię nawet kontrolować oddechu – to zwalnia, to przyspiesza, by po chwili strasznie się rwać. W mojej głowie natomiast rozlega się alarm.

Po chwili dostrzegam, że brwi Rhysa powędrowały w górę, a kąciki jego ust zaczęły dziwnie drgać. Powodem na pewno jest szok, którego doznałam. Do tego sama właśnie uświadomiłam sobie, że naprawdę tego chcę. Cały strach przed instytucją małżeństwa znika wraz z sypiącymi się murami, które budowałam wokół siebie przez lata, więc...

- Cieszę się, że moje żalosne oświadczenia zostały przyjęte, Rhysie Millerze - oznajmiam w końcu.

Automatycznie łączymy nasze dłonie, splatając palce.

- Powiedz mi - prosi.

- Kocham cię - mówię natychmiast.

- Ja ciebie też kocham, Viviano Anne Thomson - wyznaje. - A teraz mnie pocałuj. - Na to też nie musi długo czekać.

Całuję pełne usta, dziękując „Temu na górze”, że ocalił moją mężczyznę, a tym samym moje serce.

Po powrocie Rhysa, Paxton i Hulk przenoszą się do chatki obok, choć i tak dużo czasu spędzają w naszym pokoju, rozmawiając z Millerem. Mężczyźni proszą, żebym dała im odrobinę prywatności, jednak pewnego dnia udaje mi się podsłuchać, że Emilio i Maria jeszcze żyją.

Od Rhysa dowiaduję się natomiast, że Luca cały czas pomagał mu w zbieraniu informacji na temat swojego ojca, uprzedzał o wszystkich planach. Tylko ten jeden raz się nie udało, bo Emilio powiadomił syna o całej akcji w ostatniej chwili.

Podczas gdy trwają narady za zamkniętymi drzwiami, myślę o numerze telefonu Antonio, który został w domu. Mam zamiar spotkać się z tym facetem i zakończyć nagonkę na moją mężczyznę. W końcu odnaleziony cudem starszy brat Valenti ostrzegł mnie jakiś czas temu przed niebezpieczeństwem, zatem nie mógłby zrobić mi krzywdy. A przynajmniej tak myślę i chcę to wykorzystać.

Potem będę mogła w spokoju zająć się przygotowaniem do ślubu.

ROZDZIAŁ 40



VIVIANA

Po kolejnych kilku dość ciekawych dniach, spędzonych w chatce na totalnym odludziu, pożegnaliśmy motocyklistów i wróciliśmy do rezydencji Rhysa. Podobno wybuch w dalszej części tunelu nie naruszył konstrukcji budynku. Nie mogę jednak znieść przebywania w tym miejscu, bo ostatnie wspomnienia z nim związane nie należą do przyjemnych. Myśl o tym, że remont robiła Maria, jeszcze bardziej podsycą moją niechęć.

Zerkam w lewą stronę, gdzie śpi mój mężczyzna, po czym odkrywam się i wstaję. Okrążam łóżko, starając się nie obudzić Rhysa, a następnie zarzucam szlafrok, który zdjęłam z krzesła. W końcu wychodzę na korytarz.

Muszę uciec, zanim znów zażyczy sobie porannej „rehabilitacji”. Nie żebym nie chciała, ale po ostatniej sesji widziałam, że próbuje ukryć grymas bólu. Jest zbyt uparty, aby brać środki przeciwbólowe.

Kierując się w stronę schodów, a potem na dół, mijam grupę ochroniarzy. Kiedy wkraczam do kuchni, przy wyspie siedzi już Luca – człowiek, który, jak się okazało, pomagał Rhysowi. Mimo wszystko jednak mu nie ufam i nie sądzę, że kiedykolwiek się do niego przekonam.

Spuszczam głowę i podchodzę do ekspresu. Z górnej szafki wydaję kubek, który napełniam niemal po brzegi ciemnym płynem, po czym dodaję cukru. Nie chcę wyjść na tchórza, więc siadam obok Włocha, lecz ignoruję go, wlepiając wzrok w marmurowy blat.

– Nie jestem aż taki straszny, jak się wydaje.

Dźwięk jego głosu wywołuje dreszcze, ale mam nadzieję, że nie zauważył mojej reakcji. Wypadałoby chyba, żebym coś odpowiedziała. Może wtedy się odczepi? Spoglądam na niego, udając odważną, i przez chwilę po prostu mu się przyglądam. Mężczyzna, którego od początku się bałam, wydaje się teraz taki zwykły, nawet dziwnie przyjazny.

– Nie powiedziałam, że... – Widząc, jak unosi lewą brew, postanawiam być szczerą. – Nie lubię cię i nie sądzę, żeby to się kiedyś zmieniło. Nigdy nie będę ci ufała, jeśli chodzi o Rhysa.

Lekko kiwa głową, jakby dokładnie tych słów się spodziewał.

– Właściwie to nie liczyłem na nic innego, ale akurat o Ricardo możesz być spokojna. Przeszliśmy razem naprawdę wiele, w tym dyktaturę mojego ojca.

Na wzmiankę o wuju Millera zimno zastępuje fala gorąca. Ignoruję jednak uczucie gniewu.

- Jesteś synem Emilio, więc jak mógłby..

Luca wstaje i rozpiną pasek oraz spodnie. Wstrzymuję oddech, nie bardzo wiedząc, co on wyprawia, lecz po chwili wypuszczam je ze świstem, gdy podciąga koszulę. Na wysokości żeber biegną ukośnie dwie podłużne, okropne blizny po poparzeniach. Pomimo że niemal natychmiast chowa je pod ubraniem, mój wzrok nadal jest wlepiony w ten punkt. Kątem oka widzę, jak Luca zajmuje swoje miejsce, ale jestem zbyt zszokowana, by cokolwiek zrobić czy powiedzieć.

- Za każdym razem, kiedy Emilio szkolił Rhysa, wykorzystywał jedno z nas - mówi cicho. - Jeśli ten nie wykonał polecenia, był zmuszony patrzeć, jak cierpimy. Zdarzało się, że Emilio dusił Marię, dwukrotnie postrzelił Leandro w nogę, raz kazał wychłostać Xaviera niemal na śmierć. Pewnego dnia przyprowadził do pokoju bardzo młodą dziewczynę. Chory skurwiel rozkazał Rhysowi ją zgwałcić, a potem zabić na jego oczach. Znałem plany ojca, więc kazałem kuzynowi przysiąc, że choćby nie wiadomo co się ze mną działo, nie zrobi tego. Miał już wystarczająco zryty umysł przez wcześniejsze eksperymenty, szkolenia, nazwij to, jak chcesz. W każdym razie, kiedy przyszło co do czego, Rhys odmówił, a Emilio przypalał mnie kawałek po kawałku. To, co widziałas, to tylko niewielka część jego roboty. Na koniec sam chciał tę dziewczynę... - Luca przerywa, biorąc dziwnie drżący oddech, a ja staram się ogarnąć, jakim trzeba być spaczonym człowiekiem, żeby dopuścić się takich rzeczy. - Wyjąłem jego pistolet i zakończyłem jej cierpienia. Zmarła godniej, niż miałyby to miejsce z rąk tego psychopaty.

- Dlaczego nie zabiliście jego? - pytam oskarżycielskim tonem.

- To nie takie łatwe. Byliśmy dziećmi, a poza tym we Włoszech niektóre decyzje muszą być podejmowane na zgromadzeniach, na których pojawiają się starsi członkowie rodziny. Inaczej można zostać uznanym za zdrajcę.

Przesuwam dłońmi po twarzy, ścierając płynące łzy. Zastanawiam się, dlaczego świat jest taki chory i niesprawiedliwy. Moje rozmyślenia przerywa dźwięk odbezpieczanego pistoletu. Gdy unoszę przerażony wzrok, widzę Ottavio, który celuje z broni w głowę mojego rozmówcy.

- Możesz mi wyjaśnić, dlaczego moja córka przez ciebie płacze? - pyta śmiertelnie poważnie, na co ja i Luca się uśmiechamy. Może jednak się polubimy.

Po południu mój ojciec zwołuje małe zebranie. O dziwo, zgadza się, żebym wzięła w nim udział. Omawiane są sprawy dotyczące Emilio i Marii, a także inne kwestie organizacyjne związane z przejęciem władzy. Potem Ottavio, Xavier oraz Leandro jadą na lotnisko odebrać Amelię, która wraca od rodziców, natomiast Luca zaszywa się w swoim pokoju.

Rhys ze szklanką whiskey staje przed kominkiem, przy którym niedawno omal nie zginął, a jego nieobecny wzrok jest skierowany na płomienie. Podchodzę od tyłu, po czym oplątam go ramionami i opieram policzek na jego plecach.

- O czym myśli mój przyszły mąż? - zagaduję, starając się polepszyć mu humor.

- Pamiętam jeszcze... Zanim Emilio pomógł zabić własną rodzinę, każdy ślub, wszystkie święta czy urodziny były wielkimi wydarzeniami. Byliśmy ze sobą bardzo

związani, zżyci... A potem wszystko spłonęło.

To pierwszy raz, kiedy skromnie, a zarazem tak otwarcie chce mi przekazać, że tęskni za rodziną. Czuję cholerną niemoc, bo dobrze wiem, że nie mogę zrobić nic, aby wymazać to cierpienie z jego serca. Nie oznacza to jednak, że nie będę próbowała chociaż trochę mu ulżyć.

Obchodzę go, a następnie powoli wyjmuję z jego dłoni pustą już szklanekę i odstawiam ją na kominek.

- Rhys - mówię, ujmując jego piękną, udręczoną twarz. - Razem założymy naszą nową rodzinę, stworzymy swoje tradycje i wspomnienia. Razem będziemy stawiać czoła przeciwnościom i cieszyć się z choćby małych rzeczy. To jeszcze nie koniec, uznajmy to za nowy początek. - Walczę z upartymi, wzbierającymi pod powiekami łzami i jednocześnie się uśmiecham. - Chociaż... Zapytaj mnie jeszcze raz.

Oto jest! Pojawia się ten pewny siebie Rhys z przepięknym uśmiechem na twarzy, który natychmiast odwzajemniam.

- Viviano Anne Thomson, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? - Przyciąga mnie do siebie.

- Tak! Tak! - krzyczę, jakby zaproponował to po raz pierwszy, i zarzucam mu rękę na szyję.

Rhys odrzuca głowę, po czym wybucha śmiechem.

Nareszcie!

Kiedy w końcu się uspokaja, spogląda na mnie niby poważnie, ale w jego oczach wciąż tańczy rozbawienie.

- Moja przyszła żona jest szalona - oświadcza.

- A mój przyszły mąż jest tym zachwycony - odpowiadam, szczerząc się jak wariatka.

- Tak, i jest też niesamowicie wdzięczny.

Umówione na zakupowy szzał, wchodzimy z Amelią do domu Helen. Babcia oczywiście stoi już przy schodach, patrząc na mnie tak, jakby wyrosła mi druga głowa.

- Oświadczyłaś się Rhysowi, a mnie przy tym nie było?! - wykrzykuje. - I czy nie uderzyłaś się wcześniej w głowę?

- Skąd... Ach! Zapomniałam o waszych telefonicznych ploteczkach na dobranoc - mruczę, a przyjaciółka chichocze.

- Już wiem dlaczego. - Uśmiecha się cwaniacko staruszka, wlepiając wzrok w mój brzuch.

Wywracam oczami.

- Nie jestem w ciąży! - warczę.

- To się jeszcze okaże. Jak za kilka miesięcy wyskoczy z ciebie małe, czerwone i po tobie wkurzone, to już nie zaprzeczysz. W każdym razie musimy się zająć przygotowaniami. Możesz zgodnie z tradycją założyć moją suknię ślubną - proponuje Helen, na co o mały włos nie dostaję zawału. - A nie, poczekaj! Nie zmieścisz się w nią.

- Ha! Ha! Ha! - Nie wiem, czy bardziej jestem zła, bo przecież przez ostatnie zdarzenia zrzuciłam kilka kilogramów, czy też czuję ulgę. Myśl, że miałabym się wciskać w te dziwaczne falbany, dogłębnie mnie przeraża.
- Do tego trzeba ci urządzić wieczór panieński - dodaje babcia, ruszając do kuchni, a my z Amelią drepczemy za nią.
- Tak, wieczór panieński w towarzystwie swojej babci to marzenie każdej przyszłej panny młodej - psioczę, siadając na swoim miejscu.
- Herbatki? - pyta, udając, że mnie nie słyszała.
- Właściwie to mam prośbę. - Wtajemniczam Helen w swój plan, a ona z każdą sekundą jest coraz bardziej zła.
- Co ty knujesz? Mało ci? - beszta mnie. - Ten biedny chłopiec na zawał przez ciebie zejdzie!
- Po pierwsze, to już nie chłopiec, tylko mężczyzna, babciu. Po drugie, chcę coś dla niego zrobić, a jeśli ta banda osiłeków będzie mi deptała po piętach, cały plan szlag trafi.

Razem z Amelią i Helen wpadamy do salonu sukien ślubnych, gdzie wciskam się w niezliczoną liczbę modeli. O ustalonej godzinie babcia odstawia swoją szopkę, zagadując ochroniarzy, a znajoma Amelii pomaga mi wymknąć się na tył budynku.

Czekam w umówionym miejscu, z pistoletem schowanym pod kurtką, i przestępuję z nogi na nogę, rozglądając się nerwowo po wąskiej uliczce. Krzyczę, gdy moje ręce niespodziewanie zostają wykręcone. Broń wypada na ziemię, natomiast ja zostaję okręcona i uderzam plecami o betonową ścianę budynku.

Pierwsze, co widzę, to ciemne, niemal czarne oczy. Identyczne jak u Rhysa, jednak to nie on stoi przede mną, tylko Antonio. Dyszę, co przychodzi mi z coraz większym trudem, kiedy oplata palce wokół mojej szyi, jednocześnie przyszpilając mnie do ściany. Obserwuję, jak wyraz jego twarzy zmienia się z nerwowego w rozbawiony.

- Albo jesteś taka odważna, albo taka głupia - przemawia, przyglądając mi się uważnie. - Myślałaś, że jeśli raz okazałem ci akt łaski, to nie będę w stanie cię zabić?

- Nie jestem głupia - cedzę przez zęby.

Czuję, jak jego druga dłoń wędruje pod moją kurtkę, a następnie wsuwa się pod materiał bluzki.

Co on, do cholery, wyprawia?

Gdy Antonio chowa twarz w zagłębieniu mojej szyi, z przerażeniem wstrzymuję oddech.

- A może wybrałaś złego brata?

ROZDZIAŁ 41



XAVIER

Jak to szło? Gdy kota nie ma, myszy harczą? Chyba tak. O ile tym kotem można nazwać Vivi, a zmutowane myszy to nasz gość specjalny, ja, Ottavio, Leandro, Mike, Luca i Rhys. Ten ostatni, wmawiając sobie, że jego narzeczona jest delikatna i krucha, postanowił wykorzystać jej nieobecność na torturowanie Emilio.

Stoimy właśnie w jednym z lochów, gdzie przykuci łańcuchami do sufitu zostali sławetny wujek ze swoją córką. Psychiczny Valenti przez lata nas torturował, znęcał się nad każdym po kolei, majstrował na wszelkie możliwe sposoby przy umyśle Rhysa. Jak się przed chwilą okazało, Antonio spotkał ten sam los.

Najśmieszniejsze jest to, że ten bezlitosny, okrutny człowiek wyśpiewał wszystko, błagając o litość, jeszcze zanim ostrze noża po raz pierwszy spotkało się z jego marnym ciałem. Powiedział, że otrął własnego ojca, bo ten zdawał sobie sprawę, że Emilio nie nadaje się na przywódcę. Potem przyznał, że wybił swoich braci i niemal całe ich rodziny, żeby się zemścić. Kiedy okazało się, że dzieciaki przeżyły, postanowił odseparować Antonio od Rhysa, by szkolić ich osobno. Cały czas wmawiał starszemu, że ten młodszy to zło, mając nadzieję, że bracia w końcu się pozabijają, a on zdobędzie władzę.

Przyglądam się zakrwawionej sylwetce mężczyzny. Gęsta ciemnoczerwona ciecz spływa po jego ciele, powiększając plamę na posadzce. Przenoszę wzrok na Marię, która jeszcze nie została ruszona, ale przyjdzie na nią czas. Chciała zabić Vivi, czego Rhys nigdy nie wybaczy.

- Ostatnie pytanie, Emilio - mówi ze stoickim spokojem Miller. - Skąd wiedziałeś o... Nagle rozlegają się dwa strzały - celne, bo głowy Emilio oraz Marii zdobiją dziury po kulach.

Odwróciwszy się w stronę drzwi, dostrzegam zdyszaną Amelię, która nadal celuje z broni do swoich ofiar.

- Coś ty zrobiła?! - ryk Millera odbija się echem od wszystkich ścian, podczas gdy jego kuzynka stoi zapłakana.

- O mało co was nie zabili. Nie zasługują, żeby żyć - wydusza roztrzęsiona.

- Ale nie zasłużyli też na tak szybką śmierć!

Niewiele myśląc, podchodzę do dziewczyny, wyrywam jej pistolet i wyprowadzam z pomieszczenia.

Na dzisiaj już wystarczy zabitych, a czeka nas jeszcze kilka spraw do załatwienia.

VIVIANA

Rhys jest wściekły, bo Emilio przeszedł do historii z pomocą Amelii. Żeby uratować sytuację, Xavier wymyślił, że ślub powinien odbyć się jak najszybciej, co wydaje się na rękę Millerowi. Mnie zresztą też, jeśli dzięki temu będziemy mogli rozpocząć nowe życie, bez wariatów czyhających na nas na każdym kroku. Nie planujemy wielkiej imprezy, wręcz przeciwnie – skromną ceremonię oraz kolację w gronie najbliższych.

Siedzimy w ciszy przed kominkiem, zapatrzeni w rosnące płomienie. Zapewne każde z nas zastanawia się właśnie nad słusnością tego, co zrobiła Amelia. Ta z kolei ponownie uciekła do rodziny adopcyjnej.

– Skoro niedługo ślub, to muszą być też wieczór kawalerski i panieński – mówi w końcu Xavi, zacierając ręce.

– Nie – odpowiada natychmiast Rhys.

– Och, daj spokój – mruczy Leandro. – Rozluźnij się trochę, sztywniaku, bo inaczej Vivi idąc do ołtarza, zawróci i zwieje, kiedy zobaczy twoją grobową minę.

Miller spogląda na mnie, jakbym była czemuś winna.

– Dobra – wzdycha.

Dlaczego na układach, gdzie w grę wchodzi Miller, zawsze muszę wychodzić najgorzej? Siedzi sobie teraz w klubie z chłopakami i pewnie jakaś tancerka poleruje tyłkiem jego kolano, a ja? Spędzę ten wieczór z babunią.

Hurra!

Gdy wchodzę do domu Helen, od razu zostaję szarpnięta za ramię i zaprowadzona do kuchni. Nie wiem, skąd ta drobna kobieta ma tyle siły, ale bardziej interesuje mnie gwar dobiegający z salonu oraz jej dziwnie skruszona mina.

– Nie bądź zła – szepcze.

O! Jeśli te słowa wypadają z ust Helen Thomson, to nie wróży niczego dobrego. Koniec jest bliski.

– Co zrobiłaś, babciu? – pytam z nadzieją, że nie jest aż tak źle.

– Ja? – mruczy obrażona, kładąc dłoń na klatce piersiowej. – Nic! Tylko powiedziałam po porannej mszy, że razem ze mną spędzisz swój wieczór panieński. – Spuszcza wzrok na materiał kwiecistej sukienki, którą właśnie gładzi.

Przysięgam, że zrobiło mi się tak gorąco, jakbym stała u bram piekieł. Jeśli Helen nie wali prosto z mostu, a lawiruje wokół tematu, to musi być grubo.

– Mów, babo jedna – ponaglam ją.

Wzdycha.

– Mojekoleżankitusą – mówi na wydechu.

– Że co? – dopytuję, krzywiąc się.

– Mojekoleżankitusą – powtarza.

Kiedy zszokowana rozkładam jej wypowiedź na czynniki pierwsze, po prostu nie wierzę.

– Oszalałaś?! – wybucham. – To mój wieczór panieński. Nasz wieczór, podczas którego możemy ze sobą pobyć, zanim zostanę żoną Rhysa, a nie zlot osiedlowych plotkar.

- Oj tam, będzie dobrze! Przecież ich nie wyproszę. No, chodź już. Nie mam wyjścia, więc podążam do salonu, gdzie zastaję cztery przyjaciółki Helen, odpicowane, jakby miały się pokazać na czerwonym dywanie. W jeansach i bluzie czuję się trochę dziwnie, ale już za późno na jakiegokolwiek zmiany.

- Mamę Beth znasz - oznajmia staruszka, wskazując na sąsiadkę. - To są Petunia, Nora i Begonia - po kolei przedstawia kobiety siedzące na kanapie.

Babulinki witają się ze mną chórem, na co grzecznie odpowiadam. W głowie układam plan ucieczki, nad którym zaczynam myśleć intensywniej, kiedy Helen siada na fotelu, a ja muszę zająć ostatnie wolne miejsce na sofie.

Ściśnięta między Norą a Petunią, zastanawiam się, czy za chwilę zaczną mi pleść warkoczyki, na których zapierdzielą wielkie czerwone kokardy. Nie, to by było słabe jak na ekipę Helen Thomson... Boję się.

Odpuszczam, pocieszając się w myślach, że ten wieczór za jakiś czas dobiegnie końca. Przysłuchuję się rozmowom kobiet, przytakując i ładnie się uśmiechając.

W pewnym momencie Helen polewa wszystkim koniaczku. Tak, jak do tej pory strasznie nie lubiłam tego cholerstwa, tak teraz łykam je jak oranżadę.

W końcu spoglądam na stolik kawowy, gdzie postawiono szklanekę z paluszkami oraz talerz z czekoladowymi ciasteczkami. *Chwila, chwila.* Zerkam na Helen, która wskazuje brodą na... Już nie pamiętam, jak ten kwiatuszek miał na imię. W każdym razie nie dość, że kobieta wbiła się na imprezę, której miało nie być, to jeszcze ciasteczka z marychą przyniosła.

Och, chcę do Rhysa, nawet jakbym musiała patrzeć na ocierającą się o niego tancerkę.

Nagle otwierają się drzwi wejściowe, co przerywa moją wewnętrzną udrękę, po czym wchodzi jakiś dziadek w białym kitlu. Pięknie, przyszedł lekarz babci, który jeszcze nie wie, że natknie się na podchmielone baby i ciasteczka z niespodzianką. Jednak kiedy mężczyzna wchodzi do pokoju, już rozumiem, że byłam w błędzie.

Och, jak bardzo się pomyliłam.

Facet zrzuca biały kombinezon, odsłaniając tym samym czarne lateksowe męskie stringi. Spoglądam na staruszki, z obawą, że zejdu tu na zawał, i przeżywam kolejny szok. Każda z nich sięga po swoją torebkę, a następnie wyjmuje z portmonetki pieniądze. Oprócz babci, która zdaje się równie zaskoczona jak ja.

- Petunio, zadzwoniłaś pod numer, który ci podałam? - pyta, mordując przyjaciółkę wzrokiem.

- Tak, ale widocznie kiedy podawałam długość sprzętu, pomyśleli, że chodzi o wiek.

O Mamo! Skąd jest ta kobieta? Z planety, gdzie własne przyrodzenie łamie facetom nogi?

Zrezygnowana Helen włącza radio i po chwili salon wypełniają dźwięki utworów z lat sześćdziesiątych. Babulinki serwują sobie kolejną kolejkę koniaczku, po której zamiast starszego pana widzą zapewne dwudziestoletniego, umięśnionego boga seksu.

Siedzę jak sparaliżowana, podczas gdy przyjaciółki Helen wzdychają z zachwytem, kiedy striptizer z epoki kamienia łupanego wije się przed każdą po kolei. Kilkakrotnie

mam wrażenie, że biedak zaraz się połamie. Odruchowo wymachuję rękami, aby w razie czego uratować go przed upadkiem, jednak on radzi sobie całkiem nieźle.
- Czy ktoś wzywał straż pożarną?! - Wychylam się, żeby zobaczyć, kogo tym razem przywiało.

Do pokoju wchodzi strażak - kolejny gość, który jest pewnie dwa razy starszy od Helen. Gdy uśmiecha się szelmowsko, dociera do mnie, że to chyba kolega tego pierwszego. Biedakowi ledwo udaje się zdjąć ubranie, pod którym ma jedynie bawełniane stringi. Na końcu ściąga żółty kask, by zasłonić nim krocze, jakby ukrywał tam anakondę. Kiedy dwóch emerytów ociera się o rozochoczone starsze kobiety, uciekam wzrokiem gdziekolwiek, byle na to nie patrzeć.

Rozlegający się dzwonek zdaje się wybawieniem. Wstaję, oznajmiając, że otworzę, choć i tak nikt nie zwraca na mnie uwagi. Podążając korytarzem, mam nadzieję, że to ktoś, komu Rhys kazał po mnie przyjechać. Uchyliwszy drzwi, doznaję jednak szoku. Jeszcze tego mi brakowało.

- Dobry wieczór. Dzielnicowy Long - przedstawia się starszy policjant, machając mi przed oczami odznaką. - Sąsiedzi zgłosili zakłócanie porządku.

Po prostu cudownie!

- Proszę wejść. - Otwieram szerzej drzwi.

Zanim zdążę zaprosić mężczyznę do kuchni, ten wędruje wprost do salonu, gdzie panuje istna sodoma i gomora - kwiczy banda napalonych staruszek, tańczą repliki mumii, a na stoliku stoi talerz z ciasteczkami z marychą.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówię, wlepiając wzrok w zielone kraty celi.

- Jeśli to pomoże, pomyśl, że to taka przygoda - oznajmia zbyt łagodnym głosem babcia. - Wiesz, ci wszyscy antyterrorysty szukający narkotyków w naszym domu, przejażdżka radiowozem na sygnale, zdjęcia. I nawet bransoletki nam dali. - Chichocze.

Powoli kieruję na nią wzrok. *Ona jest obłąkana!*

Godzinę później jednak babuni już przestaje być tak wesoło.

- Wypuście nas! Powinniście zajmować się łapaniem prawdziwych przestępców, a nie przetrzymywaniem staruszki i jej biednej wnuczki! - wydziera się zza krat. - Wiecie, kim jest mój wnuk?!

Zanim wykrzyczy coś, co pograży nas jeszcze bardziej, zasłaniam jej usta dłonią. Po krótkiej przepychance słownej siadamy na ławce i czekamy na cud. O ile do tej pory cieszyłam się, że jesteśmy w osobnej celi niż reszta ekipy Helen, o tyle teraz niepokoi mnie stojąca w rogu dziewczyna, której facha jest oczywisty, biorąc pod uwagę to, że ma na sobie dosłownie skrawek jaskrawozielonej sukienki. Przygląda się nam przez dłuższą chwilę, więc podejrzewam, że zaraz wyskoczy z jakimś tekstem, a babcia nigdy nie pozostaje dłużna. Dziewczyna wyczuwa moje zdenerwowanie i uśmiecha się cwaniacko.

- Za co was wpakowali? Ukradłyście batonika w osiedlowym?

- Nie, ale wepchnęłam jednego do gardła pyskatej dziewczuszce - odpowiada Helen, po czym składa ręce jak do modlitwy i kieruje anielskie spojrzenie ku górze. - Panie,

świeć nad jej duszą.

Dziewczyna mruży oczy, nie przestając nas obserwować. Nie sądzę, żeby na tym się skończyło, ale z odsieczą przybywa policjant, który otwiera celę, a następnie wypowiada nasze nazwisko.

Wychodząc z komisariatu po załatwieniu drobnych formalności, natychmiast zauważam całą męską część rodziniki. Biegnę do tego jedyne go i rzucam mu się w ramiona.

- Nigdy, przenigdy nie pozwolę ci na kolejny wieczór panieński - mruczy mi do ucha.

Żartowniś.

- Mam nadzieję, bo to było okropne - łkam, rozbawiając pozostałych.

ROZDZIAŁ 42



VIVIANA

Z samego rana wchodzę do jadalni, gdzie siedzą już wszyscy faceci. Zaraz po wyciągnięciu mnie z aresztu, Rhys uparł się, że zostanę z nim aż do uroczystości. Zgodnie z tradycją pan młody nie powinien widzieć panny młodej w sukni przed ślubem, bo to niby przynosi pecha, ale co gorszego może nas spotkać?

- Dzień dobry - mówię zachrypniętym głosem, mrużąc oczy.

- O, siostra! Zapraszamy! - wykrzykuje Leandro. - Co prawda dzisiaj na śniadanie nie serwują ciasteczek podanych przez emerytowanych striptizerów, ale jestem pewien, że znajdziesz coś dla siebie.

Żartowniś się znalazł.

Posyłam mu mordercze spojrzenie, po czym pochylam się nad Rhysem i daję mu kolejnego buziaka na „dzień dobry”. Zajmuję miejsce obok, a on, jakby czytał mi w myślach, sięga po dzbanek z kawą, by napełnić moją filiżankę.

I jak tu go nie kochać?

Dziękuję mu, a następnie biorę łyk magicznego napoju, bez którego chyba nie dałabym rady funkcjonować.

- Więc, jak to było? - dopytuje braciszek, nie dając mi spokoju. - Opowiadaj.

Zdaję relację z jakże cudownego wieczoru panieńskiego, co niesamowicie bawi zebranych, łącznie z moim przyszłym mężem. Ciekawe, czy nadal by się tak szczerzył, gdyby ci striptizerzy byli o wiele młodszy.

- Wszystko by się dobrze skończyło, gdyby Begonia nie poczęstowała dzielnicowego tym cholernym ciastkiem w ramach przekupstwa - kontynuuję zbulwersowana. - Zanim się obejrzałam, do domu wkroczyła banda facetów w czerni. Potem zostałam aresztowana pod zarzutem handlu narkotykami i prowadzenia burdelu. To było okropne!

Podczas gdy się żalę, pozostali wciąż mają ubaw. Jedynie Miller ściska pod stołem moją dłoń, aby mnie uspokoić.

- A wy co robiliście?

Na to pytanie entuzjazm przy stole słabnie.

A to ciekawe!

- Byliśmy w klubie - oznajmia poważnie Xavier.

- W biurze Rhysa konkretnie - dodaje Luca.

- Mieliśmy małą prywatną imprezę - mówi Leandro.

- Nie denerwujcie mojej córki w dniu jej ślubu - warczy siedzący z boku Ottavio, po

czym spogląda na mnie. – Graliśmy w pokera z naszym gościem, na kasę. Wszystkich nas ograł. Właściwie telefon z komisariatu uratował Rhysa przed bankructwem.

– Odzyskam te pieniądze – mruczy Miller, pokazując tym samym, jak bardzo została urażona jego duma.

Faceci...

Do naszej skromnej ceremonii zostało już tylko kilka godzin. Siedzę na sofie przy kominku, wtulona w mojego narzeczonego, i cieszę się, że mamy w końcu trochę prywatności.

– Więc teraz, kiedy wszystkie problemy właściwie zostały rozwiązane, będziesz dla świata zewnętrznego Rhysem Millerem czy Ricardo Valentim? – pytam.

Mój przyszły mąż wzdycha i przyciąga mnie bliżej.

– Emilio zmienił moją tożsamość, żeby przedostać się wszędzie, gdzie trzeba.

Oficjalnie wrócę do pierwotnego „ja” – szepcze. To oczywiste, że każda wzmianka o jego wuju będzie bolesna. – Viviano, ja zawsze będę twoim Rhysem, zawsze będę tylko twój.

Moje gardło się zaciska, a oczy zachodzą łzami.

Pomimo iż nie chcę psuć tego pięknego momentu, muszę zapytać o jeszcze jedną rzecz. Oboje zasługujemy na rozpoczęcie nowego życia, z dala od jakichkolwiek wspomnień związanych ze zdradą jego rodziny.

– Rhys, czy musimy tu mieszkać?

– Nie, nie musimy – odpowiada natychmiast, składając pocałunek na mojej skroni. Zupełnie jakby wiedział, że zadam to pytanie. – Gdzie byś chciała zamieszkać?

– Hmm... W małym domu z białym płotkiem i dużym ogrodem. Ja urodzę ci syna, ty zasadzisz drzewo, adoptujemy psa lub kota i będziemy żyli długo i szczęśliwie – mówię rozmarzona.

Miller wciąga mnie na swoje kolana i ujmuje moją twarz, po czym wpatruje się swoimi pięknymi oczami w moje. Gładząc jego policzek, zatapiam się w czerni tęczy – nigdy nie będę miała dość tego widoku. Godzinami mogłabym na niego patrzeć i się zachwycać.

– Wiesz, że nigdy nie będziemy zwykłą rodziną mieszkającą w normalnym sąsiedztwie, a długo i szczęśliwie może być skomplikowane, prawda? – upewnia się, przywołując mnie tym samym do rzeczywistości. Kiwam głową. – I pies albo kot? – dodaje, marszcząc brwi. Chyba nie jest przekonany do tego pomysłu.

– Podobno lepiej wychowywać dzieci wśród zwierząt – stwierdzam niewinnie, a na jego twarzy pojawia się piękny uśmiech.

– Hmm... Więc adoptujemy małego tygrysa bengalskiego.

Kocham go!

– Rhys, będziesz najlepszym ojcem na świecie – oznajmiam, szczerząc się.

– Viviano, jeszcze Thomson, każdego dnia będę się starał z całych sił, żeby nasze dzieci były szczęśliwe.

Wielkie przygotowania czas zacząć.

Z rozczarowaniem odkrywam, że Amelia nie przyjechała. Nie na ślub. Moja matka choć raz miała się wykazać i obiecała, że razem z babcią będą wcześniej, żeby mi pomóc. One jednak też nie dotarły, więc muszę poradzić sobie sama.

Siedzę przed lustrem, mozolnie nakładając na twarz tonę tapety, a rezultaty zdają się marne. Nie pomaga również fakt, że cholernie się stresuję. Kiedy przychodzi czas, by pomalować rzęsy, tusz rozmazuje mi się wokół oczu na wszystkie strony. Od gapienia się na swoje odbicie odrywa mnie pukanie do drzwi. Po chwili do pokoju wchodzi Xavi. Uśmiecham się, lecz natychmiast poważnieję, widząc jego grobową minę, która może oznaczać tylko jedno - kłopoty.

- Vivi, musimy iść na dół - mówi pospiesznie.

Czyżbym pomyliła godziny i to ten moment?

- Ale babcia...

- Nie na ślub - odpowiada służbowym tonem, utwierdzając mnie w przekonaniu, że jest źle.

Na trzęsących się nogach, w białym szlafroku oraz kapciach, przemierzam korytarze, prowadzona przez Xaviera pod ramię. Po kolei analizuję ostatnie wydarzenia i dochodzę do wniosku, że jeśli sprawa rzeczywiście jest tak poważna, może chodzić wyłącznie o jedno.

Gdy schodzimy po schodach, wyobrażam sobie, że już niedługo właśnie tędy popłynie krew zdrajców. Kierujemy się do jadalni, gdzie u szczytu stołu siedzi Rhys, a przy nim, na moim miejscu, Amelia. Dalej stoją wszyscy członkowie rodziny oraz kilku ochroniarzy.

Przechodzę przez pomieszczenie, aby stawić czoła przyjaciółce, i uśmiecham się sztucznie.

- Jednak wróciłaś - przemawiam, ale dziewczyna zdaje się nie zwracać na mnie uwagi.

Zamiast się przywitać, otwiera dużą szarą kopertę, po czym wyjmuje z niej plik zdjęć, które rozkłada na blacie. Słyszę jedynie, jak zebrani wciągają powietrze. Nie obchodzi mnie, co sobie pomyślą. W tym momencie patrzę tylko na niego - na Rhysa. Obserwuję, jak skanuje wzrokiem każdą fotografię. Początkowy szok zmienia się w niedowierzanie, a następnie w furję. Później jego twarz nie wyraża już niczego. Odważnie podchodzę bliżej i wtedy to widzę: siebie i Antonio w dniu, w którym pojechałam kupić suknię ślubną. Niestety na żadnym zdjęciu nie uwieczniono momentu, kiedy starszy Valenti został przeze mnie kopnięty w krocze, a potem jeszcze dostał w twarz. Każde z nich przedstawia nas w sytuacji, którą można zinterpretować w niewłaściwy sposób.

- Amelia, co ty robisz? Co to ma znaczyć? - pytam przez zaciśnięte gardło.

- Viviana zdradzała cię już od dłuższego czasu - mówi do Millera, całkowicie mnie ignorując. - To są jedyne dowody, jakie udało mi się zdobyć. Nie wiadomo, czy nie knuła za twoimi plecami przeciwko rodzinie. Miała wtedy czelność prosić mnie, żebym ją kryła. Stara też bardzo dobrze wiedziała, co robi jej wnuczka.

- Dziewczyno, oszalałaś?! Co ty robisz?! - wydzieram się, ale nie przynosi to żadnego efektu. Nie potrafię pojąć tego, co ona wygaduje!

- Jesteś pewna tego, co widziałaś i co mówisz? - pyta Rhys nieodgadnionym tonem.
- Amelia - cedzę przez zęby. - Dobrze wiesz, że spotkałam się z nim, żeby porozmawiać o Rhysie. Chciałam go zabić, gdyby okazał się zagrożeniem. Nie rób tego sobie!

I oto jest. Ta sekunda zawahania, a nawet ułamek sekundy, kiedy Amelia rozważa kolejną decyzję, która zmieni życie wszystkich tu zebranych.

- Jestem pewna - odpowiada, patrząc kuzynowi prosto w oczy.

- Zatem wszystko jasne - oznajmia Rhys, po czym wstaje i podchodzi do mnie.

Nie mogę się ruszyć. Spuszczam głowę, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę. Łzy zmieszane z tuszem spływają po moich policzkach i wsiąkają w materiał kapci.

Umysł nie jest w stanie ogarnąć całej tej sytuacji, a moje ledwo zagojone serce znów pęka. Kiedy unoszę wzrok na Rhysa, od razu wiem, że nie ma niczego, co mogłabym zrobić, aby przekonać go do zmiany decyzji, którą już podjął.

- Kocham cię - mówię, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie słyszy tych słów. Zaszył się już w swoim mrocznym świecie, w którym jest bezwzględny, okrutny mordercą; człowiekiem bez jakichkolwiek zasad moralnych. Co by więc się nie działo, Emilio na swój sposób wygrał.

- Xavier! - woła, wyciągając rękę. Po chwili w jego dłoni ląduje nóż, który powoli wędruje do mojej szyi. Nerwowo przełykam ślinę, podczas gdy Miller uśmiecha się krzywo. - Och, Viviano. Zapomniałaś wspomnieć o tych kilku rzeczach, prawda?

- Ricardo! - krzyczy gdzieś z tyłu mój ojciec, zwracając na siebie uwagę mojego narzeczonego.

- Każdy, kto jeszcze się odezwie, będzie uznany za zdrajcę! - ryk Rhysa roznosi się po pomieszczeniu. Drzę coraz bardziej, nie mogąc już tego wytrzymać.

- Nie rób tego, Rhys. Błagam cię na wszystkie świętości. - Z moich oczu wypływa więcej łez i nie wiem, jak długo będę w stanie ustać. Przystaję czuć cokolwiek.

- Uciekaj, Viviano. Uciekaj - mówi z powagą Rhys. *Co on...?* - Pobawimy się w polowanie. To by była za łatwa śmierć po takiej zdradzie. - Cofa się o krok.

- Powinieneś ją od razu zabić - warczy Amelia. - Niech chociaż zostawi pierścień. Odruchowo podnoszę rękę i spoglądam na przedmiot, którego obiecałam nigdy nie zdejmować. Zerkam na Millera, szukając na jego twarzy oznak zgody na zdjęcie sygnetu, lecz nic nie mogę z niej wyczytać. Odkładam pierścień na stół, po czym, zawiedziona, zraniona i upokorzona, wychodzę z jadalni. Zostawiam za sobą osoby, które kocham. Za każdą z nich oddałabym własne życie.

Docieram do drzwi frontowych, gdzie stoi Mike, i przystaję, gdy wsuwa banknot do kieszeni mojego szlafroka.

- Zmykaj - rozkazuje.

Tak też czynię.

Pod dom babci podjeżdżam taksówką, której kierowca przez całą drogę zerkał na mnie w lusterku jak na wariatkę. Płacę za kurs i opuszczam pojazd. Cieszę się, że zmierzcha, bo dzięki temu sąsiedzi nie zobaczą mnie półnagiej.

Mój umysł jest tak zryty, że dopiero teraz uświadamiam sobie, iż kobiety mogą być

już w drodze do Rhysa. Zauważam jednak, że w pokoju babci świeci się światło. To dobry znak. Wchodzę do domu i od razu wbiegam na górę. Gdy docieram do sypialni Helen, zastaję widok, który mnie dobija.

Zapłakana mama siedzi na brzegu łóżka, trzymając babcię za rękę, a kiedy mnie dostrzega, totalnie się rozkleja. Zbliżywszy się, załamuję się do reszty, widząc, w jakim stanie jest Helen. Zmuszam najgłębsze pokłady swojej podświadomości, aby pomogły utrzymać mnie przy zdrowych zmysłach, bo przysięgam, że tylko sekundy dzielą mnie od załamania nerwowego.

- Babciu, co ci jest? - pytam, gładząc wierzchem dłoni jej poblady policzek.

- Nic, dziecinko - kłamie osłabiona staruszka, dysząc.

- Wezwałam pogotowie. Powinni tu być w każdej chwili - wydusza moja rodzicielka. Nerwowo kiwam głową i podchodzę do okna, po czym uchylam je, wpuszczając świeże powietrze. Gdzieś w oddali słychać sygnał karetki, więc informuję mamę, że wychodzę się upewnić, iż szybko dojedzie na miejsce.

Kiedy wybiegam na ulicę, czuję chłód na odkrytych częściach ciała, ale nie dbam o to. Teraz najważniejsza jest babcia. Przeszuję z nogi na nogę, czekając na pomoc, gdy moją uwagę przykuwa czarny mercedes zaparkowany kilka metrów dalej. Przekonana, że to jeden z ludzi Rhysa, idę w jego kierunku. Nagle jednak staję, sparaliżowana strachem, kiedy światła pojazdu się zapalają, a ten rusza wprost na mnie.

ROZDZIAŁ 43



AMELIA

Stoję przed domem Viviany, skanując wzrokiem zniszczony od kół samochodu trawnik. A jednak stało się. Nie chciałam tego robić, naprawdę. Była moją najlepszą przyjaciółką, dopóki nie dowiedziałam się, że to przez nią i jej dziadka zostali zabici nasi rodzice. Dlatego też nie zasługiwała na Rhysa, ani żeby należeć do naszej rodziny, Gdy żaden inny pomysł nie wypalił, Vivi sama się podłożyła, prosząc o pomoc w zorganizowaniu spotkania z Antonio.

- Amelia? - Unoszę wzrok na dźwięk głosu matki Viviany.

Kobieta, która zawsze nadmiernie dbała o swój wizerunek, wygląda teraz jak siedem nieszczęść. Jest ubrana na czarno, jej włosy wręcz błagają, aby je przeczesać, a na bladej twarzy nie ma nawet grama makijażu.

- Pani Thomson - witam się. - Jak się czują Viviana i pani mama? - pytam z udawaną troską, choć część mnie naprawdę żałuje, że stało się to nieszczęście. One dwie za wielu innych.

- To ty nic nie wiesz? - dziwi się kobieta, a strumienie łez spływają po jej policzkach.

- Obie nie przeżyły. Viviana i mama nie żyją.

Misja „uratować rodzinę Valenti” wykonana.

XAVIER

Gdy wchodzę do domu, dostrzegam przybitego Mike'a, który właśnie schodzi po schodach. Ostatni tydzień to jakaś masakra. Mogłoby się wydawać, że każdy został opasany ładunkami wybuchowymi i nie wiadomo, który z nas jako pierwszy eksploduje.

- Co z nim? - pytam ochroniarza. Ze sposobu, w jaki kręci głową, wnioskuję, że jest nieciekawie. Nie oczekiwałem zresztą niczego innego.

Kurwa! Ale bagno.

- Nie przetrzyma tego. Rozpierzdoli tę chatę w drobny mak - szepcze Mike.

- Powiedziałaś mu? - dociekam.

- A wyglądam, jakbym to zrobił? - prycha, gładząc ogoloną na zero głowę. - Musimy się pospieszyć, bo inaczej wszystko szlag trafi.

- Zajmę się tym - oznajmiam.

Od strony jadalni słyhać stukot szpilek Amelii. I oto jest. Delikatna, krucha, czarnowłosa dziewczyna, która była dla mnie jak siostra, odkąd wróciła do rodziny Valenti. Kobieta, która tydzień temu wyskoczyła z takimi rewelacjami, że wszystkim

nam kapcie pospadały. Nowa pani domu.

- Coś się stało? - Przygląda się nam podejrzliwie.

- Nie, nic, wszystko jest w idealnym porządku - odpowiadam lekkim tonem. -

Rozmawialiśmy o Rhysie. Wiesz, co się z nim dzieje, kiedy nie przewidzi zdrady. Tym razem jest jeszcze gorzej, bo dopuściła się jej kobieta, która miała zostać jego żoną.

- Tak, to okropne - mówi, ale nie wygląda na zmartwioną. - Gdzie jest Jared? Dawno go nie widziałam. - Natychmiast zmienia temat.

- Rhys dał mu wolne. Wiesz, że najbardziej ufa Mike'owi.

- Ach, tak! - wzdycha, po czym odchodzi, a my z ochroniarzem zerkamy na siebie.

Odkąd wróciła Amelia, a zniknęła Viviana, w domu znowu pojawiła się służba - kucharki, kelnerzy oraz pokojówki spełniają zachcianki naszej księżniczki. Teraz na przykład schodzimy się do jadalni na kolację, bo nowa pani domu miała akurat taki kaprys.

Rhys wygląda jak siedem nieszczęść. Można odnieść wrażenie, że białą koszulą, którą ma na sobie, ktoś powycierał wszystkie podłogi w tym zamczysku. Nie wspomnę już o sinych kręgach pod oczami.

Nasz zmarnowany szef siada u szczytu stołu, więc też zajmujemy swoje miejsca. Ja siadam po jego prawej stronie, o co sam wcześniej mnie poprosił, natomiast Amelia, nie wiedzieć czemu, po lewej, na miejscu Vivi. Obok niej siada zaś Mike.

Kiedy kelnerzy roznoszą dania, a zadowolona kuzyneczka chce się zabrać za jedzenie, Miller unosi dłoń. Niby nieświadoma niczego dziewczyna, zaczyna się do niego szczyrzyć.

Chyba do reszty oszalała.

- Amelia, czy jesteś moją dziewczyną? - pyta Rhys, a Mike nieznacznie odsuwa swoje krzesło, żeby w razie czego wkroczyć do akcji.

- Nie. - Chichocze księżniczka.

- Narzeczoną?

Kuzynce już nie jest tak wesoło. Wie, co się święci.

- Nie - mówi, spuszczaając głowę.

- A żoną? - dopytuje szef.

- Nie. - Ta odpowiedź wręcz ocieka jadem.

Ha! Dobrze, dobrze!

- Nie rozumiem zatem, dlaczego siedzisz u mojego boku. Przesiądź się, proszę, na swoje miejsce - rozkazuje Miller.

Amelia niemal natychmiast z piskiem odsuwa krzesło. Obrażona obchodzi stół, po czym siada obok mnie. Rozglądam się i zauważam, że nie tylko ja nie mam apetytu. Ottavio i Leandro ściskają sztucę tak, jakby mieli zacząć nimi ciskać, wiadomo w kogo. W tym momencie tylko spokój może nas uratować.

Po męczącej i ciągnącej się w nieskończoność godzinie, kolacja w rodzinnym gronie dobiega końca. Skoro szopka została odegrana, większość zebranych, z Rhysem na czele, opuszcza jadalnię. Przy stole zostajemy tylko ja i Amelia.

- Nienawidzą mnie - żali się biedna dziewczyna.

- Ottavio to jej ojciec, Leandro to brat. Może są na ciebie trochę źli, ale przejdzie im. To nie ty zdradziłaś i kiedy ochłona, rozumieją – tłumaczą z uśmiechem. – Chodź, napijemy się. – Wstaję, po czym ciągnąc ją za rękę, prowadzę do salonu.

Nalewam szkockiej do dwóch szklanek i podaję jedną Amelii. Następnie siadamy na sofie, aby wspominać stare dobre czasy. W trakcie długiej rozmowy kilka razy dolewam alkoholu, co skutkuje upiciem się. Oczywiście jedynie w przypadku Amelii.

- Wiesz, dobrze zrobiłaś, że pozbyłaś się Viviany – wypalam.

Spina się i śmieje nerwowo.

- Nie pozbyłam się jej, głuptasie! – wykrzykuje, wymachując ręką. – Ja tylko ujawniłam prawdę.

- Kochanie – mruczę jej do ucha. – Rhysa oszukasz, ale nie mnie. Poza tym zrobiłaś coś, na co sam od dawna miałem ochotę. Wypijmy za to. – Stukamy się szklankami. Biorę łyk trunku, po czym mrugam do niej.

- Naprawdę czułeś do niej nienawiść? – pyta Amelia podejrzliwie.

- Naprawdę. – Uśmiecham się. – A twój plan był genialny.

- Prawda? Najtrudniej było wybrać odpowiednią osobę do współpracy.

Bingo! Wielkie, pieprzone, pogrążające Amelię bingo!

- Wystarczyło jedynie kilka razy przespać się z Jaredem, a on poszedł na układ – oznajmia, na co wywracam oczami. Tego nie musiałem słyszeć. Podaj kobiecie jakiś eksperymentalny specyfik, a nie przetrzymasz jej gadania.

Kiedy kieruję wzrok nad głowę uszczęśliwionej Amelii, mimowolnie zaczynają mi drgać kąciaki ust. Zmuszam się, żeby przynajmniej nie wybuchnąć śmiechem.

- A cały ten romans z Antonio to po prostu wisienka na torcie! Brawo! – Ciągnę tę farsę.

- Prawda? – świergocze dumna z siebie dziewczyna. – Sama wpadła na ten durny pomysł, pomagając mi wykonać plan.

- Brawo! – wykrzykuje wkraczający do salonu Antonio Valenti, nasz gość specjalny. Amelia jak poparzona zeskakuje z sofy. Chwieje się i z każdą sekundą jest coraz bardziej błąda.

- Antonio? – Wygląda, jakby chciała uciec, ale jeszcze nie wiedziała, w którą stronę.

- We własnej osobie. – Rozkłada ramiona. – Nie przywitasz się z kuzynem? – pyta z diabelskim uśmiechem.

- Gdzie jest Rhys? – panikuje Amelia. – Zawołajcie Rhysa!

- Och! Jego raczej bym nie wołał. W tym momencie jesteś bezpieczniejsza ze mną niż z nim – drwi starszy z braci. Podchodzi do stolika z alkoholem, po czym nalewa sobie Macallana. Unosząc szklankę, spogląda na skompromitowaną, pokonaną kuzynkę, a następnie wypija trunek.

Nagle do pomieszczenia pewnym krokiem wchodzi Rhys, a za nim Mike. Antonio odstawia naczynie i wyciąga dłoń do Millera.

- Witaj, bracie – przemawia.

Nie wiem, czego oczekiwał, ale dostaje zdrowo w mordę, co było zresztą do przewidzenia. Jego głowa odchyła się w bok, a z pękniętej wargi sączy się krew. Antonio oblizuje usta i opuszkami palców ściera ciec. Spoglądając z powrotem na Rhysa, uśmiecha się bezczelnie.

- Wiem, wiem. Miałem jej nie dotykać - mówi, wywracając oczami.
- O co tu chodzi?! - wykrzykuje przerażona, zdezorientowana Amelia, zwracając na siebie uwagę braci.
- Och, kochana kuzyneczko - odzywa się Antonio. - Czasami, kiedy układamy plan zemsty, a w drodze nie jesteśmy ostrożni, sami stajemy się jego częścią.

ROZDZIAŁ 44



XAVIER

Najbardziej spartolony plan zemsty to taki, podczas realizacji którego zupełnie nieświadomie działasz przeciwko sobie. Biedna Amelia. Wilczyca w owczej skórze hasała po domu Rhysa, nie wiedząc, że z każdą kolejną decyzją kręci na siebie bat. Kochałem ją jak własną siostrę, więc to, co ją czeka, pewnie nadłamię moje serce. Będę tęsknił za dziewczyną, którą była jeszcze rok temu. Już tęsknię.

Nagle Amelia zdaje się wytrzeźwieć po tym, co powiedział Antonio. Przypuszczam, że w tej chwili analizuje, jak mogła tak wpaść.

- Nie wiem, o czym mówisz - zwraca się w końcu do starszego kuzyna. - Nie było żadnego planu.

- Będzie lepiej, jeśli przestaniesz się pograżać. Usiądź, Amelia - rozkazuje Rhys, a dziewczyna opada na fotel. - A teraz zacznij, do cholery, gadać!

- Dobrze! - burzy się. - Kiedy powiedzieliście, że ta cała wojna, w której zginęli nasi rodzice, zaczęła się przez dziadka Viviany, od razu ułożyłam plan. Wy byliście razem, ja trafiłam do rodziny adopcyjnej. Kochali mnie, dopóki się nie dowiedzieli, kim tak naprawdę jestem. Ona odebrała mi wszystkich, których kochałam.

Przysięgam, że Millerowi zaraz żyłka pierdyknie i skręci Amelii kark. Jego ciało zaczyna się dziwnie trząść, co zauważa też Antonio, który nalewa pierwszego lepszego cholerstwa z karafki i podaje bratu szklankę, uśmiechając się jednocześnie do kuzynki. Rhys haustem opróżnia naczynie, po czym wciska je w dłoń starszego Valentiego.

Ruchem głowy wskazuję Mike'owi, żeby na wszelki wypadek podszedł bliżej szefa, a ochroniarz wykonuje moje polecenie.

- Ona była małym dzieckiem, ty pomyłona, bezduszna suko! Nasi rodzice zostali zabici, bo Emilio zdradził. Czego, kurwa, nie rozumiesz?! - wydziera się Miller.

- W ogóle to jak się domyśliliście? - pyta spokojnie dziewczyna, jakby naprawdę nie rozumiała, w czym rzecz. Kręcę głową, bo nie zmierzamy do niczego dobrego.

- Nie jak, a kiedy - odpowiada Rhys. - W momencie ataku Emilio. Nasz wuj wszystko zaplanował. Wiedział, że jeśli będzie tam Viviana, zrobię wszystko, aby ją ochronić. Wcześniej nie miał jednak pojęcia o tunelu. Wiedziały o nim tylko cztery osoby: ja, Xavier, Mike i ty.

Tak oto nasza Amelia wpadła. Zawarła pakt z diabłem, sprzedając mu informacje, żeby pozbyć się rywalki, którą była dla niej Vivi. Narwana idiotka nie pomyślała, że wszyscy możemy przez to zginąć.

Wreszcie do dziewczyny dociera, iż jest na przegranej pozycji. Nie ma już dla niej ratunku.

- To nieistotne, Viviana i tak nie żyje - oświadcza z przebiegłym uśmiechem. Wiem, co robi Amelia. Zdaje sobie sprawę, że czekają ją długie, bardzo bolesne tortury, dlatego postanowiła przekazać wiadomość o śmierci Vivi. Myśli, że dzięki temu Rhys zabije ją od razu, szybko i bezboleśnie.

Nic bardziej mylnego.

- O! Ależ ja żyję i mam się całkiem dobrze - świergocze nasza Viviana, wchodząc do pomieszczenia.

Są w życiu takie momenty, które chciałoby się zatrzymać na zawsze. Rhys podbiega do Vivi, a sekundę później narzeczeni ślinią się, nadrabiając tydzień rozłąki.

Zazdrosny Antonio wywraca oczami, natomiast Amelia wstaje z fotela, prostując się jak struna.

Kocham rodzinne spotkania.

- Co to ma znaczyć?! - warczy kuzyneczka, odkrywając, że jej morderczy plan spalił na panewce.

Kochasie odklejają się od siebie i zerkają w jej kierunku, pokazując, jak bardzo są szczęśliwi.

- Witaj, przyjaciółko - przemawia uśmiechnięta Viviana, akcentując drugie słowo.

VIVIANA

- O co tu chodzi? Nagle sobie wybaczyliście? Tak po prostu? - pyta zmieszana Amelia.

- Nie, Amelio - odpowiadam, wtulając się w bok Rhysa. - Widzisz, od jakiegoś czasu wszyscy mi mówili, że to ty zdradziłaś. Ostrzegali, że bym była uważna. Nie wierzyłam im, dlatego zaproponowałam spotkanie z Antonio. Chciałam udowodnić, że mam wspianą, lojalną przyjaciółkę. Jakże się pomyliłam.

- I twój narzeczony pozwolił ci spotkać się z człowiekiem, który mógł cię zabić? Nie wierzę - parska, spoglądając na nas jak na bandę idiotów.

- Niezupełnie. Wtedy już dobrze się znaliśmy z Antonio - oznajmiam.

To prawda. Gdy utknęliśmy z bikerami w domku na zadupiu, pewnego dnia pojawił się Antonio ze swoją świtą. Początkowo Rhys był taki wkurzony, że o mały włos znowu nie trafił do szpitala, jednak w końcu zgodził się porozmawiać z bratem. Wtedy dowiedzieliśmy się, że Antonio był traktowany przez Emilio w ten sam sposób co Rhys i dużo wcześniej przejrzał plan wuja na wylot. Dzięki moim namowom bracia się pogodzili. Na razie wszystko zmierza w dobrym kierunku, choć mojemu narzeczonemu z pewnością będzie zależało na wyrównaniu rachunków za to, co ujrzał na zdjęciach. Ustaliliśmy przecież, że nie będzie żadnego dotykania, ale szwagrowi ta część umowy chyba umknęła.

- Ale jak? - dopytuje Amelia, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Rhys powiedział, że cię zabije, błagałaś go o litość.

- Rhys nie powiedział, że zabije mnie, tylko zdrajcę. Błagałam o litość dla ciebie, Amelio, nie dla siebie - tłumaczę. - Nie mogłam uwierzyć, że przyjaciółka, z którą praktycznie się wychowałam, zdradziła mnie w taki podły sposób. Nawet wtedy,

wiedząc, że zniszczyłaś nasz ślub i mając dowody na to, że byłaś zdolna zrobić mnie w romans z Antonio, chciałam cię ocalić. Ale w momencie, gdy odpowiedziałaś, że jesteś pewna mojej zdrady, Rhys podjął decyzję. Teraz pewnie też walczyłabym o twoje życie, ale przypieczętowałaś swój los, kiedy podstępem próbowałaś otruć moją babcię, a potem zabić mnie.

W dniu ślubu ta żmija poszła do Helen, pod pretekstem obgadania byle pierdół związanych z kolacją, i dosypała jej do herbaty jakiegoś świństwa. Całe szczęście, że babcia nie wypita wszystkiego, bo już by jej z nami nie było.

- Zabierzcie ją stąd - rozkazuje Rhys.

O dziwo, Amelia nie protestuje i daje się odprowadzić, lecz przystaje przy drzwiach.

- Widziałam ślady, a twoja matka potwierdziła, że nie żyjesz.

- O! - wtrąca zadowolony z siebie Antonio, unosząc rękę, jakby zgłaszał się do odpowiedzi. - To moja wina. Skosiłem trawnik, ale nie trafiłem w moją uroczą szwagierkę. - Cieszy się ze swojego małego przedstawienia. Ile nerwów mnie to kosztowało w tamtej chwili, to już mały szczegół. - Natomiast! - wykrzykuje starszy z braci, ciągnąc przemowę. - Zabawiłem się z Jaredem. Zawsze chciałem zobaczyć na żywo, co się stanie, kiedy przykujesz kogoś łańcuchami do dwóch pojazdów, z których jeden będzie podążał na wschód, a drugi na zachód.

Na samą myśl, co bawi tego sadystę, z syknięciem wciągam powietrze, aczkolwiek nie zaprzeczę, że Jared sam się o to prosił.

Dwa miesiące później

Obiecałam. Obiecałam, że nie będę wierciła mu dziury w brzuchu odnośnie do jutrzejszego dnia, ale już po prostu nie mogę wytrzymać. I jak tu zasnąć? Nie lubię sekretów, niespodzianek i tym podobnych. On chyba nadal karze mnie za pomysł z poddaniem Amelii próbie, czego rezultatem był tydzień rozłąki.

Kiedy Miller przyciąga mnie bliżej, czuję, jak jego ciało wibruje.

On się śmieje, no!

- Obiecałeś, że nie będzie już między nami żadnych tajemnic, Rhys - przypominam. Wydymam dolną wargę jak urażone dziecko.

- To nie tajemnica, tylko niespodzianka. Ogromna różnica, Viviano Anne Thomson - mruczy, po czym wychyla się, by włączyć lampkę nocną.

Unoszę się i opieram rękami na jego nagiej klatce piersiowej. Spoglądam w błyszczące z rozbawienia czarne oczy.

- Chcę wiedzieć, gdzie wyjdę za mąż. - Mam jeszcze odrobinę nadziei, że się wygada, choć tak naprawdę wiem, że przegrałam.

- Dowiesz się jutro - odpowiada, zakładając mi pasmo włosów za ucho.

- A może wymienimy się informacjami? Ja też wiem coś fajnego - mówię z uśmiechem, próbując coś utargować.

- Fajnego. - Znowu papuguje.

Wrywam się z uścisku i odwracam do niego plecami, licząc na to, że w końcu

zmięknie.

- Moja amerykańska złoźnica. - Śmieje się, ponownie mnie przyciągając.
- Włoski sztywniak - odbijam piłeczkę.
- Da się zrobić...

ROZDZIAŁ 45



VIVIANA

Biorę ostatni uspokajający oddech, ujmuję Ottavio pod ramię i skinieniem głowy daję mu znać, że jestem gotowa. Powoli ruszamy przez ulicę, przechodząc po rozwiniętym czerwonym dywanie. Im bliżej jesteśmy, tym mocniej zaciskam dłoń wokół wiązanki białych kalii, a przez osłonę z łez spoglądam w kierunku mojego przeznaczenia; mojego, już za chwilę męża, Rhysa.

Czeka na mnie zniecierpliwiony, w obecności kapłana, przed piękną girlandą z takich samych kwiatów, z jakich zrobiono mój bukiet. Przy nim stoją Xavier, Luca, Mike oraz Antonio, a po drugiej stronie Helen, mama i Leandro.

W moim sercu oczywiście szaleje szczęście, ale jest tam również, i pewnie zostanie już na zawsze, ta odrobina smutku, cierpienia. Powinna tu stać Amelia, moja przyjaciółka z dzieciństwa, oraz rodzice zarówno jej, jak i pozostałych. Po moim policzku spływa łza, którą szybko ścieram nadgarstkiem. Emilia Thomson kręci głową, zapewne zła, że zniszczę wykonany przez nią makijaż.

Ojciec doprowadza mnie do celu i oddaje temu jedynemu. Uśmiecham się, wsuwam swoją dłoń w jego, a jednocześnie po raz kolejny zagłębiam się w głębokiej czerni oczu. Najpiękniejszy widok na świecie wywołuje kolejną falę wilgoci pod powiekami i mogłabym przysiąc, że on czuje to samo.

- Ekhem! - Chrząknięcie księdza sprawia, że w końcu się do niego odwracamy.
- Zebraliśmy się wszyscy w tym... - Rozgląda się, skanując wzrokiem ulicę, przy której mieszkałam.

O tak, ślub na trawniku przed domem babci to pomysł Rhysa. Podobno właśnie tutaj ujrzał mnie po raz pierwszy i ubzdurał sobie, że ta lokalizacja przyniesie nam szczęście na nowej drodze życia. Skoro tak mówi, to musi być tego pewien. Prawda?

- ...nietypowym jak na takie okoliczności miejscu, aby zostać świadkami zawarcia związku małżeńskiego między Vivianą Anne Thomson i Ricardo Valentim.

Teraz gdy bracia odzyskali władzę, mój przyszły mąż wrócił do nazwiska rodzowego. Nie dbam o to, kim będzie dla całego świata, bo dla mnie na zawsze pozostanie Rhysem.

Rozpoczyna się nasza skromna, mimo że przygląda się jej wielu gapiów zwisających z okien, uroczystość. Po złożeniu tradycyjnych przysięg oraz wymianie prostych platynowych obrączek zostają Vivianą Anne Valenti.

Gdy ceremonia dobiega końca, wszyscy udają się swoimi pojazdami na kolację. Nie mam bladego pojęcia, gdzie się ona odbędzie. Od samego początku to, co związane

ze ślubem, było owiane tajemnicą. Strasznie mnie to frustruje. Wiem jedynie, że nie będzie wielkiej imprezy z muzyką. Po ostatnich zdarzeniach pewnie nikt nie ma jeszcze ochoty na imprezowanie.

Dziwi mnie jednak, że Rhys postanowił osobiście prowadzić samochód.

O nie, nie, nie!

Nie dość, że jedziemy już tyle czasu i umieram z głodu, to mój świeżo upieczony mąż podejżdża właśnie pod wysokie ogrodzenie, zatrzymując się przed ogromną kutą bramą. To może świadczyć tylko o jednym – kupił kolejne zamczysko.

Och! Proszę, niech to będzie sen.

Gospodarka hormonalna mojego organizmu i bez tego staje się jedną wielką rozpierduchą. Chce mi się jednocześnie śmiać, płakać i krzyczeć. I jeść! Jeść mi się chce! Ileż bym oddała za niezdrowego hamburgera, butelkę Pepsi, szarlotkę na ciepło, z lodami i bitą śmietaną oraz...

Gdy dwóch osiłeków otwiera bramę, wjeżdżamy piaszczystą drogą między jakieś knieje. Zsuwam się na siedzeniu, po czym rozglądam nerwowo. Zaczynam się bać.

- Rhys? - odzywam się słabym głosem, spoglądając na niego podejrzliwie.

- Mhm? - mruczy, koncentrując się na drodze.

- Nie przyjechaliśmy tutaj, żebyś mnie już porzucił, prawda? Bo jeśli tak, to muszę ci powiedzieć, że...

Kiedy wewnątrz pojazdu wypełnia gromki śmiech mojego męża, jeszcze bardziej chce mi się płakać.

- Właściwie to taki mam plan - odpowiada w końcu, nadal rozbawiony.

Szczęka opada mi niemal na kolana, jednak coś innego zajmuje teraz moje myśli.

Wyjeżdżamy z płataniny krzaków na asfaltową drogę, przy której w dwóch rzędach stoją domki jednorodzinne. Wszystkie białe z ogrodzeniami w tym samym kolorze.

Jak z reklamy jakiegoś nowego osiedla. Rhys parkuje przy budynku, który jest prawie dwa razy większy niż pozostałe.

W tym momencie nie myślę. Serio, mam totalną pustkę w głowie. Nagle drzwi po mojej stronie się otwierają i dostrzegam czekającego Millera. Powoli odpinam pas, po czym wysiadam z samochodu. Poprawiam prostą białą suknię i przyglądam włosy.

- Podoba ci się? - pyta Rhys, kiedy niepewnie skanuję wzrokiem otoczenie.

- Co to za miejsce? - Jestem totalnie zdezorientowana i mam wrażenie, że to sen, z którego za chwilę się obudzę.

- To - odpowiada, przyciągając mnie od tyłu i obejmując w pasie - jest nasza ulica. -

A tu... - Okręca mnie w stronę największego budynku. - Tu jest nasz dom.

Wydaje mi się, że śrubki przy trybikach w moim umyśle poluzowały się od nadmiernego kręcenia i zaraz nastąpi wielkie zwarcie.

Nie. Wierzę.

- Rhys?

- Mhm?

- Wybudowałeś nam dom?

- Tak jakby.
- I tę ulicę też, prawda? - dociekam.
- Tak - potwierdza, opierając podbródek na czubku mojej głowy.
- W dwa miesiące? - Pamiętam, jak rozmawialiśmy o przeprowadzce w tamtym przeklętym miejscu.
- Tę ziemię kupiłem już dawno, a ponieważ wiedziałem, że moja teraz już żona nie przepada za zamczyskami, postanowiłem spełnić jej marzenie o wiele wcześniej. Dodatkowo w pozostałych budynkach będą mieszkać rodziny ochroniarzy i ktokolwiek zechce z rodziny.
- Dlaczego mamy największy dom? - zadaję kolejne pytanie, ale chyba zupełnie niepotrzebnie, bo dobrze znam odpowiedź.
- Żeby każde z naszych dzieci miało swój pokój.

Ech... Te ckliwe momenty, kiedy powie się o słowo za dużo.

Rozmowę przerywa marudzenie Helen. Babcia wyjeżdża zza budynku na wózku inwalidzkim, który pcha Leandro. Nie doszła jeszcze w pełni do siebie po tym, jak Amelia próbowała ją otruć. Lekarz nakazał jej jak najwięcej odpoczywać.

- Nie jestem dzieckiem, mogę chodzić - psioczy, wiercąc się na siedzeniu.
 - Och, Helen. Co mówiłem na temat marudzenia? - upomina ją mój brat.
- Babcia odwraca się nieznacznie, żeby na niego spojrzeć.
- Naprawdę dostanę klapsy?
 - Osz, ty flirciaro moja! - beszta ją Leandro, puszczając oczko - Oczywiście, że tak!

Nie wytrzymam!

W końcu nadszedł czas na kolację, podczas której jem chyba za dziesięciu. Kątem oka zauważam, że osoby siedzące wzdłuż jadalnianego stołu patrzą na mnie tak, jakby wyrosła mi druga głowa. Mój mąż, który jak zawsze siedzi u szczytu, również bacznie mi się przygląda.

Gdy mała uczta dobiega końca, podchodzi mama i prosi mnie na bok. Nieco się obawiając, podążam za nią do małego holu.

- Będę się musiała zaraz zbierać - oświadcza ze smutnym uśmiechem. - Dziękuję, że mnie zaprosiliście, mimo że na to nie zasłużyłam.

Jestem w szoku. Ta kobieta nigdy nikomu za nic nie podziękowała. To miłe z jej strony, aczkolwiek dziwne.

- To ja dziękuję - odpowiadam. - Za makijaż i fryzurę. Cieszę się, że... -

Machnięciem ręki przerywa moją przemowę. Jej oczy zachodzą łzami.

- To wszystko, łącznie z zagrywką o twojej śmierci, wymieniłam na wycieczkę po Europie plus kasę na zakupy od Ottavio - informuje, a ja chichoczę.

Może zgrywa złą i niedostępną, ale naprawdę bardzo się zmieniła.

- Kocham cię, pijawko - wypalam, po czym się do niej przytulam, co odwzajemnia.

Po raz pierwszy w życiu przytulam swoją mamę i, jaka by nie była, cholernie mi z tym dobrze. Kolejna fala wzruszenia wstrząsa moim ciałem.

Kiedy słyszymy pierwsze dźwięki *At Last* Etty James, odklejamy się od siebie.

Wracamy do jadalni, gdzie mój mąż podaje mi dłoń, którą od razu ujmuję.

- Ten jeden taniec musi się odbyć - mówi, przyciągając mnie blisko.
- Gdy tańczymy powoli w rytm muzyki, wtulam się w niego, przymykając powieki. Jestem wśród najbliższych mi ludzi, w ramionach, w których czuję się najbezpieczniej na świecie. Niczego więcej nie potrzebuję. Pozostaje jedynie dać prezent mojemu mężowi.
- Rhys, chcę ci coś powiedzieć.
- Mhm?
- Będiesz tatusiem - oznajmiam. Unoszę głowę, aby ujrzeć zaskoczenie na jego twarzy, lecz zamiast tego napotykam uśmiech. - Wiedziałeś.
- Viviano Anne Valenti - wymawia z wyższością. - Nie ma takiej rzeczy, która dotyczy ciebie, o której bym nie wiedział.
- Jak mam ci zatem robić niespodzianki?
- Mam was. Niczego więcej nie potrzebuję.

RHYS

W końcu. Dni, kiedy żyłem w ciemności, mam już dawno za sobą. Trzymam w ramionach cały swój świat; kobietę, która nosi pod sercem moje dziecko. Nowy początek, nowa rodzina, nowe życie. Wszyscy, którzy zagrażali temu porządkowi, zostali wyeliminowani.

Kiedyś na naszej drodze z pewnością pojawi się kolejny Emilio, kolejna Maria czy Amelia. Niech przychodzą. Mam kogoś, kto pomoże mi pokonać największe przeciwności. Moją miłość, moje życie, moją żonę, moją Vivianę.

*****KONIEC*****

...A może jednak nie...

VIVIANA

Stoję między wieszakami uginającymi się od cholernie drogich garniaków. Przeszuję z nogi na nogę, skanując wzrokiem pomieszczenie i robiąc z siebie idiotkę. Zaczynam tracić cierpliwość, gdy podchodzi do mnie tysy ochroniarz, który prosi, abym poszła z nim w kierunku przymierzalni.

Kiedy docieramy do wskazanej strefy, dostrzegam, że przed jedną z kabin stoi Rhys ze sprzedawczynią.

- Pani już dziękuję - zwraca się do kobiety. - Chcę Vivianę.

Jasnowłosa morduje mnie wzrokiem, po czym odchodzi wściekła jak osa.

- Co mogę dla pana zrobić? - pytam wkurzona, zastanawiając się jednocześnie, czy pytanie nie zabrzmiało dwuznacznie.

W jego ciemnych oczach pojawia się dziwny błysk. Otwiera prywatne pomieszczenie, zapraszając mnie do środka, po czym zamyka drzwi.

- Chciałbym przymierzyć koszulę - oznajmia, stając przodem do wielkiego lustra umieszczonego w rogu.

Znudzona zerkam na wieszaki uginające się od przygotowanych wcześniej ubrań.

- Jeśli te się panu nie podobają, mogę...

- Chcę, żebyś ty mi je zakładała, Viviano. - Przerzywa tym swoim lekko zachrypniętym głosem.

- Słucham?!
- Zrób. To. Viviano.

Wywracam oczami, podchodzę, po czym zdejmuję jego marynarkę oraz krawat. Następnie rozpinam pasek i spodnie, aby ściągnąć koszulę. Gdy odpinam ostatnie guziki, w pomieszczeniu robi się dziwnie gorąco, a moja dłoń automatycznie wędruje do jego mięśni brzucha.

Nagle moja spódnica podjeżdża do góry i piszczę, kiedy zostaję uniesiona, a potem posadzona na ladzie. Wyjmując z bokserek nabrzmiałą męskość, Rhys drugą ręką odchyła na bok moje stringi i wchodzi bez ostrzeżenia.

- Dokładnie tak powinno być to skończyć wtedy - szepcze, dysząc w moje usta. Wbija się raz za razem, spełniając swoją dziwną fantazję sprzed roku.

- Czy twoje ego zostało uleczone? - pytam, czując, że za chwilę rozpadnę się na kawałki.

- Tak, Viviano Anne Valenti. O tak.

Potem żyli długo i...

**Już wkrótce *Antonio*
- drugi tom „Synów Zemsty”**

PODZIĘKOWANIA

Na początku chciałam podziękować mężowi Pawłowi i synom – Dawidowi, Szymonowi i Kacprowi. Gdybym miała wymienić wszystko, za co jestem Wam wdzięczna, musiałaby pewnie powstać druga książka. Postaram się więc streścić. Dziękuję, że jesteście i na każdym kroku wspieracie mnie w realizowaniu mojej małej pasji. Dziękuję za to, że rozumiecie, gdy całkowicie się wyłączam, żeby naskrobać kolejne linijki zwariowanych historii. Wiecie, kiedy mam gorsze dni, i bez zastanowienia przychodzicie zapytać, czy wszystko w porządku, by potem polepszyć mi humor. Jesteście cudowni. Kocham Was całym sercem.

Ogromne podziękowania należą się mojej mamie oraz mojemu bratu za pomoc, rozmowy i opiekę nad Kacperkiem, kiedy ja pracowałam. Dziękuję również mojemu tacie, którego już z nami nie ma, za to, że stworzył miejsce, w którym mogę pisać. Bardzo dziękuję moim teściom, szwagierkom oraz całej rodzinie i znajomym za dopingowanie mnie, dobre słowo i ogromne poczucie humoru.

Podczas mojej przygody z pisaniem poznałam grono niesamowitych osób, które stały się moją małą szaloną rodziną. Dziękuję:

Patrycji Kiewlak – przyjaciółce i siostrze z wyboru. Ty wiesz, kiedy mnie pocieszyć albo pogrozić mi palcem i kopnąć w tyłek. Dziękuję Ci z całego serducha za godziny rozmów, zarówno tych pisemnych, jak i telefonicznych, a także za nasze spotkanie, Twoje zwariowane pomysły, kosmiczne poczucie humoru oraz salwy śmiechu;

Paulinie Jurdze – za pomoc, gdy w końcu zdecydowałam się wysłać swoją pracę do wydawnictw, wiele cennych rad i nasze codzienne pogaduchy;

Karolinie Jurdze – za szczerość do bólu, kiedy trzeba, a tym samym niesamowite wsparcie;

Alicji Skirgajłło – za czas spędzony na szalonych konwersacjach i śmiechu do łez.

Dziękuję Monice Skibińskiej i Patrycji Sumera za to, że od początku kibicują mi na każdym kroku i są moimi książkowymi detektywami próbującymi rozgryźć, co zafunduję bohaterom w kolejnych rozdziałach. Jesteście cudowne!

Dziękuję moim kochanym dziewczynom z grupy literackiej „Force” za wymianę myśli, wsparcie i wielkie serca.

Nie jestem w stanie wymienić tutaj wszystkich cudownych osób, które czytały powieść o zwariowanej rodzinie Valenti na Wattpadzie, ale każdej z osobna ogromnie dziękuję, że była świadkiem powstawania tej historii. Dodawaliście mi skrzydeł i dopingowaliście, a Wasze niesamowite komentarze to najwspanialsza nagroda, jaką mogłam otrzymać.

Dziękuję cudownej Katii Romanowej za porady odnośnie do tekstu *Rhysa* oraz nieocenioną pomoc.

Bardzo dziękuję niesamowitym blogerkom, które objęły patronatem moją książkę, za ogrom pracy włożonej w promocję, a także pasję, z jaką to robiły. Dziękuję Paulinie

Nowaczyk, Patrycji Piaseckiej, Paulinie Peeters i Kasi Abdullah, Ani Siwej, Gosi Wiśniewskiej, Karolinie Nastii Glinieckiej, Karolinie Jurdze, a także *Śnieżnookiej*, *Papierowym Księżniczkom*, *Coffee Cup 90*, *Katherine The Bookworm*, *Książkowir*, *Shadow Wings* oraz *Po drugiej stronie książki*.

Ogromnie dziękuję redaktorce Angelice Oleszczuk, z którą miałam przyjemność pracować, za bardzo cenne wskazówki i ogromny wkład pracy w tę książkę. Dziękuję również korektorkom – Alicji Chybińskiej oraz Magdalenie Zięba-Stępnik za piękne dopracowanie tekstu.

Dziękuję Paulinie Klimek i Agacie Wołosik-Wysockiej za wspaniałą okładkę.

Na końcu chciałam ogromnie podziękować nie mniej ważnemu Wydawnictwu NieZwykłe. Jestem wdzięczna Barbarze Marszałek i Dariuszowi Marszałkowi za zaufanie i szansę na wydanie książki w tak wspaniałym gronie.

Jeszcze raz wszystkim niezmiernie dziękuję!

PLAYLISTA

You Don't Own Me - Grace (ft. G-Eazy)

Say (All I Need) - One Republic

First Day of My Life - The Rasmus

Trying Not To Love You - Nickelback

Only One - Alex Band

Secrets - One Republic

Illuminated - Hurts

Whatever It Takes - Imagine Dragons

Castle of Glass - Linkin Park

At Last - Etta James

PRZYPISY

- [1] *Il mio amore... la mia vita... mia moglie... mia Viviana* – (z wł.) moja miłość... moje życie... moja żona... moja Viviana (przyp. red.).
- [2] *Serial TV (2005-2012)* (przyp. red.).
- [3] *Meravigliosa* – (z wł.) cudowna (przyp. red.).
- [4] *Mi manchi* – (z wł.) tęsknię za tobą (przyp. red.).
- [5] *Mi manchi cosi tanto, Viviana* – (z wł.) tak bardzo za tobą tęsknię, Viviano (przyp. red.).
- [6] *Tu, Viviana. Tu sei tutto per me* – (z wł.) ty, Viviano. Ty jesteś dla mnie wszystkim (przyp. red.).
- [7] *Tutto* – (z wł.) wszystkim (przyp. red.).
- [8] *Ti amo, Viviana* – (z wł.) kocham cię, Viviano (przyp. red.).
- [9] *Ti amo cosi tanto* – (z wł.) tak bardzo cię kocham (przyp. red.).